

irene



CAO

PRAGNE

cię

irene

CAO

PRAGNE
cie

Z włoskiego przełożyli
Marta Natalia Wróblewska, Wojciech Wąsowicz



WYDAWNICTWO
SŁONA OGRÓD

Tytuł oryginału:
IO TI VOGLIO

Copyright © 2013 RCS Libri S.p.A., Milano
Copyright © 2015 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2015 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Dariusz Sikora

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska
Korekta: Iwona Wyrwisz, Aneta Iwan

ISBN: 978-83-7999-282-9

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2015

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](#)



Spis treści

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

Trzy lata później

Podziękowania

Przypisy

Temu mężczyźnie

1

Ztrzaskiem zamyka za sobą drzwi pokoju 405. Znalazłszy się wewnątrz, wsuwa kartę magnetyczną do otworu w ścianie. Sypialnię zalewa nieprzyjemnie białe, oślepiające światło.

Potem pospiesznym ruchem wyłącza wszystkie lampy, poza jedną, stojącą na stoliku nocnym. Plama światła odcinająca się od całkowitej ciemności spowijającej resztę pokoju czyni atmosferę cieplejszą i bardziej intymną. On przysiadł na brzegu łóżka i wyciąga dłoń ku przełącznikowi lampki, by przyćmić światło.

– Tak lepiej – mówi, starając się ukryć przyspieszony oddech, ale ja wiem, że trawi go żar pożądania.

Mnie także.

Potwierdzam skinieniem głowy. Przys-tanąłam przy drzwiach.

Patrzy na mnie. Jego oczy promieniują miękkim światłem, są tak wilgotne, że aż ma się ochotę w nich pływać. Wstaje z łóżka i podchodzi do mnie. Chwyta mnie za włosy, zmuszając, bym odchyliła głowę do tyłu, i całuje mnie namiętnie w usta.

Odwzajemniam pocałunek, upuszczając torebkę na posadzkę. Czuję swój głód, swoją żądzę, swoją niecierpliwość. Czuję jego ciepło, jego ślinę, hojność, z jaką ofiarowuje mi swoje ciało. Stało się. Zaczyna się kolejna noc odurzenia, seksu i szaleństwa, która dołącza do listy tak długiej, że tracę już rachubę. Zbyt wiele

mam za sobą wieczorów tak od siebie różnych, a jednak tak beznadziejnie do siebie podobnych.

On to mój nowy kochanek. Znam go od kilku godzin. Wiem tylko, że ma na imię Giulio, pochodzi z Mediolanu i jest aktorem. A raczej chciałby nim zostać. Poznaliśmy się – jeśli można tak powiedzieć – dziś wieczorem w Goa, dyskotece, która w piątkowy wieczór staje się dla mnie drugim domem. Zwrócił na mnie uwagę, gdy tylko wyszłam na parkiet, i przez resztę wieczoru nie odstępował ani na krok. Tańczyliśmy do upadłego – ja z przyjemnością go prowokowałam, a on ocierał się o mnie w wyjątkowo jednoznacznej grze o wysokim poziomie erotyzmu. Na twarzach jego przyjaciółek malowały się na przemian zazdrość i pobłażanie, które w założeniu miały mnie zniechęcić,

a tymczasem w pewien przewrotny sposób dodatkowo mnie podniecały.

– Może pójdziemy w jakieś spokojniejsze miejsce? – zapytał w pewnej chwili Giulio.

I oto jestem tutaj, w pokoju 405 hotelu Duca d’Alba, opłaconym przez producenta filmu kryminalnego, w którym on gra małą rolę.

Moje dłonie zanurzają się teraz w burzy jego blond włosów. Giulio przypiera mnie do szafy i unosi mi jedną nogę, zginając ją w kolanie, tak że obejmuje go wokół biodra. Nasze języki pożerają się nawzajem, płoną i walczą ze sobą w coraz bardziej szalonym rytmie. Potem on schodzi niżej, wsuwa głowę między moje nogi, pod minispódniczkę, przyciskając moje uda do swoich szorstkich policzków. Czuję strużkę wilgoci spływającą pod bielizną – jestem mokra,

a jego język jest taki niecierpliwy. Aż za bardzo.

Chwytam go mocno za głowę i odsuwam, zmuszając, by wstał. On się nie zniechęca i zdecydowanym gestem zrywa ze mnie spódniczkę, zostawiając mnie w stringach, pończochach i szpilkach na dwunastocentymetrowym obcasie. Potem zaczyna rozpinać mi bluzeczkę, wsuwa dłoń pod stanik, frenetycznymi ruchami szukając moich sutków. Wtedy ja sięgam dłonią do jego rozporoka i ściskam jego męskość, aż czuję, jak jeszcze bardziej rośnie. Wbijam w niego wzrok, ale tak naprawdę wcale na niego nie patrzę, oczy mam napuchnięte od alkoholu i zmęczenia. Z jeszcze większą siłą popycham go na łóżko i każę mu usiąść przede mną. Dziś wieczorem to ja będę wydawać rozkazy.

– Rozbieraj się – rozkazuję.

– OK – odpowiada, uśmiechając się, i rozwiązuje spokojnie sznurówki. – Lubię dominujące kobiety.

Zaczyna się rozbierać. Najpierw ściąga buty i skarpetki, potem zdejmuje przez głowę koszulę i zostaje nagi od pasa w górę. Jest chudy, ale jego klatka piersiowa jest tak umięśniona, że sprawia wrażenie zbroi. Wpatruje się we mnie tymi swoimi oczami, które zdają się roztopiać, powolutku wyciąga ze spodni pasek i kładzie go na łóżku.

Zdejmuję mu spodnie, pociągając za nogawki, po czym rzucam je na dywan, obok mojej spódniczki. Następnie ujmuję pasek, zaciskam mocno w dłoni i strzelam nim w powietrzu jak batem. Sprzączka uderza o ziemię w miejscu, gdzie pada nieco przytłumionego światła. Jej błyskowi towarzyszy metaliczny dźwięk. Giulio uśmiecha się, rozbawiony.

Sprawia wrażenie równie rozluźnionego co ja. Jest gotów rozpocząć zabawę.

Sadowię się między jego nogami i powoli zaczynam przesuwać końcówką paska po jego nagiej skórze. Od szyi zjeżdżam wzdłuż linii klatki piersiowej, rysując kółeczka wokół sutków. Docieram aż do pępka, a potem znów wędruję do góry. Łaskoczę go, a jego ciało się napina – drażni go szorstka skóra paska. Cały jest dreszczem, mogę wyczytać to w jego spojrzeniu. Zarzucam mu pasek na kark i zapinam jak obrozę. Odcina się od jego jasnej skóry, wygląda jak czarny wąż z lśniącą, metalową główką. Niesamowicie podnieca mnie ten widok.

– Co chcesz mi zrobić? – szepcze, gdy podnoszę się z klęczek.

Teraz w jego oczach o kolorze mętnej zieleni błyska ogień. Rozpina mi stanik,

przysuwa się do jednego z moich sutków, które w tej chwili są na wysokości jego ust, i przejeżdża wokół niego językiem.

– Ćśśś... zaraz zobaczysz – szepczę i popycham go w stronę zagłówek łóżka.

Wciąż na stojąco, nie spuszczać z niego wzroku, zsuwam jedną pończochę. Unoszę jego lewą dłoń, owijam materiał wokół nadgarstka i zawiązuję go, tworząc samozaciskowy węzeł. Potem powtarzam całą operację na prawej ręce, a końcówki mocuję do poprzecznej części żelaznej ramy łóżka. Zaciskam materiał mocno, aż do bólu. Nylon o grubości sześćdziesięciu den napina się, lecz nie pęka. Gwałtownie ściągam Giuliowi bokserki, z siłą, jakiej nie powstydziliby się mężczyzna.

Zostawiam go tak, nagiego i unieruchomionego, a sama podchodzę do stojącego w kącie stolika. Ze

spokojem nalewam sobie pół szklanki szkockiej, zachowując się, jakby on nie istniał. Czuję rosnące podniecenie, rozpoznaję je w przyspieszonym rytmie serca i w pulsowaniu w skroniach. Moje piersi są nabrzmięte, parzą. Być może przekraczam granicę, ale nie dbam o to, dziś wieczorem nie czas na rozterki. Liczy się tylko przyjemność.

– A ja? – pyta Giulio, patrząc na mnie jak zamknięte w klatce zwierzę. – Nie poczęstujesz mnie? – pyta błagalnym tonem.

– Najpierw zobaczymy, czy będziesz grzeczny.

Potrząsa głową ze smutkiem, ale widzę, że ta gra mu się podoba.

Podchodzę do stojącego przy biurku krzesła i przysuwam je do łóżka. Stawiam szklankę na ziemi, po czym siadam i patrząc na niego, kładę mu nogę

w poprzek ciała. Moja stopa wędruje teraz po jego ciele, masuje jego twardą męskość, palce wsuwają się między włoski na klatce piersiowej, po czym wędrują do góry, by muskać szyję i pieścić usta.

Giulio odchyła głowę i językiem podąża wzdłuż łuku mojej stopy, tam, gdzie skóra jest najbardziej delikatna. Moja stopa wygina się w poszukiwaniu jego pocałunków, pragnie ich, palce wsuwają mu się do ust i pozwalają ssać. Do środka i na zewnątrz... I tak bez końca. Delikatne wyładowania elektryczne biegną po mojej nodze w górę, aż do łona, lecz zatrzymują się tam, na powierzchni. Nie wchodzi dalej. W głębi nie jestem w stanie poczuć niczego.

– Dobrze – szepczę przekonująco.

Nie czuję nic, ale on robi to dobrze, muszę przyznać. Podnoszę z podłogi szklankę i podsuwam mu do ust.

– Dziękuję – mówi, oblizując wargi.

– Zasłużyłeś – odpowiadam aksamitnym głosem.

Potem zrywam się na równe nogi, przewracając kopniakiem krzesło, i wchodzę na łóżko. Siadam okrakiem na moim kochanku. Mój język, na którym wciąż czuję whisky, budzi się i zaczyna ślizgać po jego skórze, od szyi aż do pępka, w górę i w dół. Lizanie go sprawia mi przyjemność. Dobrze pachnie – perfumami Armani Code, a może raczej Gucci Guilty. Zасыpuję jego podbrzusze pocałunkami, z początku czułymi, a potem coraz bardziej agresywnymi, zupełnie jakby ugryzła mnie tarantula.

Czuję na sobie jego podniecony oddech. Poniżej jego talii wszystko

zaczyna się napinać. Ujmuję jego penis i przesuwam nim po koronkowym materiale moich stringów, najpierw delikatnie, potem coraz szybciej. Poprzez jego przyjemność szukam swojej. Zsuwam bieliznę i otaczam go na chwilę moim ciepłym ciałem.

Następnie przesuwam się w dół i biorę go do ust, pozostawiając na nim trochę śliny. Z jego ust wyrywa się gardłowy jęk. Wracam na górę, zakrywam mu dłonią usta, a drugą rozsuwam wargi mojej muszelki. Wsuwam go w siebie, czuję, jak wypełnia mnie w środku. Krew pulsuje, serce – nie. Poruszam się w górę i w dół, ale niczego nie czuję. Chwytam za pasek, który założyłam mu na szyję, i zaciskam pętlę nieco mocniej, prawie go dusząc. Przez chwilę dostrzegam w jego oczach wyraz zaskoczenia, na skroni nabrzmiwa mu żyła, widzę, że jest

podniecony. Ale ja wciąż nic nie czuję. Nic poza lekkimi mdłościami spowodowanymi ilością alkoholu, którą wlałam w siebie dziś wieczorem.

Wyciągam rękę i gaszę także lampkę nocną. W ciemności czuję się bezpieczniej. Przez zasłony przenika z zewnątrz cienka struga białego światła, rysując linię na ścianie nad łóżkiem. Wpatruję się w nią, żeby na czymś zawiesić wzrok. Giulio porusza się we mnie, ale czuję się, jakbym była sama. Udujam orgazm i nie wiem, czy robię to bardziej dla niego, czy dla siebie.

Pozwalam, by doszedł we mnie, a potem odsuwam się i wstaję z łóżka. Nagle wśród moich skotłowanych myśli materializuje się pewien pomysł – prawdziwą przyjemność osiągnę jedynie, jeśli pójdę sobie, zostawiając go związanego. To będzie czysto sadystyczna rozkosz, ale

przynajmniej będzie zabawnie. Być może myślałam na głos, bo on wyraźnie się zorientował, co mi chodzi po głowie.

– Elena? – woła mnie, podczas gdy ja zbieram z dywanu ubrania.

Nie odpowiadam.

– Hej, mała, co robisz? Gdzie się podziałaś? – pyta lekko zmienionym głosem.

Mała? Znamy się od pięciu godzin, a on już mówi do mnie per „mała”. Być może wydaje mu się, że jest na planie zdjęciowym. Słyszę, że próbuje się wyswobodzić, ale bez powodzenia. Nylon daje radę.

– Jestem tu – odpowiadam szeptem – ale niedługo już mnie nie będzie.

– Cholera, Elena! – krzyczy, waląc zagłówkiem łóżka o ścianę. – Nie możesz mnie tak zostawić.

Wkładam z powrotem stringi i zapalam światło. Widzę, że próbuje rozerwać zębami pończochy. Uśmiecham się mimowolnie.

– No, mała, rozwiąż mnie – nalega. – To wcale nie jest śmieszne.

Rzuca mi oburzone spojrzenie. O dziwo jego penis jest wciąż twardy.

– Niedługo mam nakręcić ostatnią scenę. O szóstej muszę się stawić na planie zdjęciowym.

Kątem oka spogląda na stojący na stoliku nocnym zegarek, który wskazuje czwartą.

– Rozwiąż mnie, kurwa! – nagle jego głos podnosi się o dziesięć tonów.

– Krzyczysz tak w scenie, w której cię zabijają? – pytam z nutą sarkazmu.

Prawie mi go żal. Stał się znany dzięki reklamie czekoladek, teraz dostał jakąś rolę w filmie, a zachowuje się, jakby był

kandydatem do Oscara. Naprawdę mnie kusi, żeby go tam zostawić, ale w ostatniej chwili jednak się rozmyślam i postanawiam okazać mu litość.

– No już – mówię uspokajająco.

Podchodzę powoli, siadam na nim okrakiem, ściągam mu z szyi pasek i rozwiązuję go, rozsypując jeden węzeł po drugim.

– Jesteś wolny! – ogłaszam, wzruszając ramionami, po czym zeskakuję na podłogę.

– O nie, ty kurewko...

Chwyta mnie z tyłu za włosy, uniemożliwiając ucieczkę.

– Gdzie się wybierasz? Zaraz mi za to zapłacisz.

W jego głosie wściekłość miesza się z pożądaniem.

Nie wiem czemu, ale ten jego furiacki atak rozbudza mnie i podnieca. Silnie

popycha mnie na ścianę. Staje za mną i ściąga mi stringi, a stopami rozstawia mi szerzej nogi. Potem, chwytając mnie za biodra, zgina mnie w pół i natychmiast zanurza we mnie cały penis, wciąż jeszcze duży i twardy. Zdaje mi się nawet większy niż wcześniej, ale być może nie powinnam w tej chwili ufać swoim zmysłom. Wypełnia mnie w gniewnym porywie, a ja karmię się jego dzikością. Wczepia się palcami w moje piersi i wgryza w moją szyję. Słyszę, jak jęczy z czystej rozkoszy, a ja, z całą mocą odpychając się dłońmi od ściany, zmuszam się do udawania, że czuję to samo. Potem on chwyta mnie pewnie za pośladki, wysuwa się ze mnie, żeby zaraz wejść znowu, z większą agresją, tak mocno, że zmusza mnie do krzyku. Ale nie odczuwam rozkoszy. Po ostatniej nocy z Leonardem zapomniałam, czym

jest przyjemność. Odkąd sześć miesięcy temu on odszedł, moje ciało stało się puste i nieme, nie potrafi już reagować na bodźce.

Giulio na chwilę przestaje.

– Chcesz jeszcze? – warczy mi do ucha.

– Tak, proszę cię... Chcę dojść – szepczę, z trudem łapiąc oddech.

W rzeczywistości chcę tylko, by ta udręka jak najszybciej dobiegła końca.

On wydaje z siebie gardłowy pomruk i przyspiesza tempo, wchodząc głębiej, mocniej, szybciej, aż do ostatniego ruchu. Skończyło się – mogę opaść na ziemię, wyczerpana. W głowie mi się kręci, a w brzuchu przewraca.

Leżę tak przez chwilę, podczas gdy Giulio z prędkością światła się ubiera, najwyraźniej będąc już myślami na planie zdjęciowym. Patrząc na niego,

podobnego do dziecka, które jest całkiem zaabsorbowane samym sobą i straciło wszelkie zainteresowanie swoją zabawką, odczuwam mieszankę czułości i obrzydzenia. Nic do niego nie czuję, podobnie jak do innych mężczyzn, z którymi byłam po Leonardzie. Żaden z nich nie potrafił tak jak on rozwibrować rozkoszy w moim ciele. Żaden z nich nie umiał przywrócić rytmu mojemu sercu, które pompuje krew już tylko siłą inercji, bo wydarto mu miłość.

Giulio przyciąga mnie do siebie i szuka mojej skóry swoimi ciepłymi ustami. Potem po raz ostatni poprawia przed lustrem włosy i otwiera drzwi.

– To był fantastyczny wieczór, Eleno. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy. Masz mój numer. Zadzwoń do mnie.

– Jasne – odpowiadam, spuszczać wzrok.

Ale oboje wiemy, że tego nie zrobię. Wszystko dobiega końca tutaj, w tych czterech cichych ścianach.

Wychodzimy razem z hotelu i zegnamy się na ulicy. Zataczam się i mam ciężką głowę, ale znajduję jeszcze siłę, by zadzwonić po taksówkę, która odwiezie mnie do domu.

Wysiadam na Campo de' Fiori, żeby trochę się przejść i pełną piersią odetchnąć nocnym rzymskim powietrzem – tym balsamem na ból wwiercającym się od pępka aż po żołądek. Ale spokój trwa raptem chwilę, bo niebawem powracają mdłości – męczące i nieustępliwe. Dwoi mi się w oczach. Jestem pijana w sztok, co zdarza mi się regularnie, odkąd zamieszkałam tu parę miesięcy temu.

Czemu po raz kolejny doprowadziłam się do tego stanu? Nie mam co do tego

żadnych wątpliwości. Spędzanie nocy na mieście i odurzanie się alkoholem oraz seksem to jedyny znany mi sposób, by poradzić sobie z poczuciem pustki, którą pozostawił po sobie Leonardo. Upłynęło zaledwie parę miesięcy, ale mam wrażenie, że to cała wieczność. On mówiący mi, że mnie kocha. Ja rzucająca Filippa, by zaraz potem odkryć, że Leonardo ma żonę, Lucrezię, która nie może się bez niego obejść. A potem moja rozpacz – bo straciłam wszystko. Myślenie o tym za bardzo boli i jakiś czas temu podjęłam postanowienie, by nie powracać myślami do tych spraw. Jedynie, co mi pozostaje, to wymazać to, co było, zbudować sobie nowe życie – chaotyczne, gorączkowe, pozbawione sensu – ale nowe.

Oddycham głęboko z nadzieją, że to pozwoli mi odpędzić mdłości,

i spoglądam w górę, zanim ruszę w kierunku domu. Jest wiosenna noc, a krążek księżycy ledwo widać na niebie. Przemierzam Campo de' Fiori – cichą, magiczną pustynię. Jakiś obnośny handlarz przybył z kilkugodzinnym wyprzedzeniem na poranny targ i rozstawia swój kram. Koniecznie muszę ściągnąć te szpilki i rzucić się na łóżko. Przyspieszam więc kroku.

Wciąż mieszkam z Paolą. Przestała się już dziwić moim nocnym powrotom, ale ostatnio coraz bardziej się o mnie martwi, szczególnie że nie udaje mi się skupić już nawet na pracy. Jej paranoje nic mnie jednak nie obchodzą – powinna zrozumieć, że w gruncie rzeczy nie robię nic złego i jestem w stanie sama o siebie zadbać.

Wchodzę po schodach, z trudem utrzymując równowagę, a każdy stopień zdaje mi się kolejnym etapem żmudnej, odbierającej dech wspinaczki. Mdłości się nasilają, w głowie jeszcze mocniej mi się kręci, a moje kroki stają się coraz bardziej chybotliwe.

Dotarwszy na piętro, upewniam się, czy trafiłam pod właściwy adres. Pod dzwonkiem odczytuję nazwisko „Ceccarelli”. OK, po raz kolejny mi się udało. Szukam dłonią dziurki od klucza i po kilku niezdarnych próbach udaje mi się wsunąć klucz do zamka i otworzyć. Jestem w środku, ale klamka wyslizguje mi się z ręki, tak że drzwi zatrząskują się za mną z hukiem. Cholera! Tylko tego brakuje, żeby Paola się obudziła.

Z wysiłkiem ściągam kozaki, żeby nie stukać obcasami, i na bosaka wlokę się korytarzem. Powstrzymując odruch

wymiotny, zmierzam do łazienki, a tam... potykam się o kamienną podpórkę do drzwi w kształcie kota.

– Au! Kurde, ale boli... – wykrzykuję głośno, łapiąc się za paznokieć u małego palca.

Cholerne koty! Są rozstawione po całym mieszkaniu, a ja w tej chwili ledwo jestem w stanie utrzymać się na nogach, a co dopiero pamiętać o takich szczegółach.

Jeszcze krok i docieram do łazienki. Wreszcie – a już myślałam, że nie dam rady. Szukając włącznika światła przy lustrze, zrzucam na ziemię flakonik perfum Paoli – Chanel N°5. Rozlega się przeraźliwy brzęk szkła rozbijającego się o kafelki, płyn rozlewa się po podłodze, intensywny zapach zwała mnie z nóg, przez nos uderzając prosto do głowy, a stamtąd do żołądka... Totalna

katastrofa! Nie wytrzymam, teraz już wiem.

– Co to za burdel?

Paola staje w drzwiach łazienki w szlafroku, z twarzą napuchniętą od snu i potarganymi włosami. Przeciera oczy i patrzy na mnie, jakby znalazła się twarzą w twarz z duchem.

– Eleno, wszystko w porządku?

– Oczywiście odkupię ci te perfumy – bełkoczę, opierając się jedną ręką o umywalkę i oddychając głęboko.

– Jesteś zielona na twarzy – odpowiada, podchodząc do mnie. – Ile wypijaś?

– Spokojnie... wszystko w porządku – wyciągam przed siebie rękę. – Poradzę sobie sama.

Kiedy próbuję ją od siebie oddalić, oblewa mnie zimny pot.

Nagle czuję, jakby coś w rodzaju gorącego rosółu zakipiało mi w żołądku i zaczęło podchodzić aż do gardła. Chwyta mnie skurcz, od którego uginają się pode mną kolana. Żołądek wywraca się na drugą stronę. Instynktownie podnoszę dłoń do ust, ale już wiem, że się nie powstrzymam, że moje ciało nie jest w stanie poradzić sobie z obrzydlistwem, które w siebie wlewałam przez cały wieczór. Pochylam się do przodu i wymiotuję. Do umywalki.

– Niech cię cholera!

Paola podtrzymuje mnie, podkładając mi dłoń pod czoło, a kiedy wydaje się, że na razie mi przeszło, prowadzi mnie cierpliwie w kierunku sedesu. Gdy odgarnia mi włosy z twarzy, przechodzi mnie kolejny skurcz i znowu wymiotuję. Kiedy skończy się ta męczarnia?

Wstyd mi. Czuję się jak bezużyteczna szmata i w tej chwili brzydzę się sobą. Osuwam się na podłogę, posyłając Paoli zagubione spojrzenie i głupawy uśmiech. Potem zaczynam drżeć. Uważając, by się nie pobrudzić, opiera mnie o wannę i oczyszcza mi twarz wilgotnym ręcznikiem. Jestem bezwładnym ciałem w jej rękach. Spoglądam bezmyślnie w lustro. Mam pobladłe usta i twarz gorączkującego dziecka. Paola przemywa mi teraz czoło. Patrzę na nią nieco nieobecny, lecz pełnym wdzięczności wzrokiem, tak jak czynią to bezdomni, których zdarza mi się spotykać nocą na ulicy.

– Eleno... – kręci głową, a w jej głosie wyrzut miesza się z czułością. – Po co tak się upadlać?

Szczerze mówiąc, nie wiem.

– Ale wiesz, to był fajny wieczór. Ubawiłam się – wyrzucam z siebie jednym tchem, po czym zwieszam się bez sił na krawędzi wanny.

Paola musi mnie niemal nieść do sypialni. Potem pomaga mi się rozebrać i układa mnie pod kołdrą. Żołądek wciąż mi dokucza, a wzdłuż kręgosłupa wędrują dreszcze. Zmusza mnie, żebym zjadła kawałek chleba, który wchłonie soki trawienne, odsuwa trochę kołdrę i siada na skraju łóżka, na wolnej przestrzeni obok mojego bezsilnego ciała. Rozgląda się wokół i kręci głową. W moim pokoju panuje absolutny chaos – całość sprawia wrażenie sypialni zbuntowanej nastolatki. Na dywanie walają się papierki po czekoladkach After Eight, na biblioteczce piętrzy się kolekcja pustych puszek po coca-coli i butelek po piwie, a na biurku rozsypana

jest zawartość pudełka czekoladowych kelloggsów. Tu i ówdzie leżą zwinięte w kłębek ciuchy, rozrzucone po kątach majtki i staniki... Krótko mówiąc – rozgardiasz wokół mnie idzie w parze z tym, który mam środka.

Siedząca przy mnie Paola przypomina mi moją matkę, która opiekowała się mną, gdy byłam chora i nie szłam do szkoły. Mam wrażenie, że widzę jej oczy.

– To już drugi raz w tym tygodniu. Mówisz, że się dobrze bawisz, ale wcale nie wygląda to zabawnie.

Potakuję, jakbym odpowiadała na niezadane pytanie, opuszczam powieki. Udaję, że już zasypiam. Nie jestem teraz w stanie słuchać kazania, to by mnie zabiło – ale w głębi duszy wiem, że ona ma rację.

Paola odgarnia mi z czoła kosmyk włosów i kontynuuje:

– Marnujesz się, Eleno. Tak bardzo bym chciała, żebyś to zrozumiała... Wiem, że nie masz ochoty mnie teraz słuchać, ale i tak ci to powiem...

Wciąż ukrywam się za zamkniętymi powiekami. Marnuję się – może to i prawda, ale kogo to obchodzi? Marnowanie się przynosi mi ulgę, wyzwalenie się od siebie pozwala mi zachować namiastkę zdrowia psychicznego, sprawia, że jest mi lżej. Bardzo cierpiałam po tym, co wydarzyło się z Leonardem, tak bardzo, że sądziłam, że tego nie przetrwam, ale w pewnym momencie, czy się tego chce, czy nie, nawet ból się wyczerpuje. A wówczas w środku pozostaje pustka, która jest jeszcze gorsza. By ją wypełnić, zaczęłam nadużywać wielu rzeczy: seksu, jedzenia, alkoholu, krótko mówiąc wszystkiego, co życie ma mi do zaoferowania, choć dobrze wiem,

że żadna z tych rzeczy nie przyniesie spełnienia.

– Rozmawiałam dziś z Ricciardim – mówi Paola ostrożnie. – Nie gniewa się na ciebie, może jeśli go przeprosisz i wszystko sobie wyjaśnicie, przyjmie cię na nowo do pracy.

– Dupek – mamroczę ze złością, ożywiając się na chwilę.

Ricciardi jest kierownikiem prac restauracyjnych w Villi Medici. Gdy ukończyłyśmy zlecenie w San Luigi dei Francesi, padre Sèrge, zgodnie z obietnicą, polecił nas kolejnym zleceniodawcom i zostałyśmy przyjęte do zespołu zajmującego się następną restauracją. Ale ja z miejsca zniecierpliwiona mojego szefa, tego małostkowego kurdupła. Wciąż mi dogadywał, tylko dlatego, że czasem się spóźniałam i raz, nieco ogłupiała po przetańczonej do świtu

nocy, narobiłam bałaganu w barwnikach. W końcu wybuchłam i rzuciłam pracę, trzaskając za sobą drzwiami. Już nie jestem dawną Eleną. Kiedyś nawet nie przeszłoby mi przez myśl, by tak się zachować, a teraz proszę – zrobiłam to i jestem z siebie zadowolona. Niedoczekanie, żebym poszła błagać go o przyjęcie z powrotem do pracy. Zresztą bezrobocie wcale nie jest takie złe – mogę robić z moim czasem, co mi się żywnie podoba. I nie muszę słuchać niczyich rozkazów.

Paola jednak zdaje się nie podzielać mojego poglądu na tę sprawę:

– Może i Ricciardi jest dupkiem, ale ty też nie jesteś niewiniątkiem. Pamiętaj, chodzi przecież o pracę, Eleno!

Zirytowana odwracam głowę w drugą stronę, wciąż zaciskając oczy. Dość tego! Wychodzi mi już bokiem filozofia

poświęcenia, którą Paola codziennie stara się kłaść mi do głowy, i nie zamierzam wysłuchać ani słowa więcej tego kazania.

Mam już alergię na wszystkie morały, które mi prawisz, droga Paolo. Wiem, zarzygałam ci łazienkę, stłukłam perfumy, zamieniłam ten pokój w chlew i przykro mi z tego powodu, ale dlaczego musisz w tej chwili zadręczać mnie Ricciardim? Dla ciebie lekarstwem na ból, sposobem na zapomnienie o twojej eks-kochance, Gabrielli, było rzucenie się w wir pracy i zdaje się, że w twoim wypadku to zadziałało... Ale co ja poradzę, że ze mną jest inaczej, że ja wybrałam drogę ucieczki? Być może oddanie się zabawie bez ograniczeń jest mniej elegancką strategią unikania rzeczywistości i być może zdarzało mi się nieco tracić kontrolę, ale wreszcie czuję się wolna – wolna od kompleksów,

a przede wszystkim od myśli. A teraz błagam, Paola, skończ już, daj mi chociaż spać w spokoju.

– Jasne, Paola, tak... zrobię tak, jak mówisz – bełkoczę z wysiłkiem, wiercąc się w łóżku. – Ale teraz muszę się wyspać.

– W porządku, Eleno.

Słyszę, jak odchodzi i zamyka za sobą drzwi. Zanurzam twarz w poduszce i myślę o wszystkich niedawnych ekscesach, mojej pogoni za wolnością, desperackim poszukiwaniu przyjemności. Choćbym nie wiem jak mocno próbowała go zagłuszyć, ból wciąż tkwi tam, gdzie się zagnieździł, gdy pozwoliłam Leonardowi odejść. Po twarzy spływa mi gorzka łza. Płacę nad sobą, nad krzywdą, którą za wszelką cenę chciałam sobie zadać podczas nocy spędzonej z Giuliem, a także tych

poprzednich, z wszystkimi innymi kochankami. Sądziłam, że uwolnię się od widm przeszłości, a tymczasem czuję się jeszcze bardziej pusta, nie jestem już nawet w stanie cieszyć się tym, co przy nim sprawiało mi nieopisaną rozkosz – seksem. Tak, wiem, wykorzystując mężczyzn, nie rozwiążę swojego problemu. Ale w ten sposób przynajmniej zyskuję złudzenie, że jestem zajęta i że odzyskuję choćby skrawek normalności, która obecnie zdaje mi się nieuchwytna. Prędzej czy później trafię na tego właściwego, który naprawi zepsuty mechanizm. „Tobie też się to przydarzy” – powtarza mi w kółko Gaia. I mam wielką nadzieję, że się nie myli.

Ona już znalazła tego właściwego. Za tydzień wychodzi za mąż, a ja będę jej druhną. Gaia Chinellato, królowa weneckiego PR, oraz Samuel Belotti, mistrz

kolarski – ślub roku! Na początku tego „romansu”, jeśli to w ogóle odpowiednie słowo, nie postawiłabym na jego powodzenie złamanego grosza, a tymczasem... tymczasem jutro w południe muszę wsiąść w pociąg do Wenecji, a Gaia, moja najlepsza przyjaciółka, stanie się wkrótce czyjąś żoną.

Uśmiecham się do siebie w ciemnościach. Ciało zdaje mi się nagle nieco mniej ociężałe. Świta już, ale mam jeszcze trochę czasu dla siebie, by zebrać siły przed wielkim wydarzeniem.

Słodkich snów, Eleno. Jutro czeka cię kolejna mała bitwa.

2

Jestem w Wenecji od dwóch dni, a to miasto zdążyło na nowo mnie podbić. Należę do niego, nic na to nie poradzę. Jest jak Wenus, zmysłowo wyciągnięta na wodach Laguny, która rzuca na ciebie czar, gdy za długo zatrzymasz na niej wzrok. Tutaj, pomimo ciągłych przypływów i odpływów, wszystko pozostaje takie samo.

Powrót do dawnego mieszkania po miesiącach nieobecności był dla mnie jak padnięcie w objęcia wspomnień pełnym szczęścia i melancholii. Jak zakochanie się drugi raz w tej samej

osobie. Na szczęście płacę właścicielowi naprawdę symboliczną kwotę za czynsz, więc nie musiałam rezygnować z mojej weneckiej siedziby, mimo że przeniosłam się do Rzymu.

Ale z chwilą mojego wyjazdu te pokoje zostały puste, nieruchome. Czasem tylko moja mama wstępowała tu, żeby zetrzeć kurze, ale całą resztę zostawiła nietkniętą – książki, płyty CD i DVD, kartki z moimi szkicami, notesy w szufladach. Wszystko jest na swoim miejscu, choć na pewno z ciekawości rzuciła na nie okiem.

Naprawdę nic się tu nie zmieniło, nawet powietrze. Niekiedy odnoszę wrażenie, że wciąż mogę wyczuć zapach Leonarda, choć minął już ponad rok od ostatniego razu, kiedy się tutaj kochaliśmy. Udało mi się pozbyć uczuć, które do niego żywiłam – być może – ale nie wspomnienia o nim, które co jakiś

czas powraca do mnie niczym mara. Gdybym mogła, zamieniłabym swój umysł w *tabula rasa*, jak w filmie *Zakochany bez pamięci*. Niedawno obejrzałam go kolejny raz, całą sobą pragnąc, aby naprawdę istniał sposób na zresetowanie wspomnień. Poddałabym się terapii ze spokojem, bez wątpliwości, które zaczyna odczuwać w ostatniej chwili bohater grany przez Jima Carreya. „Serce nie sługa” – co za bzdura. Ja moje serce zakneblowałam, zamknęłam je w szufladzie i wyrzuciłam kluczyk. Zobaczymy, czy będzie jeszcze w stanie narobić szkód...

Tej nocy jednak należące do mojej sąsiadki Clelii kotki, obecnie w rui, intensywnie starały się przypomnieć mi, że nadszedł sezon miłości. Na Campo San Vio było jak na Dzikim Zachodzie, a do mojego okna dobiegały piski

i pomiaukiwania przyprawiające mnie o dreszcze. Godzinami przewracałam się z boku na bok, tęskniąc za sztucznymi kotami Paoli – tak ładnymi i cichymi. Po przeciwnej stronie materaca szukałam dłoni, którą mogłabym chwycić, ciała, w które mogłabym się wtulić, ale byłam sama. Jestem sama. Nie żądam miłości, wystarczyłby mi sam seks. Gaia mówi, że uprawianie seksu dla niego samego nie jest w moim stylu, bo mimo wszystko pozostałam romantyczką... Ale ona nie rozumiała do końca, jak bardzo miłość mnie rozczarowała. Teraz zamierzam trzymać się od niej z daleka.

W tej chwili jestem właśnie w drodze do niej. Dziś wieczorem odbędzie się przyjęcie niespodzianka z okazji jej pożegnania ze stanem wolnym. Gaia oczywiście niczego się nie spodziewa, myśli, że będzie to po prostu cicha

kolacja w towarzystwie trzech dziewczyn. Tymczasem będzie musiała wziąć udział w prawdziwym cyrku upokarzających i krępujących zabaw, które my, jej najlepsze przyjaciółki, przygotowaliśmy dla niej z całą miłością.

Przyciskam guzik domofonu, a kiedy wspinam się po schodach prowadzących do loftu, widzę Gaię wypychającą za drzwi Samuela Belottiego, mężczyznę, który za cztery dni zostanie jej mężem. Ten jak kot chwyta się futryny, chcąc skraść jej jeszcze choć jednego buziaka. Jej zaś takie zachowanie zdaje się wcale nie przeszkadzać...Odkasłuję, żeby zasygnalizować swoją obecność i przerwać ich wymianę czułości.

– O, nasza świadkowa – Samuel się obraca i posyła mi jeden ze swoich uśmiechów prosto z okładki.

– Mam nadzieję, że wam w niczym nie przeszkodziłam?

Gaia wybucha śmiechem.

– Samuel właśnie wychodził – odpowiada stanowczo, jednocześnie wbijając w niego ogniste spojrzenie. – Prawda? – kończy, całując go namiętnie z języczkiem.

Sprawiają wrażenie porządnie wyposzczonych.

– Migdalcie się dalej, nie zwracajcie na mnie uwagi – burczę, śmiejąc się pod nosem i w ramach protestu obracam się do nich plecami.

Orientuję się przy tym, że na półpiętrze stoi facet o poważnej minie, spojrzeniu jastrzębia i ze słuchawką bluetooth założoną na prawe ucho. To manager Belottiego. Wzrusza ramionami i patrzy na mnie z wyrazem bezradności.

Pewnie już się przyzwyczał do takich przesłodzonych i żenujących scen.

– Jesteś pewna, że muszę już iść? – pyta Samuel, kładąc dłoń na pupie Gai.

– Tak! – mruczy ona.

Wiem, że gdyby nie nasz babski wieczorek, chętnie zostałaby przyklejona do jego ust.

– Sio już, sio – rzuca po chwili i definitywnie wypycha go za próg.

– Oddaję ją w twoje ręce – mówi Samuel, tak jakby przeczuwał, jaki los czeka Gaię po jego wyjściu. – Ma być cała i zdrowa!

– Już ty się nie martw – puszczam do niego oko. – No i też trzymaj dziś wieczorem fason – dodaję szeptem.

Słyszałam, że koledzy zorganizowali mu wieczór kawalerski w Padwie. Też pewnie dadzą mu popalić.

– Taki mam zamiar – szepcze, rzucając Gai pełne żaru spojrzenie. – Zresztą nie mogę bawić się do późna. Jutro mam czasówkę – mówi głośno, wypinając pierś i tocząc wokoło dumnym spojrzeniem.

– No to powodzenia – odpowiadam mu z uśmiechem i ruszam do wejścia.

– Wygraj, kochanie! – świergocze ze środka Gaia.

– Masz to jak w banku! – posyła jej buziaka i zbiega po schodach, a w ślad za nim rusza jego manager.

Odkąd zeszłego lata Gaia poinformowała mnie, że wychodzi za mąż, widziałam Samuela raptem trzy razy, ale za to ona opowiadała mi o nim wszystko – do tego stopnia, że znam go, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi. Jest odnoszącym sukcesy sportowcem, wytrwałym i z oczywistą żyłką do

rywalizacji, i kiedy się uprze, żeby wygrać wyścig lub zdobyć kobietę swojego życia, nikt go nie powstrzyma. Do tego jest piękny jak marzenie – ma perfekcyjne męskie rysy, grecki profil, mięsiste usta i zęby tak białe, że za każdym razem, gdy się uśmiecha, wyświetla mi się w głowie reklama pasty do zębów. Jego wenecki akcent jest wyraźnie słyszalny, ale jednocześnie głos ma głęboki i piękny. To typ faceta, który wie, jak oczarować kobiety, a zarazem zaskarbić sobie sympatię innych mężczyzn. Jakby tego było mało, jest też bogaty – ma mieszkanie w Monte Carlo, ogromną willę na wsi w regionie Veneto i kolekcję wyścigowych motorów, do której co miesiąc dorzuca kolejny eksponat. Człowiek spodziewałby się, że taka osoba będzie mieć co najmniej gigantyczne ego, ale wcale tak nie jest. Owszem, jest

trochę zadufany, ale nie aż tak, by było to irytujące. Jak każda osoba świadoma własnego talentu, jest bardzo pewny siebie i ekstrawertyczny, i jeśli czasem trochę przesadza, chętnie mu się to wybaczają.

Kiedy trochę go poznałam – no dobrze, jak tylko zamieniłam z nim pierwszych parę słów – pozbyłam się wszelkich uprzedzeń, które początkowo wobec niego żywiłam. Zrozumiałam, że jeśli pozwalał Gai się za sobą uganiać, nie wynikało to z wyrachowania czy braku zainteresowania, lecz z faktu, że poświęcał się swojej drugiej wielkiej namiętności – kolarstwu. Ostatecznie przekonała mnie Gaia, której nigdy dotąd nie widziałam równie zdecydowanej i zakochanej. Z perspektywy czasu cieszę się jednak, że wybrała jego, a nie Brandoliniego. Choć to była historia jak

z bajki, między nią a hrabią brakowałoby prawdziwej miłości. Podsumowując, jako świadkowa mogę wypełnić swoje zadanie z pełnym przekonaniem.

Wchodzę do mieszkania młodej pary i stwierdzam, że pozostałe dziewczyny są już na miejscu. Alessandra, młodsza siostra Gai, mieszkająca w Londynie i już dwa lata po ślubie z niejakim Kevinem – facetem w rodzaju Lenny’ego Kravitz’a w wersji „rasta” – krząta się w kuchni, przygotowując półmisek z kanapeczkami. Valentina, Serena i Cecilia, przyjaciółki z czasów liceum, wszystkie trzy zwariowane singielki – siedzą na kanapie, popijając koktajle Bellini i chrupiąc orzeszki. Wyglądają, jakby właśnie wyszły z całodziennego posiedzenia w studiu makijażu i fryzjerstwa – całe promienieją w swoich superobcisłych minisukienkach. Nie

wiem, czy ubrałam się adekwatnie – mam na sobie wygodne jeansy i T-shirt w stylu vintage. Zauważam jednak, że Gaia też postawiła na podobny styl. Przynajmniej się postarałam i włożyłam dwunastocentymetrowe szpilki od Paciottiego, które dodają całemu lookowi eleganckiego sznytu.

Na pomysł urządzenia wieczoru panińskiego wpadła Valentina. Ona też pracuje jako specjalistka od PR w nocnych lokalach i kiedy tylko się dowiedziała, że przyjeżdżam do Wenecji, natychmiast włączyła mnie w przygotowania do przyjęcia niespodzianki. Utrzymanie sprawy w tajemnicy nie przyszło mi łatwo, biorąc pod uwagę dociekliwość mojej przyjaciółki i moją słynną nieumiejętność unikania podchwytliwych pytań, ale udało się i teraz mogę odpowiedzieć na

puszczone przez Vale oko dumnym skinieniem głowy.

Właśnie zabieramy się za trzecią kolejkę aperitifów, kiedy rozlega się dzwonek do drzwi.

– Kto to? – pyta Gaia, przerywając śmiertelnie nudną opowieść o swojej ślubnej fryzurze.

– Ja otworzę – mówi Valentina, ruszając do drzwi.

Słyszemy, jak z kimś rozmawia.

– O rety! Wygląda na to, że przyszła przesyłka dla signoriny Chinellato – mówi głośno, tak, żebyśmy wszystkie usłyszały.

Potem wraca do nas, dzierżąc w ręku ogromną torbę z czerwonego papieru. Drugą zaś dłonią podaje Gai dziwny, pstrokaty bukiet.

– Jakie piękne kwiaty! – przekrzykują się dziewczyny wśród ogólnego rozbawienia.

Bukiet, zamiast z róż, składa się z dwudziestu pięciu par koronkowych stringów zwiniętych w kształt pączków.

– Bombowe! – Gaia z entuzjazmem rozwija jedne majteczki i macha nimi przed oczami, śmiejąc się przy tym jak szalona. – A co się kryje w tej torbie? Mam się niepokoić?

– Niespodzianka! – otwieram torbę i wyciągam z niej welon panny młodej: koronę z kryształów, z której spływa miękka zasłona z białego jedwabiu. – A ty jeszcze nie wiesz, co cię czeka dziś wieczorem! – mówię, umieszczając jej koronę na głowie.

Gaia rozkłada ramiona i uśmiecha się:

– No trudno, róbcie ze mną, co chcecie. Wiem, że jesteście zazdrosne, bo

wychodzę za najbardziej fantastycznego faceta na tej planecie! – mówi, przewracając oczami z wyrazem rezygnacji.

Z kanapy dobiega buczenie, a Gaia zakrywa usta rękoma, jakby dopiero zdała sobie sprawę, że wymsknęło jej się coś niezręcznego.

Ja tymczasem wyciągam z torby resztę akcesoriów i przystępuję do przystrajania panny młodej w stanik z czarnej koronki i czerwonego jedwabiu oraz podwiązkę z kryształkami i piórkami, którą zakładam jej prosto na dżinsy.

Po półgodzinie niezdarnych przygotowań panna młoda jest gotowa. Tak wypindrzona, przypomina współczesną wersję Ciccioliny z czasów świetności. Niemal się za nią wstydzę. Czy uda nam się wyciągnąć ją na zewnątrz? Na szczęście Gaia zawsze podchodziła do wszystkiego z uśmiechem.

– A teraz idziemy się zabawić w Molo-cinque – ogłasza radośnie Valentina, po-ciągając Gaię za pasek do pończoch.

– Ele, po tobie bym się tego nie spodziewała! – Gaia patrzy na mnie z miną składanego w ofierze niewiniątka, wciąż kręcąc z niedowierzaniem głową.

A to jeszcze nic w porównaniu z tym, co cię czeka, moja droga...

– No już, panno młoda, szykuj się na najgorsze!

Podaję jej ramię, jakbym chciała dodać jej otuchy, po czym wszystkie razem ruszamy na miasto.

Przechodzimy przez plac św. Marka, odprowadzane pełnymi zdziwieniami i rozbawieniami spojrzeniami turystów. Wcisnęłyśmy Gai do rąk afisz z napisem: „Ładnego czy brzydkiego, pocałuję każdego!”. Zarządziłyśmy, że w drodze

do Rialto musi pocałować w usta przynajmniej trzy osoby. Gaia, z nadwyżką wypełniając nasz rozkaz, całuje najpierw niezwykle piękną i zadbaną blondynkę, która jak się później okazuje, jest rosyjską arystokratką pochodzącą z rodu Romanowów, rzeńskiego staruszka, któremu w obliczu tak niespodziewanego szczęścia niemal zawiesił się rozrusznik, szesnastolatkę na hormonalnym haju i żonatego mężczyznę, trzymającego zresztą pod rękę swoją tolerancyjną drugą połowę (biorąc pod uwagę okoliczności, wątpię, żeby zażądała rozwodu).

Dotarłszy na Rialto, robimy przystanek w Bancogiro, położonej u stóp mostu słynnej *cicchetteria*, gdzie podają najrozmaitsze kotlety i szaszłyki z mięsa i ryby. Nasza grupka wkracza dumnie do lokalu, przyciągając spojrzenia

przeważnie męskiej klienteli. Zajmujemy długi stół na środku knajpy. Gaia wciąż skupia na sobie całą uwagę, wcale się tym zresztą nie przejmując. Ja na jej miejscu spaliłabym się ze wstydu, ona zaś wydaje się rozluźniona, swobodna i pełna dystansu, jak tylko ona potrafi być. Pewnie trochę pomagają jej w tym litry alkoholu, które z naszą pomocą w siebie wlała.

Opchane po uszy, około północy docieramy do Piazzale Roma. Czeka tam na nas biała limuzyna, zamówiona na wyłączność, by zawieźć nas na dyskotekę. Gaia się tego nie spodziewała. „Całkiem zwariowaliście!” – krzyczy w euforii i przybija każdej z nas piątkę. Wsiadamy do środka, rzucamy się na fotele z czarnej skóry i nalewamy sobie po kieliszku szampana, wyśpiewując na całe gardło najbardziej obciachowy włoski

repertuar z lat osiemdziesiątych, pasujący do kolorowych światełek, które migają wewnątrz samochodu. Wszystko razem składa się na zabójczą mieszankę kiczu i surrealizmu, a my świetnie sobie z tego zdajemy sprawę i być może właśnie dlatego jest tak zabawnie.

W niespełna pięć minut docieramy do drzwi wejściowych Molocinque, dyskoteki, dla której Gaia pracowała aż do zeszłego roku, zanim Belotti jej się oświadczył. Oczywiście nasze nazwiska są na liście VIP-ów, co oznacza, że czeka na nas czerwony dywan prowadzący do prywatnej łoży ze stolikiem w strategicznym miejscu i nieograniczony otwarty rachunek. W środku dołączają do nas kolejne dziewczyny. Gaię, ze względu na charakter jej pracy i osobę narzeczonego, zna pół świata.

Zabawa przebiega zgodnie z klasycznym scenariuszem wieczoru panieńskiego i choć kolejne elementy nie mają nic z oryginalności, a czasami są nawet nieco żałosne, Gaia wciąż świeci wewnętrznym blaskiem, i to pomimo swojego przebrania porno diwy. Na parkiecie wygląda pięknie jak bogini, rozdając uśmiechy, pocałunki i uściski. Wszyscy chcą porozmawiać z przyszłą panną młodą. Dziewczyny z rozmarzonym wyrazem twarzy proszą, by opowiedziała o swojej sukni ślubnej, a niektórzy mężczyźni sugerują, żeby jeszcze się zastanowiła albo przynajmniej pozwoliła sobie na ostatnią przygodę. Ale to są tylko ich mrzonki, bo Belotti wygrałby z nimi wszystkimi w przedbiegach.

Potem do naszego stolika, wśród fontann światła rozsiewanych przez zimne ognie, zostaje przyniesiona

dwunastolitrowa butelka szampana Moët & Chandon. Wkrótce podadzą także tort, ale przedtem, niestety, musi nastąpić najbardziej obciachowy moment. DJ wycisza muzykę i zaprasza Gaię, by zajęła miejsce na środku sceny, po czym zapowiada wejście striptizera. Ona wytrzeszcza oczy, jakby wylano na nią wiadro zimnej wody, i w tłumie zgromadzonych wokół niej osób szuka mojej twarzy. Wiem dokładnie, co się dzieje w jej głowie, bo ja myślę teraz o tym samym. Przed oczami przewija mi się film z dwudziestu lat naszej przyjaźni – sekwencja kadrów z nami dwiema we wszystkich stylizacjach, które wypróbowałyśmy (i z których wyrosłyśmy): czapki z daszkami i džinsy Levis 501 w gimnazjum, martensy i kolorowe plecaki Invicta w liceum, džinsy Diesel z niskim stanem i etniczne torby

na studiach. Połączone na zawsze jedną uroczystą przysięgą wymierzoną przeciwko złemu gustowi: nigdy, przenigdy nie będziemy obchodziły wieczoru panieńskiego ze striptizerem.

I oto nadeszła ta chwila.

Chowam się za plecami Valentyny, która jest prawdziwą winowajczynią – uruchamiając swoje kontakty, ściągnęła tu jednego z chłopaków z zespołu California Dream Men. Przysięgam, że próbowałam dotrzymać przysięgi złożonej Gai i przeciwstawić się temu groteskowemu zwyczajowi, ale Valentina okazała się silniejsza i ostatecznie to ona wygrała.

Delikwent pojawia się w stroju niczym z filmu *Oficer i dżentelmen* – w białym mundurze, całkowicie rozpiętym, by ukazać błyszczącą klatkę piersiową, w kapitańskiej czapce, ze śnieżnobiałym

uśmiechem i wyraźnie zarysowaną wypukłością poniżej paska. Gdy rozbrzmiewa klasyczny motyw Joe Cockera, a striptizer zaczyna kręcić biodrami, zdaję sobie z czegoś sprawę: oglądanie, jak nasz sen z czasów nastoletnich pryska, jest zabawniejsze, niż mogłam się spodziewać. Tak przynajmniej wygląda stąd, zza burzy włosów Valentyny. Nie ręczę za Gaię, która tkwi tam, na środku parkietu.

Tymczasem kobiety zaczynają tańczyć jak opętane, zewsząd podnoszą się niezrozumiałe okrzyki, a Max – typowe imię dla striptizera – zbliża się do Gai i zaprasza ją, by przyłączyła się do niego w zmysłowym tańcu. To obiektywnie niezły przystojniak i tańczy bosko, ale cały jego występ to od początku do końca męczarnia. Gaia stroi miny, które same z siebie wystarczyłyby za osobny

spektakl, ja śmieję się do utraty tchu, pogodziwszy się do końca z moją rolą Judasza, a kiedy Max zostaje tylko w czerwonych stringach ze słoniem z przodu i zaczyna poruszać trąbą, kręcąc nią kółeczka, zaczynam się obawiać, że dostanę z tego wszystkiego zawału. Na koniec Max odwraca się plecami do publiczności, staje przodem do Gai, która jest już na skraju wyczerpania, i zasłaniając się od stóp do głów złotym prześcieradłem, ściąga majtki. Kilka sekund suspensu i oto prześcieradło w magiczny sposób otwiera się jak kurtyna i ukazuje się, przeznaczony tylko dla jej oczu, pełny akt męski.

Gaia, przykro mi, że nie udało mi się uchronić cię przed tym koszmarem!

Impreza dobiega końca, a ja jestem wykończona i pijana. Po opuszczeniu

lokalu Gaia, przebrana już w strój cywilny, żegna się z dziewczynami. Potem odwraca się ku mnie i rozkazuje mi szeptem:

– Ponieważ będziesz pokutować po wsze czasy za to, co mi zrobiłaś, idziesz teraz ze mną i dalszą część wieczoru spędzimy we dwie. Naturalnie śpimy u ciebie...

Wiem, że nie mogę się wycofać, przynajmniej tyle jestem jej winna.

Złapaną w biegu taksówką docieramy na Piazzale Roma i postanawiamy wstąpić do Muro, knajpy, która była naszą ulubioną w czasach uniwersyteckich, a także potem.

Jest pełnia księżyca, czwarta w nocy, dla większości gości wieczór dobiega końca. Lokal powoli pustoszeje. Gaię osacza zaraz kilka ciekawskich osób, które zarzucają ją pytaniami o zbliżający się

ślub. Nie mam pojęcia, skąd bierze siły, by nie bełkotać i do tego odpowiadać z sensem. Ja tymczasem odchodzę dyskretnie w kierunku baru. Nico, barman, wita się ze mną serdecznie.

– Witaj, *amore!* – mówi. – Gdzie się podziewałaś przez te wszystkie miesiące?

– Przeprowadziłam się do Rzymu.

– Na zawsze? – robi zasmuconą minę.

– Czy ja wiem... – wzruszam ramionami. – Nie sędzę... nie mam pojęcia.

To zbyt trudne pytanie, szczególnie o tej porze i przy moim poziomie upojenia alkoholowego.

– To co zawsze? Coca-cola? – pyta.

Pamięta mnie jeszcze jako abstynentkę. Mam wrażenie, że od tamtej pory minęły całe wieki.

– Daj spokój! Lepiej zrób mi jeden z tych twoich drinków.

– Serio? – wytrzeszcza oczy.

– No... trochę się u mnie pozmieniało.

Czekając, rozglądam się wokoło z roztargnieniem i w pewnej chwili mój wzrok pada na niego. Stoi oparty o kolumnę, z tymi oczami w kolorze jasnej zieleni, której nawet mrok nocy nie jest w stanie ukryć. Nie widziałam Filipa od dnia, w którym się rozstaliśmy, w tamtym barze na Wyspie Tyberyjskiej. Oczy zasnuwa mi mgła melancholii, ale na szczęście to trwa tylko moment. Czy zauważył, że tu jestem? Cóż, tak czy inaczej wypada zrobić pierwszy krok – jestem mu to winna. Biorę drink od Nica i ruszam w jego kierunku.

– Cześć – staję przed nim, zdobywając się na ciepły uśmiech.

– Cześć, Eleno – odpowiada zaskoczony.

Odnoszę wrażenie, że dopiero teraz się zorientował, że tu jestem. Wydaje się

lekką zakłopotany, odległy. Robię krok do przodu, mam ochotę ucałować go w oba policzki, ale szybko zmieniam zdanie – dzieli nas niewidzialny mur. Widnieje na nim napis: żadnych uścisków ani pocałunków. Nie ma już Bibi, została tylko Elena, a jej nie wolno wejść za próg.

– Jak się masz? – rzucam, nie przekraczając linii bezpieczeństwa.

– Dobrze – wzrusza ramionami. – A ty? – pyta neutralnym tonem.

Nie jestem w stanie odszyfrować wyrazu jego twarzy. Nie wiem, czy to uprzejmość pokrywająca niezadowolenie, ukryta złość czy może obojętność. W każdym razie na pewno trzyma mnie na dystans bardziej, niż jest to konieczne.

– Jestem trochę zakręcona, ale wszystko w porządku.

Czuję, że mam rysy zniekształcone zmęczeniem i alkoholem, który wlewam w siebie od początku wieczoru. Pewnie wyglądam potwornie.

– W sobotę Gaia wychodzi za mąż – dodaję w ramach wyjaśnienia.

– Tak, słyszałem – układa usta w uśmiech.

– Jestem świadkową, wiesz? Dziś wieczór zorganizowałyśmy jej imprezę – mówię z przesadnym entuzjazmem.

– Jesteś w mieście tylko na ślub? – pyta z zainteresowaniem, prawdziwym albo udawanym, i spuszcza wzrok.

– Tak. W poniedziałek wracam do Rzymu – odpowiadam, gdy w końcu spogląda z powrotem na mnie. – A co nowego u ciebie? Udało ci się otworzyć własną pracownię?

– Tak, dwa miesiące temu, mieści się przy Campo Santo Stefano. – W jego

głosie pobrzmiewa nuta satysfakcji. – Kupiłem też mieszkanie – dodaje, spoglądając na mnie jakby z odrobiną żalu.

Po sposobie, w jaki to powiedział, wyobrażam sobie, że chodzi o TO mieszkanie – to, które oglądaliśmy razem i które miało być naszym wspólnym.

– Teraz jestem uwiązany kredytem na następne dwadzieścia lat, ale było warto.

Wygląda więc na to, że przeprowadził się na stałe.

– A ty, pracujesz? – pyta.

– W sumie... tak.

Zawieszam głos. Moje myśli na moment zatrzymały się na migawce z naszego szczęśliwego życia we wspólnym mieszkaniu.

– Od czasu do czasu dostaję jakieś zlecenie – dodaję, zakładając włosy za ucho. Nie wchodzę w szczegóły, nie mam

ochoty mówić mu, że zrezygnowałam z pracy i mieszkam u Paoli.

– To dobrze – odpowiada lodowatym tonem.

I dokładnie w tej chwili ciemnowłosa dziewczyna – bardzo młoda! – w dżinsach, krótkiej kurteczce i balerinach, pojawia się w drzwiach łazienki i biorąc go pod ramię, rzuca:

– To co, idziemy, Fil?

Fil? Idziemy? A dokąd to?

Niestety, niezależnie od kierunku, w którym zmierzają, ona zdaje się zdeterminowana, by go tam zaciągnąć.

– Jasne. – Filippo kładzie jej dłoń na plecach, po czym odwraca się ku mnie, a na twarzy maluje mu się zmieszanie połączone z triumfem. – No to na razie.

– Cześć... – rzucam skonfundowana, niemal wypuszczając z dłoni drinka.

Patrzę, jak się oddalają, myśląc, że w gruncie rzeczy sobie na to zasłużyłam.

Teraz już rozumiem, czemu wcześniej był taki sztywny i roztargniony. Najwyraźniej to jego nowa dziewczyna albo ktoś w tym rodzaju. Fakt, że bardzo ładna – szczupła figura i twarz lalki. Może nawet za bardzo lalkowata jak na jego gust, ale przecież gusta się zmieniają – nikt nie wie tego lepiej ode mnie, która w ciągu roku przedzierzgnęłam się z wegetarianki abstynentki w mięsożerną ćwierćalkoholiczkę. Najbardziej wybił mnie z rytmu fakt, że zwróciła się do niego per „Fil” – nie wiedzieć czemu zawsze myślałam, że tylko ja tak na niego mówię. Szczerze mówiąc, zawsze myślałam też, że tylko mnie może kochać... a teraz zdaję sobie sprawę z tego, jak głupie są niektóre myśli, które zdążyłam uznać za naturalne.

Dziwnie się czuję. Staram się rozszyfrować uczucie, które pozostało we mnie po spotkaniu z Filippem, i nie jestem w stanie go nazwać – to coś w pół drogi między poczuciem głębokiej samotności i pełnego wyzwolenia, z domieszką ulgi i melancholii. Byliśmy ze sobą pół roku i nie sposób zapomnieć wszystkich spędzonych razem chwil: z czasów gdy byliśmy parą i wcześniejszych. Wciąż go lubię, ale to wszystko – serce nie zadrsało mi ani razu, kiedy stał przede mną i rozmawialiśmy, nogi mi się nie ugięły, nie poczułam ukłucia w brzuchu. Choć ta świadomość jest okrutna, wiem, że już go nie kocham. Nigdy nie byłam tego równie pewna. To spotkanie było ostatnim tego dowodem, a jednocześnie drugim, ostatnim pożegnaniem.

– Wszystko w porządku? – pyta Gaia, pojawiając się znowu przy moim boku.

Opowiadam jej w skrócie o spotkaniu z Filippem.

– Wiedziałaś?

– Nie, pierwszy raz słyszę, że kogoś ma – mówi niemal z ulgą. – Ele, on strasznie cierpiał.

– Wiem – zaciskam wargi w cienką linię. – Dzięki, że mi o tym przypomniałaś.

– No już – Gaia głaszcze mnie po ramieniu. – Wiem, że ty też to przeżyłaś.

– W porządku. Teraz to już przeszłość.

Za to inna bolączka nie odeszła do przeszłości... Ale to nie jest chwila na takie myśli.

Po przekroczeniu progu swojego mieszkania ściągam szybko buty i biegnę do pokoju przebrać się w spodnie od dresu i koszulkę.

O dziwo, Gaia też stawia na wygodę.

– Mogę włożyć twój T-shirt z liceum?
– pyta, grzebiąc w szufladzie mojej garderoby. – Przypomina mi o starych czasach.

– Na ogół wkładam go do sprzątanania, ale jeśli ci zależy...

Gaia się krzywi i wyciera ręce w dzinsy, a ja wybucham śmiechem.

– Ej, żartowałam.

Wciąga na siebie T-shirt z karykaturą Marca Polo i wciąż szperając w szafie, pyta z niepokojem:

– A gdzie jest twoja sukienka?

Ma na myśli moją sukienkę świadkowej, albo raczej, jak mówi ona, druhny honorowej.

– Jest na przechowaniu u Betty.

– A dlaczego? Coś się jej stało?

– Spokojnie, nic się nie stało. Po prostu postanowiła ją przygotować, wyrochmalić i wyprasować parą. Krótko

mówiąc, ma być nieskazitelna. Wiesz, jaka jest moja mama...

– Święta kobieta! – uśmiecha się Gaia, po czym rusza do kuchni, otwiera zamrażalnik i przegląda jego zawartość. – To z zeszłego roku? – pyta, wyciągając kubek lodów waniliowych.

– Ha, ha, kupiłam go wczoraj. A ty nie jesteś na diecie przed weselem?

– Do diabła z nią. I tak już za późno.

– Ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego – zastrzegam, przewidując, że później będzie miała do mnie pretensje, że pozwoliłam jej się obżerać.

– Weź przestań, Ele, nie znęcaj się, choć ten jeden raz – wyszukuje w szufladzie dwie łyżeczki. – Lepiej chodź dotrzymać mi towarzystwa.

No tak, można się było tego spodziewać.

Wyciąga pilot w kierunku telewizora i zaczyna skakać po kanałach, aż znajduje MTV, gdzie zmysłowo pręży się Shakira. Patrzymy, jak w perfekcyjnym makijażu i stylizacji wygina się w tańcu na zalanej słońcem ulicy.

– Twoim zdaniem ona naprawdę ma ładny tyłek? – pyta Gaia.

– Obawiam się, że tak – potwierdzam.

Gaia uważa wszystkie diwy za potencjalne rywalki, co bawi mnie do łez.

– Nie uważasz, że jest nieco za gruby? – upiera się.

– Nie, Gaia, zapewniam cię: jej tyłek jest świetny.

– A mnie się wydaje nieproporcjonalnie wielki.

– Rzeczywiście, twoje dwa półdupki są mniejsze niż jej jeden – szacuję na głos.

Zapada milczenie. Alkohol krąży w żyłach, a efekty są raczej oplakane,

skoro teraz obydwie zastanawiamy się, czy powiedziałam komplement pod adresem Gai czy Shakiry. Całkiem się zaplątałyśmy.

– Samuel ją uwielbia – mówi w końcu ona, po czym wzdycha, sięgając łyżeczką do kubelka. – Nie przejmuję się tym, bo wiem na pewno, że na żywo nie jest aż tak ładna.

– Dzięki, Gaia. Teraz będę mogła spać spokojnie.

Moja przyjaciółka wierzy, że wszystkie potrzebujemy pocieszenia po zobaczeniu dziewczyny ładniejszej od nas samych.

– Te teledyski są całe wyretuszowane – ciągnie ona, a w jej głosie brzmi ton absolutnej pewności.

Wiem, że robi to dla mnie, troszczy się o mnie i nie chce, żebym popadła w kompleksy, porównując się z Shakirą.

– No jasne, poza tym makijażyści potrafią działać cuda, prawda? – dodaję, wciągając się powoli w dyskusję.

– A propos makijażystów... Na sobotę zatrudniłam najlepszą makijażystkę w mieście – Jessicę Moro, tę, która maluje gwiazdy podczas Festiwalu Filmowego. Jest niesamowita! – Twarz Gai promienieje. – A fryzurę ułoży mi Patrick.

– Będziesz wyglądać bosko.

Widziałam już sukienkę. Choć nie mogłam towarzyszyć jej przy zakupie, Gaia włączyła mnie w wyczerpujący proces wyboru, wysyłając mi MMS-y z przebieralni salonów mody ślubnej rozsianych po całych północno-wschodnich Włoszech. Na koniec stanęło na sukni od Dolce & Gabbany w kolorze kości słoniowej z gorsetem i napuszoną, obszerną spódnicą à la osiemnastowieczna dama.

– Być może to trochę ryzykowny look, szczególnie w zestawieniu z mitenkami, ale czułam, że to właśnie moja sukienka.

– Będziesz wyglądać bosko – z pewnością już to powiedziałam, ale nie zaszkodzi powtórzyć.

– Posłuchaj, Ele... sądzisz, że dobrze robię, wychodząc za Samuela? – pyta nagle nieśmiałym tonem.

Otwieram szeroko oczy. Chyba nie naszły jej teraz wątpliwości?

– Czemu pytasz?

– Nie wiem... – robi grymas i marszczy brwi, co nadaje jej wygląd zagubionego szczeniaka. – Chodzi o to, że strasznie się boję!

– Chodź tu – szepczę jej cichutko, biorąc ją w ramiona. – Moim zdaniem podjęłaś właściwą decyzję. W przeciwnym wypadku nie zgodziłabym się

zostać twoją świadkową, prawda? – zapewniam ją.

Następuje długa chwila ciszy. A potem Gaia się zwierza:

– Ostatnio zrobiło się między nami trochę dziwnie.

– W jakim sensie?

– W TYM sensie – wznosi wzrok ku niebu. – Od jakiegoś czasu nie uprawiamy seksu.

– Od jak dawna?

Gaia zaczyna liczyć na palcach.

– Po drodze jechał w wyścigach Mediolan–San Remo, Ronde van Vlaanderen i Paryż–Roubaix, które zresztą są dla niego najważniejsze... więc będą już ze dwa miesiące!

– Poważnie? – Staram się nie zdradzić ogromu zdziwienia.

– Tak! – wzdycha. – Nie wydaje ci się to smutne?

– Cóż...

Nie bardzo wiem, co jej odpowiedzieć. Już mam odrzec, że jeszcze smutniejsze jest uprawianie seksu i nieosiąganie orgazmu, jak w moim przypadku, ale gryzę się w język. Teraz rozmawiamy o niej, a nie o mnie. Jako najbliższa przyjaciółka mam obowiązek rozładować napięcie.

– Kochana, teraz, gdy wydałam fortunę na sukienkę świadkowej, nie masz prawa się rozmyślić. Ostrzegam cię.

Gaia się uśmiecha, po czym zamyśla się na chwilę.

– Może dziś wieczorem przyszedł, żeby naprawić sytuację...

– O rety, jeśli tak – przełykam ślinę – a jestem pewna, że tak było, to żałuję, że zorganizowałam imprezę!

– Żartujesz? To była fantastyczna niespodzianka!

– Powiedz prawdę, striptizer jednak ci się spodobał?

Puszczam do niej oko.

– Daj spokój, Ele – ukrywa twarz w dłoniach. – Miał malutkiego!

– rozkłada palce w znaczącym geście.

– E, nie wierzę ci!

– Przysięgam!

– No dobra, przy następnym ślubie zamówię hojnie wyposażonego!

Rzucam okiem na wiszący na ścianie zegar i zauważam, że jest już prawie rano.

– Idziemy do łóżka? – pytam.

– Ale tylko pod warunkiem, że zostawimy zapalone światło. W przeciwnym razie natychmiast uśniesz.

– Taki właśnie miałam plan – odpowiadam.

– O nie, a ja jeszcze chciałam pogadać!

– Tego się obawiałam...

Leżymy już od jakiegoś czasu w łóżku i rozmawiamy, a raczej to Gaia mówi. Położyła się od strony okna, dokładnie tam, gdzie spał Leonardo, kiedy ostatni raz kochaliśmy się w tym pokoju. Z powodu napięcia związanego ze ślubem jest jeszcze bardziej gadatliwa niż zazwyczaj, o ile to w ogóle możliwe. Opowiedziała mi o żywocie Samuela Belottiego tak szczegółowo, że mogłabym teraz napisać na jego temat rozprawę naukową.

Leżymy zwrócone do siebie twarzami, nasze ugięte w kolanach nogi się stykają.

– Możemy w końcu zgasić światło? – pytam. – Bolać mnie oczy.

Gaia się poddaje i kiwa głową, lecz rzuca mi ostrzegawcze spojrzenie, które ma znaczyć „jeszcze nie czas na spanie”. Wyłączam stojącą koło łóżka lampkę i zapada ciemność.

– Ele?

-
- Mhm... – mruczę.
 - Od jak dawna jesteście przyjaciółkami?
 - Od pierwszej klasy podstawówki.
 - Ile już razy spałyśmy w jednym łóżku? Z tysiąc?
 - Jesteśmy ze sobą blisko...
 - Płakać mi się chce, że to może być ostatni raz.

Oczy przyzwyczały mi się już do ciemności, więc mogę dojrzeć zarys jej twarzy. Z twarzą świeżo po peelingu i włosami związanymi w kucyk wygląda jak nastolatka. Równie dobrze mogłybyśmy być w czasach licealnych, śmiejąc się i plotkując szeptem u niej w pokoju, podczas gdy jej siostra Alessandra pochrapuje obok w swoim śpiworze ze Snoopym.

– Ja mam nadzieję, że jeszcze będzie okazja. Najwyżej położę się między tobą a Samuelem – oświadczam.

Gaia wybucha śmiechem.

– Co jest? – pytam, wtulając głowę w poduszkę.

– Pamiętasz, jak byliśmy na obozie w Dolomitach... i jednej nocy Vincenzo, ten chłopak z Neapolu, uparł się, że chce spać między nami?

Na wspomnienie tej sceny ja też wybucham śmiechem. Miałyśmy trzynastcie lat, Gaia nagadała mu, że obie się w nim zakochałyśmy i że jeśli przyjdzie o północy, po rutynowej kontroli wychowawców, to wpuszczymy go przez okno. Biedaczek spędził całą noc na zimnie, podczas gdy my zrzucałyśmy mu wiadomości pisane bezsensownym kodem, który on próbował odcyfrować w nadziei, że mu otworzymy.

– Były z nas niezłe gagatki...

Nagle na myśl o tych dwóch dziewczynkach ogarnia mnie nostalgia. Myślę o wszystkim, co wydarzyło się między nimi, o tym, jak teraz są duże i jak małe pozostały w głębi duszy. Mamy po trzydzieści lat, a wydaje się, że nic się nie zmieniło, choć Gaia niebawem zostanie żoną, a być może któregoś dnia także matką, a ja próbuję się pozbierać po najbardziej burzliwym okresie mojego życia uczuciowego.

– Porozmawiajmy jeszcze trochę – mówi Gaia łagodnie. – Proszę cię, nie zasypiaj. Dawno już tak nie leżałyśmy. Brakowało mi tego.

– Mnie też – mamroczę.

Ale nim się obejrzę, głowa opada mi na poduszkę i zapadam w sen. Dobranoc, Gaia. Zawsze będę przy tobie.

3

W przeddzień wesela jadę do rodziców, by odebrać sukienkę na ślub. Odkąd przywiozłam ją do Wenecji, moja mama zainwestowała w nią mnóstwo czasu. Ręczne pranie, namaczanie w wodzie ze skrobią ryżową, suszenie z dala od bezpośrednich źródeł światła, prasowanie parą z apreturą – krótko mówiąc, pełen serwis, jaki mogłaby zaoferować profesjonalna pralnia. Jestem jej nieskończenie wdzięczna, bo przepiękna szyfonowa sukienka, którą wybrała dla mnie Gaia, po sześciogodzinnej podróży w mojej walizce nie wyglądała najlepiej.

Kiedy ją wyciągnęłam, całą pogniecioną, przypominała raczej szmatkę do kurzu. Teraz na pewno będzie wyglądać wspaniale – dłonie Betty są w stanie tchnąć nowe życie we wszystko.

Przed domofonem rodzinnego domu stoję nieco przed południem. Wchodzę po schodach i zastaję moją mamę w kuchni. Gdzie indziej mogłaby być o tej porze? Właśnie przygotowuje roladę z ziemniaczkami i szpinakiem *ai quattro formaggi* – można przytyć na sam jej widok. Mój Boże, jak mi brakuje smakołyków, którymi mama rozpieszczała mnie do granic przez trzydzieści lat mojego życia!

– Przybyła twoja ukochana córa! – ogłaszam od progu.

Rzucam torbę na kanapę i podchodzę do kuchennego blatu.

– Cześć, skarbie – odpowiada i nie odrywając rąk od ciasta, wychyla się, nadstawiając mi policzek do pocałowania. – Sukienka wisi w twoim pokoju – dodaje, jakby zabiegi przy niej zajęły jej raptem chwilkę.

– Dzięki, mamó. Idę rzucić okiem na to cudo.

Już ruszam w tym kierunku, gdy zatrzymuje mnie jej pytanie.

– Czy ultramaryna nie jest nieco ryzykownym kolorem w przypadku sukienki świadkowej?

– To Gaia ją wybrała. Ale po raz pierwszy ciuch wytypowany przez nią natchmiast spodobał się i mnie.

Gdyby padło na klasyczny pudrowy róż w stylu amerykańskiej druhnny, chyba bym się powiesiła.

– Skoro tak... – mówi, wzruszając ramionami, wyraźnie nie do końca

przekonana, po czym przechyliła głowę na bok, i patrząc mi w oczy, dodaje tonem zapowiadającym przesłuchanie: – Powiedz, co u ciebie.

Nic jej nie umknie.

– Dobrze. Czemu pytasz?

– No nie wiem, wydajesz się strasznie blada. – W jej głosie ton niepokoju miesza się z naganą.

– Poważnie?

Oglądam sobie ramiona i nogi, ale nie zauważam znaczącej różnicy w stosunku do mojego stałego koloru skóry – jasnego różu wpadającego w trupa biel.

– Mogłabyś po południu pójść na solarium – sugeruje.

– Jasne – odpowiadam, uśmiechając się. – A jutro obudzę się z policzkami jak kotlety z rusztu.

– W takim razie nałóż podkład, róż i tak dalej – mówi, jakby sama była

doświadczoną makijażystką. – Musisz dodać sobie trochę kolorków, Eleno. Jesteś świadkową! – ostatnie słowo wymawia z emfazą, jakby jutro czekało mnie najważniejsze zadanie w całym życiu. – Masz obowiązek wyglądać pięknie jak panna młoda. No, prawie.

Prycham, bo te sprawy nigdy mnie nie interesowały.

– Gaia i tak mnie kocha, wiesz? Mimo że jestem biała jak prześcieradło.

– W każdym razie ja też wybieram się jutro rano na uroczystość – mama zmienia szybko temat. – Jestem strasznie ciekawa, jak Gaia będzie wyglądać. No i chcę jej złożyć życzenia.

Od zawsze ma zwyczaj chadzania na śluby, i to nawet zupełnie obcych ludzi. To dla niej coś w rodzaju hobby.

A potem z pełną naturalnością rzuca zdanie, które dla każdego poza mną zabrzmiałoby zwyczajnie:

– Poszczyściło jej się z tym kolarzem...

Pomocy! Już wiem, do czego zmierza.

– Ty natomiast nie masz najmniejszego zamiaru wychodzić za mąż, co?

– dręczy mnie z typowym tonem jadowitej wenejanki. – Masz alergię na białe suknie, prawda?

– Przy mojej karnacji nie wyglądałaby najlepiej, nie sądzisz? – Staram się rozładować atmosferę.

– Filippo to był taki dobry chłopak – ciągnie ona, nie dając się wybić z rytmu, i kończy wypowiedź ciężkim westchnieniem i wzniesieniem oczu do nieba.

Jak typowa mama wprost zakochała się w mężczyźnie, który wydał się idealnym narzeczoną dla jej córki.

– Ale ty rozmawiałaś z nim raptem trzy razy!

– I co z tego? Od razu się zorientowałam, że to dobry człowiek.

O Boże, mówi o nim, jakby już nie żył. Robi z niego świętego. A potem patrzy mi w oczy i jak to ona potrafi, zrzuca bombę:

– Ale tobie dobrzy chłopcy nigdy się nie podobali... taka jest prawda.

– Jeśli już, to ja się im nie podobam – odbijam piłeczkę.

Przeprowadzałyśmy tę rozmowę setki razy, tak że obecnie znam wszystkie kwestie tej scenki na pamięć. W gruncie rzeczy nie mogę jednak odmówić jej racji – mimowolnie wpasowuję się w stereotyp kobiety, która leci na drani. Mam ochotę sama sobie za to przyłożyć.

– Martwimy się o ciebie – mówi niespodziewanie czułym tonem. –

Przyjeżdżasz i nas nie odwiedzasz, wcale cię nie widzujemy...

– Mamo, przecież wiesz, że nie miałam ani minuty wolnego czasu. Organizowałam wieczór panieński Gai i tak dalej – usprawiedliwiam się, po czym dodaję z uśmiechem: – ale teraz jestem tutaj.

– I zostajesz na obiad, mam nadzieję.

To nie jest zaproszenie, tylko błagalna prośba.

– Pewnie! – uśmiecham się szerzej i szczypię mamę w policzek. – Ale tylko ze względu na twoją roladę, nie myśl sobie!

– Ach, ty niewdzięcznico! – Kręci głową, udając obrażoną, choć tak naprawdę udało mi się wywołać u niej uśmiech.

– No dobrze, zostają też trochę ze względu na ciebie. Ale tylko ciut, ciut! – dodaję, składając na jej policzku buziaka.

Z nadzieją, że udało mi się ją udobruchać, wychodzę i udaję się wreszcie do pokoju obejrzeć sukienkę.

Jest. Moja kreacja od Versace w całej swojej wspaniałości wisi na drzwiach szafy i pachnie. Betty jak zawsze spisła się na medal. Im dłużej patrzę na suknię, tym bardziej mi się podoba. Być może to ze względu na intensywnie niebieski kolor, a może dlatego, że uwielbiam sukienki bez ramiączek. A do tego jej długość – sięga przed kolano – jest idealna, gdyż ukrywa niedoskonałości na udach, na których punkcie mam obsesję. W każdym razie gdy patrzę na nią w tej chwili, wydaje mi się elegancka i wyrafinowana w swojej prostocie. Ściągam ją z wieszaka i przykładam do

siebie. Z wiszącego na ścianie lustro spogląda na mnie moje odbicie. Ciekawe, czy się w nią zmieszczę? Ogarnia mnie przeraźliwe wrażenie, że się skurczyła, ale może tylko to stare lustro daje taki efekt. Miejmy nadzieję, że się uda, bo jeśli nie dopnę zamka na plecach, będę mieć kłopot. Dobrałam do niej (a raczej Gaia dobrała za mnie) kopertówkę i czółenka peep toe w kolorze liliowym, które w tej chwili leżą w mojej garderobie w domu.

Odkładałam sukienkę na łóżko, uważając, by jej nie zagnieść. Gdy się odwracam, stoję twarzą w twarz z moim lustrzanym odbiciem. Tym razem przyglądam się sobie dokładniej, od stóp do głów. Fakt, moja cera nie wygląda zbyt dobrze... Obawiam się, że mama ma rację, martwiąc się o mnie. Noce na mieście, nieregularne posiłki i kilka

drinków za wiele sprawiły, że pod oczami mam cienie, a skóra przybrała szary odcień. Prócz tego pośrodku czoła, między brwiami, pojawiła się zmarszczka mimiczna, jakby wyżłobiona nieustającym, dotkliwym bólem. „Solidny masaż twarzy i dobry krem są w stanie przepędzić nawet najbardziej nieprzyjemną myśl” – mawia zawsze Gaia. Nigdy specjalnie w to nie wierzyłam, ale może nadszedł czas spróbować.

– Eleno, chodź do stołu! – Z drugiego końca korytarza dobiega wysoki głos mojej mamy. – Obiad gotowy!

– Już idę – odkrzykuję i ruszam do kuchni.

Witam się z tatą, który właśnie wrócił ze zgromadzenia klubu demokratycznego Arci i już siedzi na swoim miejscu, gotów rzucić się na posiłek. Ja też

zasiadam do stołu. Jest zastawiony jak na wesele. Na sam widok tych wszystkich smakołyków leci mi ślinka, ale natychmiast nachodzi mnie myśl, że każdy kolejny kęs może sprawić, że nie zmieszczę się w sukienkę. Rolada mojej mamy uśmiecha się do mnie ze swojego talerza kusząco i przebiegle, grożąc natychmiastową przemianą w wałeczki tłuszczu. Szybko się jednak poddaję – sięgam po widelec i nadziewam nań kolejny kawałek. Jeszcze zatęsknię za tymi pysznościami, gdy powrócą smutne rzymskie dni.

Po gargantuicznym posiłku sprzątam wraz z mamą w kuchni, a potem dołączam do taty w salonie.

Opowiada mi z dumą o ostatnim przedstawieniu amatorskiej trupy teatralnej, do której należy. Kiwam głową,

starając się wyglądać na skupioną... Choć oczywiście naprawdę chciałabym go zobaczyć na scenie! Kiedy mój tata kończy swoją opowieść, między nami zapada ciężkie milczenie, którego nie potrafię wypełnić. On wzdycha i wpatrując się przed siebie z nieśmiałością i zakłopotaniem właściwymi dla kochających, lecz nieco surowych ojców ze swojego pokolenia, pyta mnie:

– Eleno, powiedz prawdę, wszystko u ciebie w porządku?

– Jasne. – Staram się mówić z przekonaniem, którego tak naprawdę mi brakuje.

– No nie wiem – kręci głową w zamyśleniu. – Odkąd rozstałaś się z tym chłopakiem, Filippem – bierze głęboki oddech, jakby wymawianie jego imienia go krępowało – stałaś się taka skryta i odległa. Martwię się o ciebie, ot

co. Chciałbym wiedzieć, co ci zaprzęta myśli.

– Cóż... mnie się nie wydaje, żebym zachowywała się inaczej niż zwykle – odpowiadam, zamykając się w sobie na wszystkie spusty.

– Nic już nam o sobie nie mówisz – kontynuuje. – A zazwyczaj mówiłaś o wszystkim, przynajmniej mamie.

Wyraźnie stara się wyjść ze swojej zwyczajowej roli w rodzinie – dyskretnego, małomównego ojca, który woli trzymać się w cieniu, a na przespiergi wysyła mamę. Fakt, że aż tak bardzo się o mnie martwi i mówi mi o tym wprost, budzi z kolei mój niepokój – czyżby naprawdę widzieli we mnie wrak człowieka? Na chwilę nachodzi mnie ochota, by wypłakać mu się na ramieniu i wyrzucić z siebie cały ból, którego dotąd nie udało mi się ukoić. Ale nie jestem

w stanie. Zupełnie jakbym była pod narkozą. Nie mam nawet siły próbować.

– Tato, u mnie wszystko w porządku – odgrywam dalej swoją rolę, przywdziewając najbardziej pogodny na świecie uśmiech. – Rozstaliśmy się z mojej inicjatywy. Kropka.

Jak miałabym mu wytłumaczyć, że to nie ze względu na Filippa cierpię?

– Tak, Eleno, ale ja widzę po tobie, że nie jesteś szczęśliwa – nie ustępuje, szukając w mojej twarzy odpowiedzi, której nie chcę wyrazić słowami. – Coś u ciebie nie tak, to się rzuca w oczy.

– Oczywiście to nie był dla mnie łatwy okres, ale wszystko idzie ku dobremu, naprawdę.

Mówiąc to, staram się przybrać poważną, ale jednocześnie pogodną i optymistyczną minę. Oby się nabrał.

– W porządku – odpuszcza.

Ale tak naprawdę wcale nie jest w porządku. Wcale nie dał się nabrać, ale wolał nie ciągnąć dłużej tej uciążliwej dla nas obojga farsy.

Tak bardzo cię w tej chwili kocham, tato.

– W każdym razie wiedz, że razem z mamą jesteśmy przy tobie.

Oczywiście, że wiem. Ale istnieje ból niemożliwy do uśmierzenia, nawet przez osoby, które kochają cię najbardziej na świecie. Trzeba po prostu cierpliwie czekać, aż sam wygaśnie, starając się jakoś dalej żyć.

– Zagramy w briscolę? – pytam, biorąc ze stolika talię kart.

Mój ojciec uwielbia karty, więc od dziecka byłam zmuszana do niekończących się partyjek gier – to coś, co zawsze nas łączyło i mam nadzieję, że i tym razem trochę go rozerwie.

– W porządku, jak chcesz – mówi z westchnieniem.

Wie, że to wybieg, ale pozwala mi na niego.

Gdy tasuję karty, rozlega się dzwonek mojego iPhone'a.

– Przepraszam na chwilę, tato...

Wstaję i idę odebrać. To pewnie Gaia. Od rana dzwoniła do mnie już chyba ze dwadzieścia razy. Ciekawe, o co teraz chodzi. Pewnie chce w ostatniej chwili skonsultować się w sprawie jakiegoś szczegółu, na przykład w którym odcieniu szminki będzie jej bardziej do twarzy – w perłowym czy cyklamenowej czerwieni.

Wyciągam z torebki telefon i ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu dostrzegam migające na wyświetlaczu imię Martina. Dawno się do mnie nie odzywał. Uśmiech samoistnie pojawia mi się na

ustach, gdy wyobrażam sobie jego buzię grzecznego chłopca.

– Martino? – pytam jak gdyby nigdy nic.

– Cześć, Eleno – mówi, a ja już wiem, że na jego twarzy maluje się ten co zawsze nieśmiały i szczery wyraz.

– Jak się masz? Zniknąłeś mi z oczu jakiś czas temu...

Robię przepraszający gest w stronę taty i zaszywam się w swoim pokoju, jak w czasach liceum, kiedy dzwonił do mnie jakiś chłopak, a ja uciekałam do siebie ze słuchawką bezprzewodową.

– U mnie wszystko w porządku – mówi. – Zgadnij, gdzie jestem?

– Nie mam pojęcia... – wychwytyję w tle hałas rozmów. – Może w Villi Borghese? – zgaduję, przypominając sobie dzień, kiedy poszliśmy tam razem.

– Nie – mówi, po czym zawiesza z rozmysłem głos. – Jestem w Wenecji!

– Gdzie?!

Nic mu nie mówiłam o moim powrocie na Lagunę, ale przez chwilę się zastanawiam, czy nie przyjechał tu ze względu na mnie.

– Na uniwersytecie zajmuję się teraz Giorgionem – tłumaczy – i przyjechałem zobaczyć na żywo parę jego dzieł.

– Aha...

– Pamiętasz, co mi powiedziałaś? Że dasz mi parę wskazówek?

Dawno temu, w Rzymie, przy kawie, przyznał mi się, że nigdy nie był w Wenecji.

– Nawet lepiej! – oznajmiam. – Zostanę twoją prywatną przewodniczką. Ja też jestem teraz w Wenecji!

– Poważnie? – pyta z niedowierzaniem.

– A tak – odpowiadam, rzucając się na łóżko. – Jutro moja najlepsza przyjaciółka wychodzi za mąż, a w tej chwili jestem u moich rodziców.

– Co ty!

– No, te zbiegi okoliczności...

– Więc chodź do mnie szybko! – wyrzuca z siebie, po czym dodaje: – O ile oczywiście nie masz innych planów.

Cały Martino. Zawsze się ubezpiecza.

– Mam mnóstwo czasu. A poza tym obiecałam ci już oprowadzanie, prawda? W jakiej jesteś dzielnicy?

– A więc... – Martino pewnie rozgląda się wokół. – Jestem nad kanałem. Na murze widzę napis „Fondamenta delle Zattere”...

– Świetnie! – podnoszę się z łóżka. – Jak się obrócisz, powinieneś zobaczyć lodziarnię Da Nico.

Rzucam okiem w kierunku lustra. Cholera, ale mam wymiętą twarz...

– Mhm... OK, widzę lodziarnię.

– Czekaj na mnie przed wejściem. Będę za pół godziny, muszę tylko pożegnać się z rodzicami i dostać się na drugą stronę Canal Grande.

– Fantastycznie! W takim razie do zobaczenia.

Żegnam się pospiesznie z rodzicami i wskakuję na pierwsze vaporetto, które nadpływa.

Martino zadzwonił w dobrym momencie – dostarczył mi wymówki, by wymknąć się z domu i uciec przed panującą tam ciężką atmosferą. Poza tym naprawdę się cieszę, że go zobaczę. Nie widzieliśmy się już chyba od miesiąca, kiedy to poszliśmy do Vittoriano na wystawę sztuki kubistycznej.

Na przystanku Zattere wysiadam szybko i rozglądam się za nim. Jest – stoi oparty o jedną z kolumn portyku, z tym roztargnionym, a jednocześnie rezydentnym wyrazem twarzy, który być może i ja miałam w wieku dwudziestu lat. Zmienił się w ciągu ostatnich miesięcy – jego ramiona stały się szersze, jakby się otworzyły, a twarz pokryła się zarostem, przez co wygląda doroślej. Mężczyzna, który pomалу zastępuje niegdysiejszego chłopca. Pamiętam, jak rozmawialiśmy po raz pierwszy w kościele San Luigi dei Francesi, gdzie ja pracowałam, a on przychodził studiować cykl Caravaggia poświęcony św. Mateuszowi. Natychmiast poczułam się przy nim swobodnie – ujęły mnie jego nieśmiałość, dobre maniere i inteligentne spojrzenie.

A teraz stoi przede mną, wciąż taki sam, ale nie do końca – zamiast zwykłej

jeansowej kurtki ma na sobie podkreślającą ramiona pogniecioną bawełnianą marynarkę. Do tego włożył jednak ulubione trampki all star. Na swoim miejscu pozostał też opadający na oczy kosmyk włosów, a także kolczyk w brwi i uśmiech – ten szczególny, przeznaczony właśnie dla mnie. Wyciąga z uszu słuchawki, wsuwa iPoda do kieszeni i robi kilka kroków w moją stronę.

– Hej! – witam się z nim, całując go w oba policzki. – Właśnie uratowałeś mnie przed spiskiem rodzinnym.

– Jeśli tak, to się cieszę. Choć nie wiem, czy tak samo cieszą się twoi rodzice...

– Cóż, są cudowni... ale w małych dawkach – mówię, wzruszając ramionami. – Co robimy?

– W tej kwestii zdaję się na ciebie – rozkłada szeroko ręce, jakby chciał objąć całe miasto. – Ty jesteś przewodniczką!

– No dobrze, ponieważ powiedziałaś, że interesuje cię Giorgione, zabiorę cię do Galerii Akademii, zobaczymy *Burzę* Giorgionego – proponuję. – To o dwa kroki stąd.

Po zwiedzeniu Akademii udajemy się do bazyliki dei Frari. Serce wali mi jak młot przed *Wniebowzięciem Najświętszej Marii Panny* Tycjana, bo wracam myślami do nocy, kiedy byłam tu z Leonardem. Potem idziemy do budynku Scuola Grande di San Rocco podziwiać freski Tintoretta. Wieczorem, gdy jesteśmy oboje tak zmęczeni, że ledwo trzymamy się na nogach, zapraszam Martina na kolację do siebie. Ponieważ wciąż nie zdążyłam zaprzyjaźnić się

z garnkami, kupujemy dwie pizze na wynos w lokalu mieszczącym się w moim budynku. Nie jest to najlepsza pizzeria na świecie, ale i tak byłam jej wierną klientką, gdy jeszcze tu mieszkałam. Właściciel, Egipcjanin, rozpoznał mnie i pozdrowił ruchem wąsów.

Siedzimy teraz z Martinem na kanapie i zajadamy się pizzą.

– Obawiam się, że jutro będę mieć poważne problemy z wciśnięciem się w sukienkę – mówię, spoglądając na swój brzuch, bardziej zaokrąglony niż zwykle.

Przed przyjściem tutaj wpadliśmy do moich rodziców, by odebrać sukienkę Versace, która teraz wisi w przedpokoju. Martino spogląda na nią, a potem na mnie.

– Ta barwa doskonale współgra z twoją jasną cerą.

– Skoro mówisz to ty, ekspert w kwestii kolorów, daję wiarę.

Wreszcie ktoś docenił moją białą skórę!

Szczere spojrzenie Martina spoczywa na mnie przez dłuższą chwilę.

– Jutro będziesz wyglądać przepięknie.

Przeczesała dłońmi włosy, a one w efekcie stają się jeszcze bardziej potargane.

– Ale ty zawsze wyglądasz pięknie... – dodaje potem cicho, jednym tchem, jakby mówił do siebie, po czym przechyla głowę, opierając ją o oparcie kanapy.

Wytrzymuje moje spojrzenie, nie odwraca wzroku, jak to robi zazwyczaj. Patrzy na mnie w inny sposób. Nagle nie jest już chłopcem, lecz mężczyzną, siedzącym twarzą w twarz z kobietą.

– Idę zmienić płytę – mówię, wstając z kanapy, trochę z zamiarem rozproszenia dziwnego napięcia, które wytworzyło się między nami, po czym odwracam się ku niemu. – A może ty chcesz wybrać muzykę? – zachęcam.

Martino przegląda trzy rzędy płyt CD, które od lat stoją w tym miejscu na bibliotece. Właściwie nie wiem, czemu nie zabrałam ich ze sobą do Rzymu... Przygląda im się uważnie, przesuwając palcem po grzbietach opakowań, aż w końcu wyciąga jedną z nich. Po chwili z głośników dobiega miękki, aksamitny głos Franka Sinatry śpiewającego *Strangers in the Night*.

Martino patrzy na mnie i uśmiecha się niespodziewanie szelmowsko, niemal zuchwale, i całe zakłopotanie opada, kiedy podaje mi dłoń.

– Zechce mi pani podarować ten taniec?

– Z przyjemnością – odpowiadam.

Wstaję i dygam przed nim. Potem pozwalam, by otoczyły mnie jego ramiona.

On obejmuje mnie z przesadną delikatnością i robi kilka niepewnych kroków. Splatam dłonie na jego szyi i przysuwam twarz do ramienia, tak blisko, że czuję zapach świeżego prania bijący od jego koszulki. Cały pachnie świeżym, czystym powietrzem. Czuję jego zarost na moich włosach i ciepły oddech na mojej skroni. Jego dłonie stają się pewniejsze, rozluźniają się i otwierają na materiale mojej sukienki.

– Idzie ci doskonale – szepczę.

Potem zamykam oczy i pozwalam się prowadzić, nucąc melodię piosenki.

Martino obejmuje mnie jeszcze mocniej, przyciskając ciepłe dłonie do moich pleców. Przysuwa usta do moich włosów, a jego głos zlewa się z moim. Teraz śpiewamy razem.

Dobrze mi w jego ramionach – mimo że towarzyszy mi uczucie pewnej nieprzystawalności, mimo że dzieli nas dziesięć lat. Ogarnia mnie nagła i niewczesna ciekawość, by poznać smak jego ust.

Nasze stopy wędrują po parkiecie, a ten poskrzypuje cicho. Kładę głowę na ramieniu Martina, z mieszkanką smutku i ulgi na myśl, że niebawem głos Franka Sinatry zamilknie i wszystko będzie jak wcześniej. Ja znów będę Eleną, dojrzalszą i bardziej doświadczoną dziewczyną, wcielającą się w rolę starszej siostry, a on znów będzie Martinem,

młodszy i nieco nieporadnym kolegą, który budzi we mnie tyle czułości.

Muzyka się wycisza i zapada milczenie. Stopy Martina zatrzymują się w ślad za moimi. Lecz on, zamiast wypuścić mnie z ramion, wciąż obejmuje mnie mocno, a ja nie otwieram oczu aż do chwili, gdy rozlegają się nuty swingu *The Way You Look Tonight*. Dopiero wówczas, ostrożnie, jakbym nie chciała go zranić, rozluźniam dłonie.

Martino wypuszcza mnie niechętnie. Jego ramiona zdają się puste, niezaspokojone, gdy odrywają się ode mnie i opadają wzdłuż ciała. Zauważam, że jabłko Adama mu drgnęło, jak gdyby połknął kwestię, którą miał wypowiedzieć, ale się rozmyślił.

– Co jest? – pytam uśmiechem, starając się rozładować atmosferę.

A potem, niespodziewanie, jego usta łądują na moich. Wpierw nieśmiałe, niepewne, a potem coraz odważniejsze. Biorę oddech, próbując zrozumieć, co się dzieje, a przede wszystkim, by przyznać przed sobą, że Martino smakuje tak dobrze, jak się spodziewałam. Rozchyłam więc usta i pozwalam, by jego język spotkał się z moim, by ten pocałunek trwał.

Martino wydaje się zaskoczony, jego oddech przyspiesza wraz z intensywnością emocji. Zdaje mi się, że czuję, jak drży w moich ramionach.

Wyciągam dłoń i przesuвам powoli palcem wzdłuż jego brwi, muskając kolczyk, a potem zjeżdżam po jego twarzy aż na na kark.

To najdelikatniejszy pocałunek w moim życiu. Wargi Martina są jak aksamit, pieczęć moje delikatnym

dotykami. Jego język nie wdziera się, lecz wsuwa powolutku do moich ust.

Potem on odrywa się ode mnie i patrzy na mnie rozmarzony.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo tego pragnąłem.

– Długo czekałeś... – mówię z uśmiechem, targając mu lekko włosy.

– Myślałem, że ty nie chcesz.

– Aż do dzisiejszego wieczoru nie wiedziałam, że chcę.

Ma długie i gęste rzęsy, a na źrenicy lewego oka złoci mu się niewielka plamka. Dotychczas jej nie zauważyłam, nie przyglądałam mu się nigdy z tak bliska.

Ujmuję jego twarz w dłonie i całuję go jeszcze raz, a następnie pozwalam palcom powędrować wzdłuż jego ramion i spotkać się z jego dłońmi. Są gładkie, doskonale, a nie naznaczone czasem

i życiowymi burzami jak dłonie Leonarda. Taka też jest jego twarz o napiętej skórze i subtelnym, miękkim zarości. Ciało Martina ma zapach i sprężystość młodości. A ja tej nocy pragnę je odkryć.

A więc, wciąż go całując, rozpinam mu koszulę i powoli go rozbieram. Pozwala mi na to, patrząc na mnie z lekką obawą. Ale przede wszystkim z pożądaniem.

Wreszcie stoi przede mną całkiem nagi i pozwala mi studiować swoje ciało. Jego wydłużone i subtelnie zarysowane mięśnie przypominają te z jego szkiców węglem, a szerokie, kościste ramiona kontrastują z wąską talią. Męskość, już w erekcji, pulsuje między jego nogami. Martino jest piękny – przypomina żrebaka nie wiedzącego jeszcze, co począć z nieco szaloną erotyczną energią, którą obdarowała go natura. Teraz jego pełen

zakłopotania uśmiech naznaczony jest namiętnością.

Trzymając go za dłoń, prowadzę korytarzem. Dochodzimy do łóżka, którego od rana nie pościeliłam. Kładę go w nim, rozbieram się i wyciągam przy jego boku. Znowu zaczynamy się całować – długo, głęboko. Widzę, jak jego penis się pręży, i wyciągam dłoń, by go popieścić.

Martino patrzy na mnie oczami przepelnionymi pożądaniem.

Podnosi moją dłoń do swoich ust i całuje ją czule. Czuję na nadgarstku jego ciepły oddech.

Siadam na nim okrakiem i zasypuję mu klatkę piersiową pocałunkami, rysując szlak prowadzący od serca aż do pępka. Jego oddech przyspiesza w miarę, jak mój język zapoznaje się z jego skórą. Później schodzę jeszcze niżej i biorę

w usta jego męskość. Ssę go i liżę, aż czuję, jak pod skórą zaczyna pulsować krew.

Martino przygląda mi się z miną wyrażającą coś pomiędzy rozkoszą a zaskoczeniem, jakby wciąż nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje. Jego dłonie zaciskają się na narzucie, a biodra wyginają w łuk, wychodząc mi naprzeciw. Wracam do góry, ku jego ustom, biorę go delikatnie za rękę i przysuwam ją do swojej piersi. Z początku Martino się waha, tak jakby czuł, że nie ma pozwolenia. Po chwili jednak przysuwa wargi do mojego sutka, po czym zaczyna ssać go i podgryzać. Głaszczę go po karku, pozwalając mu działać, a sama pogrążając się w tej cierpkiej przyjemności. Potem on układa się na mnie, wsuwając się między moje nogi.

– Eleno, jesteś wspaniała – szepcze z przymkniętymi oczami, całując mnie w szyję.

Unosi się, a z jego oczu bije intensywne pożądanie, które nie może już czekać.

Trzymając członek dłonią, próbuje we mnie wejść, ale robi to z taką delikatnością, że mu się nie udaje. Co więcej, ja pewnie jeszcze nie jestem gotowa.

– Poczekaj – mówię łagodnie.

Chwytam go za nadgarstek i zachęcam, by mnie pieścił, prowadzę go do mojej lechtaczki, a potem delikatnie go popycham, aż jego palec wsuwa się we mnie. Porusza nim powoli, bez pośpiechu, bez żądań, jest jak ślizgająca się z lekkością piłeczka. Językiem znowu szuka sutków, jednocześnie muskając palcami moje wargi, które powoli wilgotnieją z pożądania.

Ujmuję go za wąskie i gładkie biodra, przyciągam ku sobie i pomagając mu dłonią, pozwalam mu w siebie wejść. Ale tym razem także mu się nie udaje. Wówczas Martino opada na mnie z prychnięciem i ukrywa twarz w zagłębieniu pomiędzy moją szyją i ramieniem.

– Cholera... a tak bardzo cię pragnę!

Uśmiecham się, niemal rozczulona, i głaszczę go po karku, kołysząc w ramionach.

Po chwili Martino znów szuka moich ust i zaczyna mnie całować. Czuję, jak jego nabrzmiała męskość naciska na mój brzuch – pieszczę ją dłonią, by rozbudzić go jeszcze mocniej.

Ma rozszerzone źrenice, na jego twarzy rozmarzenie ustępuje miejsca napięciu, niemal niecierpliwości. Rozkładałam nogi, zachęcając go, by znów do mnie przyszedł. Wreszcie wchodzi we mnie,

nieco niepewnym pchnięciem. Czuję, jak porusza się powoli, zrywami, wciąż niepewny, jak głęboko może wejść. Drży i jęczy. Jego westchnienia są ciche, oddech delikatny, przyjemność dopiero wyzwala się w jego ciele. Chwytam go za pośladki, pomagając mu znaleźć rytm. Teraz nabiera pewności, z każdym ruchem penetruje mnie z rosnącą determinacją. Wreszcie kontrolę nad nim przejmuje instynkt – ta gwałtowna, drapieżna siła; wola, by zbadać i posiąść; czysta, pierwotna męska energia.

To, że jest we mnie, sprawia mi ogromną przyjemność, ale już wiem, że tym razem także nie osiągnę orgazmu. Umysł zaćmiewają mi myśli, moja kobiecość wciąż żyje wspomnieniem Leonarda, tą niezatartą rozkoszą, którą on we mnie pozostawił.

Nie pozwolę jednak, by wspomnienia zepsuły ten moment. Chcę, by to była chwila Martina, chcę, by czuł, że może się wyzbyć zahamowań i zatracić, chcę, by czułość, którą we mnie wywołuje, wzięła górę nad wszystkim innym. Rozsuwając nogi i wyginając plecy, pomagam mu zdobyć przyjemność. On szepcze moje imię, całe jego ciało napina się jak jedno żywe włókno, aż wreszcie dochodzi i opada na moją pierś.

Przez kilka minut Martino leciutko drży. Patrzę, jak po jego gładkiej, jasnej skórze przechodzą dreszcze.

– Jest ci zimno? – pytam, przesuwając dłonią po jego ramieniu.

– Nie, to z emocji – odpowiada, szukając oczami mojego wzroku. – Zobaczyć Wenecję i kochać się po raz pierwszy tego samego dnia...

– Co?!

– No tak, to był mój pierwszy raz – mówi szeptem, z wahaniem.

O Boże. Jak mogłam się nie domyślić?! A przecież mówią, że dzisiejsza młodzież jest dużo bardziej świadoma i doświadczona!

Spokojnie, Eleno, nie zrobiłaś nic złego. On także tego chciał. Przede wszystkim on.

– To znaczy, byłem z dziewczynami... ale nigdy nie zdarzyło mi się pójść na całość.

Niemal się usprawiedliwia, zupełnie jakby czytał w moich myślach. Ma różowione policzki i lśniące oczy.

– Nie uprzedziłem cię, bo wiedziałem, że byś się wycofała... ale ja... to jest... chciałem, żebyś to ty była pierwsza.

Uśmiecham się, gubiąc w jego spojrzeniu, i głaszczę go po brwi, tuż

przy kolczyku. Jak mogłabym mieć do niego o cokolwiek pretensje? Jego oczy mówią mi, że postąpiłam właściwie. Przynajmniej z jego punktu widzenia. Choć pomiędzy nami nie może zaistnieć prawdziwy związek – oboje zdajemy sobie z tego sprawę – to po raz pierwszy od wielu miesięcy zdarzył mi się seks, który był czymś więcej niż zwykłym stosunkiem.

– Ale czy tobie się podobało? – pyta mnie Martino, nagle zaniepokojony, że nie stanął na wysokości zadania. No tak, w końcu jest mężczyzną.

– Tak, bardzo – całuję go delikatnie w czoło.

– Ale nie doszłaś...

– Nie przejmuj się tym – pocieszam go, gładząc po włosach.

To słowo, „doszłaś”, wypowiedziane przez niego, niemal mnie bawi. Chcę,

żeby wspomnienie tego pierwszego razu było piękne, bez jakiegokolwiek cienia.

– Bądź zawsze taki, czuły i łagodny, a wszystkie będą za tobą szalały.

Martino przytula się do mnie i trwa tak przez jakiś czas. Jego oddech muska moją skórę. Trzymam go w ramionach i niemal niezauważalnie kołyszę. W pewnej chwili, jakby nagle się przebudził, podnosi rozczochraną głowę i rozgląda się wokół, nieco zagubiony.

– Która godzina?

– Druga – mówię, zerkając na elektroniczny zegarek stojący na stoliku nocnym.

Wzdycha ciężko, siada na łóżku i opiera się o zagłówek.

– Muszę iść. Mam pokój w hostelu w dzielnicy Giudecca. To daleko stąd?

Obejmuję go delikatnie.

– To niedaleko, ale na tę noc zostajesz tutaj.

Uśmiecha się. Widać, że tylko czekał na tę propozycję.

– Jesteś pewna, że mogę?

– Tak, proszę cię, zostań.

Kochaliśmy się jeszcze kilka razy. Martino był pełen inicjatywy i energii – zdawało się, że chce w ciągu jednej nocy odkryć wszystko, czego można się nauczyć w dziedzinie seksu. Ja zaś oddałam mu się całkowicie, zaspokajając każde z jego pragnień. Kiedy wyczerpani osunęliśmy się w ciemność, czekając, aż otuli nas sen, moja ostatnia myśl krążyła wokół tego chłopca o potarganych włosach i delikatnych dłoniach. Teraz jest mężczyzną i patrzy na mnie innymi oczami.

4

Otwieram oczy powoli, z trudem. Po raz pierwszy od tak dawna czuję obok siebie ciepło drugiego śpiącego ciała. To Martino. Usta same układają mi się w uśmiech, a ja zamykam z powrotem powieki, by raz jeszcze posmakować tej minionej nocy. Myślę o rytmie jego oddechu, o barwie jego skóry i o wszystkich tych dziewiczych obszarach, do których tylko ja dotarłam. Jego delikatność, nieświadoma, a przez to tak rozbijająca, była najlepszym substytutem rozkoszy, jaki udało mi się znaleźć.

Dziękuję, Martino.

Przeciągam się i szukam wzrokiem przytłumionego światła poranka. Obracam się na bok powoli, uważając, by go nie zbudzić. Martino wciąż śpi, ma zmierzwione włosy, a na ustach uśmiech spełnienia typowy dla kogoś, kto uprawiał miłość. Wspaniale było zostać jego pierwszą kobietą. Cudownie, że i teraz jest przy mnie. Za wcześnie jeszcze na słowa, na wyjaśnienia, które będą musiały paść.

W tej chwili, zawieszona między snem a jawą, odrywam oczy od niego i przyglądam się ścianom, sufitowi i meblom. Oczy łapią ostrość i skupiają się na wiszącej na drzwiach szafy sukience w kolorze ultramaryny i... o mój Boże, ślub! Natychmiast otwieram oczy szeroko, zapewne robiąc minę jak

z Mechanicznej pomarańczy. Czemu, do diabła, nie zadzwonił budzik?

W absolutnej panice sięgam dłonią do stolika nocnego i rzucam się na telefon komórkowy, by sprawdzić godzinę, ale bateria wysiadła. Niemożliwe! A przecież w tym pieprzonym mieszkaniu budzika nie ma, bo zawiozłam go do Rzymu!

Z sercem bijącym jak oszalałe włączam lampkę i wyszukuję w szufladzie ładowarkę, podłączam ją do prądu, ale telefon jest tak rozładowany, że nie chce się włączyć. W tej chwili – zupełnie jak w ścieżce dźwiękowej do thrillera – ciszę rozdziera gniewny klakson vaporetta płynącego Canal Grande. Aż podskakuję na ten dźwięk. Cholera!

Nie przejmując się już, że narobię hałasu i obudzę Martina, wyskakuję z łóżka jak kot i biegnę do kuchni. Zegarek na wyświetlaczu mikrofalówki!

Na widok czterech migających cyferek wyrywa mi się krzyk rozpaczy.

– Kurwa, kurwa, kurwa!

Jest dziesiąta pięćdziesiąt, a Gaia bierze ślub o jedenastej w kościele Santa Maria dei Miracoli, po drugiej stronie miasta.

Dlaczego zawsze, zawsze! wszystko idzie na opak? Czemu, cokolwiek zrobię, powoduję same szkody? Mam ochotę wsadzić łeb do tej pieprzonej kuchenki!

Dalej, muszę się ruszać, nie ma teraz czasu na durne rozmyślenia egzystencjalne. Skup się, Eleno, dziesięć minut może wystarczyć, jeśli wykorzystasz je mądrze.

Lecę z prędkością światła do łazienki i biorę błyskawiczny prysznic. Obiecałam Gai, że już o dziewiątej stawię się u niej w domu, by pomóc w przygotowaniach i skorzystać z usługi zamówionych przez

nią specjalistów – wizażysty i fryzjera. Skoro nie przyszłam, pewnie uznała, że nie żyję. Ale nie ma czasu na usprawiedliwianie się, nie ma teraz czasu na nic.

Wypadam z łazienki, ociekając wodą, mam jeszcze siedem minut, żeby się ubrać, umalować, uczesać, założyć szpilki i przemierzyć całe miasto. *Mission impossible*. To panna młoda powinna pojawić się spóźniona, trzymając wszystkich w napięciu do ostatniej chwili. Na pewno nie świadkowa. Nie osoba, która składa podpis pod gwarancją związku na całe życie. Nie ja! Gaia nigdy mi nie wybaczy.

Nie wolno mi myśleć. Muszę jak najszybciej się uwijać, i tyle. Potem spróbuję wszystko naprawić. O ile da mi szansę...

Ściągam sukienkę z wieszaka, wkładam ją i nie zapiąwszy nawet

zamka, biegnę spojrzeć na komórkę. Wreszcie się włączyła i informuje o dwudziestu sześciu nieodebranych telefonach od Gai. Dłońmi drżącymi ze zdenerwowania staram się wybrać jej numer, ale ona oczywiście nie odbiera. Ślub zacznie się za parę minut, a ja jestem wciąż w rozsypce i z dwudziestolatkiem w łóżku. POMOCY!!!

On śpi błogo. Mogłabym zostawić go w spokoju, ale naprawdę odczuwam potrzebę podzielenia się z kimś moją tragedią.

– Martino, pobudka! – potrząsam nim.

– Która godzina? – mamrocze on, obracając się na bok.

– Późna. Prawie jedenasta.

Mój głos pewnie rozsadza mu bębenki, a ja wciąż szarpię go za ramię.

– Co? – natychmiast otwiera szeroko oczy i podnosi się na łóżku. – A czy ty.... nie miałaś... ślubu?

– Tak, do cholery! Nie ma mowy, żebym zdążyła na czas – wyję, po czym znów skaczę na równe nogi i zaczynam kręcić się po pokoju jak mucha zamknięta w słoiku.

Martino siada na łóżku i patrzy na mnie wciąż jeszcze zaspanym wzrokiem.

– Spokojnie. Miotając się, nic nie wskórasz.

Wstaje, przecierając oczy i rozprostowując chude ramiona, po czym opiera się o ścianę, by się nie przewrócić. Pewnie nie takiej pobudki się spodziewał.

Ja tymczasem przypomniałam sobie, że mam wciąż rozpiętą sukienkę, i walczę z zamkiem na plecach.

Martino podchodzi i delikatnie zapina suwak.

– Gotowe.

– *Fuck*. Czuję się jak serdelek! – wykrzykuję, wciągając brzuch w daremnej próbie zmniejszenia swego rozmiaru.

Potem, zapominając o podziękowaniu, ruszam biegiem do łazienki.

Zapalam lampkę przy lustrze i patrzę na siebie. Wyglądam fatalnie – pod oczami mam cienie jak zombie, na podbródku zaś pryszcz (a raczej wulkan). Frenetycznymi, nieskoordynowanymi ruchami rozsmarowuję na twarzy podkład i korektor, ale sytuacja wcale się nie poprawia. Teraz wyglądam jak figura woskowa.

Nieważne, nie ma czasu na perfekcjonizm. Teraz liczy się to, by przejść do kolejnego etapu. Wyciągam z szafki starą skrzyneczkę do makijażu pełną

różnokolorowych cieni i szminek. Nigdy nie byłam mistrzynią make-upu, teraz jednak nadszedł czas, by udowodnić, że wszystkie lekcje udzielone mi przez niemordowaną Gaię nie poszły na marne. Zobaczmy, czy uda mi się umalować w miarę przyzwoicie...

– Eleno... – dobiega mnie głos Martina, jak zawsze delikatny.

Brzmi jak ktoś, kto całe życie się obawia, że może komuś przeszkadzać.

– Tu jestem – odpowiadam, nakładając na policzki odrobinę różu.

– Mogę wejść?

Staje w drzwiach, już ubrany i w swoich all starach na nogach.

– Pewnie, wejdz.

Jego odbicie pojawia się w lustrze obok mojego. Na widok jego zdezorientowanej i nieco zakłopotanej miny topnieje mi serce.

Obracam się na chwilę ku niemu i podchodzę bliżej.

– Przykro mi, że nie mogę poświęcić ci więcej uwagi...

Staję na palcach i szybko cmokam go w usta.

– ...ale to sytuacja awaryjna! – odrywam się od niego, wracając do pacykowania swojej twarzy. – Nie umiem się umalować nawet w zwykłych warunkach, a co dopiero w takiej chwili – pryham, przyglądając się sobie w lustrze i wykrzywiając usta w wyrazie obrzydzenia.

– Pozwól to zrobić mnie.

Martino staje obok mnie, naprzeciwko lustra. Nie żartuje. A przynajmniej wydaje się, że mówi całkiem poważnie.

– Tobie?

W tej chwili jestem do tego stopnia zdesperowana, że uwierzyłabym we wszystko. On w milczeniu tylko wyjmuje

mi z dłoni pędzelek do makijażu. Nie wiem, co powiedzieć, gdy Martino delikatnymi, ale pewnymi ruchami zaczyna nakładać cień na moje powieki.

– Na akademii sztuk pięknych skończyłem kurs makijażu teatralnego – tłumaczy w końcu. – Jeśli mi ufasz...

– Oczywiście, że ci ufam! Obyś tylko uwiął się szybko i nie umalował mnie na wzór jednej z tych tłustych śpiewaczek operowych z toną tapety na twarzy.

Martino dokonuje z moimi oczami istnego cudu. Wykańcza makijaż niebieskim tuszem do rzęs i warstewką błyszczyku na ustach. Gotowe.

Rzucam okiem na iPhone – jest piętnaście po. Biorąc pod uwagę, że Gaia lubi zachowywać się jak gwiazda, można uznać, że dopuszczalny margines mojego

spóźnienia wydłuży się do jedenastej dwadzieścia. Być może.

I tak w życiu się nie wyrobię.

Pozostaje jeszcze kwestia uczesania. Podnoszę włosy u nasady, by odzyskały życie – wyglądam jak fascynująca krzyżówka główki sałaty i cocker spaniela. Patrick, fryzjer Gai, pewnie coś by zaradził – gdybym tylko obudziła się na czas!

Zbieram je w kucyk.

– Tak dobrze? – pytam Martina z nadzieją. – Czy lepiej tak? – mówię, rozpuszczając je i zczesując na jedną stronę.

Bardzo urosły, sięgają mi teraz do połowy pleców i prędzej czy później będę musiała się zdecydować na skrócenie ich.

– Hmm...

Martino przygląda mi się i w końcu mówi:

– Może w ten sposób.

Delikatnie ujmuję moje włosy i skręca je w rodzaj niskiego koka.

– To uczesanie rozświetla ci twarz.

– OK. Ufam ci! – wykrzykuję, utrwalając zaimprovizowaną fryzurę spinką z perłami.

Ten chłopak jest pełen niespodzianek.

Rozpyłam wokół głowy chmurę lakieru i wybiegam z łazienki, rozglądając się za butami.

Właśnie w tej chwili – jest jedenasta dwadzieścia – dzwonek bezlitośnie obwieszcza nadchodzące połączenie od mojej matki. Oczywiście, zupełnie jak w filmie, siedzi teraz w jednym z pierwszych rzędów w kościele i nie widząc mnie przy boku Gai, wyobraża sobie najgorszy scenariusz. Telefon do mnie to czysta formalność, tak naprawdę ma już

zamiar wykręcić numer alarmowy 113.
Nie mogę jej zignorować.

– Tak, mamó?

– Eleno, gdzie ty u diabła się podziewasz? Żyjesz?

Choć praktycznie szepcze, wciąż wyraźnie wychwytyję przeszywający, pełen niepokoju ton.

– Wszystko dobrze, mamó – staram się ją uspokoić. – Nie usłyszałam budzika. Nie martw się.

– O Jezu! – widzę oczami wyobraźni, jak wznosi oczy do nieba i zaciska wargi, co czyni zawsze, gdy nie ma kontroli nad sytuacją. – Postaraj się pospieszyć, Eleno! Co za wstyd...

Jakbym sama nie wiedziała!

– No już, nie chcę tracić czasu. Lecę do was. *Ciao!* – rozłączam się.

Wyszukuję w kontaktach – całe szczęście, że go nie skasowałam – numer

Sharka, najszybszego pirata drogowego wśród wszystkich weneckich taksówkarzy. Proszę go, by odebrał mnie z Mostu Akademii za dziesięć minut. Całe szczęście, jest wolny.

– Jasne, *amore* – mówi – dla ciebie wszystko.

Chwytam leżące na komodzie liliowe czółenka peep toe i wkładam je w biegu, ryzykując skręcenie karku, potem łapię kopertówkę i wrzucam tam kilka przypadkowo schwyconych rzeczy. Gotowa!

Nie zerkam nawet w stronę lustra – nie mam na to ani czasu, ani odwagi. Być może, jeśli się pospieszę, zdążę jeszcze przed końcem ceremonii. A wręcz niedługo po pojawieniu się panny młodej!

– Zapomniałaś o tym – Martino wręcza mi komórkę, którą zostawiłam na komodzie.

– Dzięki! – wpycham iPhone do torebki, która teraz ledwo się zamyka.

Wychodzimy z domu razem i pokonujemy schody na dół z maksymalną prędkością, na jaką pozwalają moje buty – czyli niewielką. Na szczęście Martino podaje mi ramię. Nie wiem czemu, ale czuję się przy nim jak starsza pani. Ale nie czas na takie myśli.

Żegnamy się na Moście Akademii.

– Nawet nie zrobiłam ci kawy – mówię przepraszającym tonem.

On w odpowiedzi składa na moich ustach nieśmiały pocałunek, po czym spogląda na mnie pełnymi wdzięczności, błyszczącymi oczami.

– Nigdy nie zapomnę tej nocy – mówi, pomagając mi wsiąść do taksówki.

– Widzimy się w Rzymie! – posyłam mu buziaka, siedząc już w motorówce, a Shark bez zapowiedzi zapuszcza silnik. Rzucam w jego stronę oburzone spojrzenie – ten wariat zaraz popsuje moją stylizację à la diwa.

Jedenasta czterdzieści.

Pokonujemy Canal Grande, pędząc z niedozwoloną prędkością, wyprzedzamy tramwaje wodne i promy, przemykamy jak strzała pod Mostem Rialto, tuż przed siedzibą policji miejskiej. Shark podaje mi białą chusteczkę i każe trzymać ją w powietrzu. Oto ryzykuję życie – byłabym zresztą niezwykle eleganckim trupem – podejmując desperacką próbę dotarcia do kościoła, zanim moja najlepsza przyjaciółka wypowie solenne „tak”. Taksówka skręca w wąski i kręty kanał, gdzie musi zwolnić, by uniknąć roztrzaskania się o któryś

z budynków. Przez kilka metrów ślizgamy się po wodzie powoli, aż przed moimi oczami ukazują się wreszcie pokryte polichromią, rozświetlone kwietniowym słońcem marmury Santa Maria dei Miracoli. Prawdziwe objawienie.

Jedenasta pięćdziesiąt.

Wykonując zręczny manewr, Shark parkuje taksówkę przy brzegu kanału, skąd można wysiąść na przybrzeżny chodnik, po czym otwiera drzwiczki. Zapłaciwszy mu (rozbój w biały dzień!), wyskakuję z motorówki niczym akrobatka i przy każdym kroku ryzykując życie, jak wariatka biegnę w dół ulicy na moich szcudłach. Dyszę, jestem spocona, makijaż mi spływa, fryzura się rozpada, ale liczy się to, że być może uda mi się jeszcze zdążyć, by być przy boku Gai w najpiękniejszym dniu jej życia.

A jednak nie. Wszystko na nic. Dociera to do mnie, gdy wbiegając po schodach prowadzących do kościoła, zderzam się z wylewającą się przez drzwi falą gości. *Fuck!* Od kiedy to moja przyjaciółka jest tak punktualna? Ale jej się spieszyło, żeby wyjść za mąż! A o księdzu nie wspomnę... to naprawdę była błyskawiczna msza!

Nie daję jednak za wygraną. Nowożeńcy zapewne powiedzieli już „tak” – wciąż nie chce mi się wierzyć, że zrobiłam to Gai – lecz być może nie zdążyli podpisać aktu ślubu. Przy odrobinie szczęścia zdążę jeszcze wypełnić obowiązek świadkowej. Rzucam się w tłum niczym amazonka, przebijając się pod prąd i torując sobie drogę łokciami. Wszyscy patrzą na mnie z mieszkanką zażenowania i pretensji.

Zauważam Valentinę, Serenę i Cecilie – wszystkie odstawione jak na pokaz mody. Vale, która zawsze liczyła, że to ona zostanie świadkową, rzuca mi spojrzenie oznaczające „To teraz przychodzisz?!”. Przepychając się dalej jak obłąkana, natykam się na moją matkę, która łapie się za głowę i staje jak wryta, przyglądając się moim poczynaniom z otwartymi ustami. Ignoruję ją i prę dalej, niewzruszona, w poszukiwaniu państwa młodych. Susami godnymi lekkoatletki przemierzam główną nawę kościoła, przyozdobioną białymi i niebieskimi różami. Wciąż ani śladu Gai i Samuela.

Kieruję się szybko ku przylegającej do prezbiterium zakrystii. Drzwi są otwarte, rozpoznaję zwróconych plecami do mnie nowożeńców i księdza, który właśnie w tej chwili prezentuje ogromny

pergaminowy rejestr, w którym złożą swoje podpisy świadkowie.

– Stać! Czekaście! – wykrzykuję, wyhamowując w szpilkach na marmurowej posadzce.

– Elena! – Gaia obraca się ku mnie zaskoczona. – Gdzie się podziewałaś?

Powstrzymuje się przed obrzuceniem mnie stekiem inwektyw, co z pewnością by uczyniła, gdybyśmy nie znajdowały się w świętym miejscu.

Wygląda przepięknie. Jest ubrana w białą suknię ozdobioną perłami i koronkami, blond włosy ma ułożone w skomplikowaną fryzurę, a spod koka aż do jej stóp spływa welon. Na jej widok moje serce na chwilę się zatrzymuje, a oczy wilgotnieją.

– Wybacz mi – mówię błagalnym tonem, zgięta wpół od kolki i tak

zasapana, że niemal mdleję. – Coś mi wypadło. Wytlumaczę ci potem.

– Uznaliśmy cię już za zaginioną – wtrąca się Samuel.

Nie jestem w stanie rozszyfrować tonu, który wychwytyję w jego głosie – to pretensja czy ironia? W każdym razie, gdy na niego spoglądam, jestem zmuszona przyznać, że on także wygląda fantastycznie. Ma na sobie dopasowany czarny garnitur, krawat w kolorze ultramaryny, a w butonierce goździk tej samej barwy. Jego świadkiem jest Roberto, przyjaciel, który był z nim, gdy spotkałam go po raz pierwszy.

– Cóż, teraz już za późno – oznajmia Alessandra, siostra Gai.

Patrzy na mnie z wyrazem rozczarowania, w dłoni trzyma długopis, jakby już szykowała się do złożenia podpisu. Fakt,

że Gaia wybrała na moją zastępczynię ją, a nie Valentine, trochę dodaje mi otuchy.

– Moi drodzy, możemy kontynuować?

– pyta ksiądz, otwierając księgę na stronie opatrzonej dzisiejszą datą i wskazując miejsce, w którym mają podpisać się świadkowie.

Nabieram powietrza w płuca, teatralnym gestem podnoszę rękę do piersi i wygłaszam swój rozpaczliwy apel:

– Posłuchajcie, choć nie było mnie na ślubie, to wciąż pozostaję najbliższą przyjaciółką panny młodej – potem zwracam ku Gai spojrzenie zagubionego szczeniaka, a po policzku spływa mi łza.

– Proszę cię, bardzo mi zależy, by być twoją świadkową. Obiecałyśmy to sobie...

Gaia przez chwilę się waha, a potem na jej ustach zarysowuje się cień uśmiechu. To nie ten sam uśmiech co zawsze, ale też nie mogę spodziewać się niczego

więcej, biorąc pod uwagę, jaki wywinęłam numer. Potem panna młoda skinieniem daje siostrze znak, a ta posłusznie, choć z pewną niechęcią, podaje mi pióro. Ujmuję je drżącą dłonią i pochylam się nad rejestrem, by nakreślić swoje nazwisko.

Po złożeniu podpisów odprowadzamy nowożeńców na zewnątrz. Gaia trzyma Samuela za rękę, Roberto i ja towarzyszymy im po obu stronach, a pochod zamyka Alessandra.

Gdy przemierzamy nawę główną, Gaia obraca się ku mnie i rzuca szeptem:

– Co ty wyrabiałaś? Panikowałam bez ciebie!

– Wiem, potem ci wszystko opowiem...

– Mam nadzieję, że był chociaż tego wart... – Gaia puszcza mi oko.

Jest wciąż sobą i wybaczyła mi. Świadoma moich seksualnych odjazdów,

założyła z góry, że to właśnie jeden z nich stał się przyczyną mojego spóźnienia. Cóż, niewiele się pomyliła...

– To nie tak jak myślisz... – próbuję się tłumaczyć, ale jesteśmy o krok od triumfalnego wyjścia z kościoła i nie ma już czasu na słowa.

Tłum klaszcze i obsypuje Gaię i Samuela chmurą białych i niebieskich płatków. Po rytualnych fotografiach małżonkowie machają zgromadzonym i odpływają gondolą ozdobioną kaskadą róż, podczas gdy goście ruszają pieszo, każdy w swoim tempie, w kierunku Palazzo Pisani Moretta, gdzie ma się odbyć przyjęcie weselne.

Wysłuchawszy cierpliwie gorzkiego kazania mojej mamy, która czekała na mnie pod kościołem, dołączyłam do Valentyny, Sereny i Cecylii, które

w swoich minisukienkach w odblaskowych kolorach przypominają postmodernistyczną wersję trzech biblijnych Marii. Razem zmierzamy do pałacu, a ja przez całą drogę staram się usprawiedliwić swoje karygodne spóźnienie, próbując jednocześnie nie wywołać kolejnego skandalu. Zmyślam, że poplamiałam sukienkę i w ostatniej chwili musiałam ją zapierać, ale nie sądzę, by się nabrały. Ostatecznie muszę po prostu znieść ich pełne dezaprobaty spojrzenia.

Przed budynkiem nasza grupka spotyka się z komitywą złożoną z przyjaciół Belottiego – kolarzy różnych narodowości, którzy w swoich ubraniach jak z rewii mody wyglądają jak wyjęci z reklamy Dolce & Gabbana. Gdy czekamy na przybycie młodej pary, między jednym kieliszkiem szampana a drugim zaczyna się pełen flirtu taniec.

Mogę zaświadczyć – tym razem bez problemu – że podczas przyjęć weselnych nadarza się sporo okazji do podrywu. Mnie namierza Hiszpan o posągowej budowie. Wciąż dolewa mi do kieliszka i powtarza pod nosem *que guapa*, ale nie jestem w stanie uchwycić dokładnego sensu jego słów, bo podobnie jak on, mam już nieco w czubie. Gdyby nie to, że wciąż towarzyszy mi wspomnienie nocy spędzonej z Martinem, poważnie zainteresowałabym się mięśniami, które tak ładnie zarysowują się pod bawełnianą dopasowaną koszulą. Ale dziś nie mam natchnienia.

Wreszcie na miejsce docierają państwo młodzi. Wychodzę naprzeciw Gai, by zdobyć odrobinę jej uwagi, ale ledwie udaje mi się zamienić z nią dwa słowa, a już odbija mi ją wojowniczy oddział złożony z członków rodziny

zdecydowanych złożyć życzenia. Przyjaciółka rzuca mi pełne rezygnacji spojrzenie – widać, że jest już tym wszystkim znudzona.

Dopijam prosecco i dołączam do Sereny, Cecilii i Valentyny, które tymczasem zdążyły otoczyć mojego Hiszpana i walczyć o niego za pomocą uśmiechów i przeciągłych spojrzeń. Trudno. Niech go sobie wezmą.

Wreszcie wodzirej zaprasza nas do środka. Wnętrze wystrojem przypomina królewską rezydencję – bieżniki z czerwonego aksamitu, lampy ze szkła weneckiego, posadzki z wypolerowanego na błysk marmuru i rozstawione wszędzie wyszukane kompozycje kwiatowe, utrzymane w niebiesko-białej tonacji. Na środku głównego salonu króluje wykonana z pleksiglasu gondola kryjąca bufet wykwintnych win i rozmaitych przekąsek

typu finger food. Jak zawsze, gdy zdarza mi się kosztować czegoś wyjątkowo kuszącego lub fantazyjnego, mimo woli zaczynam myśleć o Leonardzie, o pasji, z jaką wykonywał swój zawód, zręczności i delikatności jego palców, o pomysłowości, z jaką przyrządzał potrawy. Jedzenie było dla niego strawą w każdym wymiarze – a więc także w znaczeniu estetycznym, jako zetknięcie materii i ducha.

Jeśli teraz jestem w stanie docenić walory tych delicji, zawdzięczam to jemu. To on odkrył przede mną prawdziwy smak wielu rzeczy, zarażając mnie ni-enasyconym głodem życia. To on zawiódł mnie na szczyty rozkoszy, która obecnie z niezrozumiałych przyczyn stała się dla mnie niedostępna.

Żeby pozbyć się tych myśli, wyciągam z torebki iPhone. Łudzę się, że szybka

rundka Ruzzle pozwoli mi skupić się na czymś innym – choć w rzeczywistości słowa, które ostatnio najczęściej układam (seks, ręce, łóżko, zapach) – i tak przywodzą mi na myśl jego.

– A teraz posłuchajmy, co masz na swoje usprawiedliwienie.

Do rzeczywistości przywołuje mnie głos Gai, zabarwiony nutą pretensji i podlany winem. Moja przyjaciółka siada obok i wbija we mnie wzrok. Zaczyna się rozprawa. Odkładam telefon i wreszcie opowiadam jej o wszystkim – o mojej surrealnej, pełnej słodczy przygodzie z Martinem i o szokującej pobudce nazajutrz. Czuję, że kamień spadł mi z serca. Komu innemu mogłabym opowiedzieć o tym, jak pozbawiłam dziewictwa dwudziestoletniego chłopaka? Z tego powodu przegapiłam

jednak ceremonię ślubną – jestem więc zmuszona posypać głowę popiołem.

– Prawda, że mi wybaczasz? – pytam, posyłając jej błagalne spojrzenie.

Ona przygląda mi się surowo. Biała suknia sprawiła, że nabrała nietypowego dla niej anielskiego wyglądu, który niemal zbija mnie z tropu.

– No dobra – mówi w końcu, marszcząc nos. – Ale tylko trochę.

To wystarcza, bym rzuciła się jej na szyję i zasypała buziakami oraz deklaracjami dozgonnej i bezwarunkowej miłości.

Odkleja mnie od siebie z uśmiechem, mówiąc:

– No już, przestań, bo popsujesz mi makijaż.

A potem wraca do swojego stolika, by zasiąść przy boku Samuela, który już zdążył się stęsknić.

To najlepsza przyjaciółka, jakiej człowiek mógłby sobie życzyć.

Podczas gdy kelnerzy serwują dokładkę głównego dania, wystawiającego na poważną próbę szwy mojej sukienki od Versace, dostaję SMS od Martina:

Jak idzie?

Przyjaciółka Ci wybaczyła?

Całus.

Marti

Usta same układają mi się w pełen czułości uśmiech. Przyjaciółka mi wprawdzie wybaczyła, ale wszyscy inni wciąż rzucają mi krzywe spojrzenia. Nikt nie traktuje mnie ze zwykłą serdecznością – ani rodzice Gai i jej siostra, ani Trzy Marie siedzące przy tym samym co ja stoliku. Być może to tylko moje wrażenie

– czyżbym miała wyrzuty sumienia z powodu nocnej przygody? – ale czuję się nieswojo wśród innych gości, tak poważnych w swoich ciemnych strojach i z zabalzamowanymi fryzurami. Nie zrobiłam nic złego, do diabła, a więc nie ma powodu, by nie odpowiadać Martinowi, że u mnie wszystko w porządku i że jego make-up daje radę. Chcę, żeby się uśmiechał, wspominając mnie i swoją pierwszą noc w Wenecji.

Mijają godziny, a ja wciąż piję na całego, ignorując pełne rozczarowania spojrzenia. Tak, wiem, popełniłam błąd, a obecnie popełniam kolejny, ale i tak nie powinniście potępiać mnie tak bezapelacyjnie. I to w takim momencie! Sprawy są wystarczająco skomplikowane i bez tego...

Rozglądam się wokół i widzę jedynie szczęśliwych ludzi. Ale ja nie należę do

tego kręgu przyjaźni, uśmiechów i dobrych nowin. Nagle ogarnia mnie uczucie nieprzystawalności. Gaia wyszła dziś za mąż – jest oficjalnie żoną Samuela Belottiego i w tej chwili wyglądają na najszczęśliwszą parę na świecie. Cecilia właśnie dostała pracę swoich marzeń – będzie inżynierem ochrony środowiska we Francji, wkrótce przeprowadzi się do Paryża ze swoim chłopakiem. Valentina i Serena planują otworzyć razem restaurację, a pod koniec wieczoru być może jedna z nich wróci do domu z przystojnym hiszpańskim kolarzem. Przychodzi mi na myśl także Filippo, któremu udało się zrealizować plan otwarcia własnego studia architektonicznego i który kupił owo słynne mieszkanie przy Canal Grande, gdzie zapewne zamieszka ze swoją nową dziewczyną. Wszyscy wydają się spełnieni albo

przynajmniej mają w życiu jakiś cel. Elena Volpe natomiast wciąż szuka swojego miejsca na świecie i z każdą chwilą czuje się coraz mniej komfortowo w swojej sukience, a przede wszystkim w swojej skórze.

Wzrok zasnuwa mi ciężka i nieodparta melancholia. Nagle z przykrością zdaję sobie sprawę, że jedyny pozytywny element tego przyjęcia stanowi dla mnie to fantastyczne prosecco Cartizze Superiore. A więc nalewam sobie kolejny kieliszek.

Gdy wodzirej ogłasza, że zaraz wjedzie tort weselny, moja sprawność umysłowa jest odwrotnie proporcjonalna do ilości wypitego alkoholu. Świat zdaje się teraz bardziej przystępny, ale taki pokręcony... Na stojąco czuję się nieco mniej stabilnie, niż siedząc, ale i tak udaję się wraz

z resztą gości do stolika młodej pary. Wszyscy biją brawo i skandują życzenia, które w moich uszach brzmią obscenicznie. To tak się robi na ślubach? Gaia i Samuel zaczynają kroić dekoracyjny, pięciopiętrowy tort weselny przekładany bitą śmietaną i owocami leśnymi.

– Wznieśmy toast na cześć młodej pary! – zaprasza ojciec Gai swoim donośnym głosem, podnosząc kieliszek i gestem zachęcając innych, by poszli w jego ślady.

Valentina, która najwyraźniej z niecierpliwością czekała na swoją chwilę, wchodzi na scenę i cała promieniejąc z dumy, rozwija niewielki kawałek pergaminu. Po chwili suspensy zaczyna czytać z emfazą stronicę z *Proroka* Kahila Gibrana:

Razem urodziliście się i razem będziecie na zawsze.

*Razem, gdy białe skrzydła śmierci rozproszą wasze dni;
razem, zaprawdę, nawet w cichej pamięci Boga.*

*Lecz przestrzeń niech będzie w tej waszej wspólności,
a wichry niebios niechaj swobodnie wieją między wami.*

*Miłujcie jeden drugiego, lecz nie róbcie więzów z miłości;
niechaj będzie ona jako morze w ruchu wśród brzegów dusz waszych.*

*Czary swoje napełniajcie wzajem, lecz z jednej nie usiłujcie gasić pragnienia;
chlebem swoim dzielcie się zawsze z drugim, lecz z tej samej kromki nie starajcie się żywić.*

Razem bądźcie w śpiewie i tańcu, radośni, jednak każdy niechaj

*będzie i sam, jak same i oddzielne są
struny lutni, choć jedną dźwięczą
muzyką.*

*Serca swoje oddajcie sobie wzajem, lecz
nie w wyłączną opiekę
drugiego;*

*albowiem tylko dłoń życia serce ludzkie
zawrzeć w sobie może.*

*Stójcie razem, lecz nie nazbyt blisko;
gdyż kolumny świątyni oddzielnie stać
muszą,
a dąb i cyprys nie rosną w cieniu dru-
giego¹.*

Goście biją brawo, a małżonkowie dziękują wzruszeni.

Następnie głos zabiera matka Gai.

– Ja nie jestem w stanie wypowiedzieć się równie pięknie – robi pauzę, oczy ma wilgotne – ale chcę życzyć mojej córce i Samuelowi, żeby byli szczęśliwi, zawsze.

A nawet wtedy, gdy nie będzie to możliwe, by pozostali zjednoczeni i zakochani tak, jak w tej chwili.

Kiedy również Aleksandra podnosi kieliszek i wygłasza następne identyczne życzenia „oby miłość Gai i Samuela trwała całe życie!”, czuję, że głowa zaraz mi pęknie od tego zalewu słodczy. Czas trochę rozkręcić atmosferę... Podejrzewam, że podpowiadają mi to rzeki Cartizze, które obecnie płyną w moich żyłach.

– Teraz moja kolej – ogłaszam, trącając kieliszek nożem i odchrząkując. – Ja chciałam podzielić się nie życzeniem, a wyrazem nadziei. Teraz, gdy już jesteście po ślubie, proszę was... – biorę oddech i odpalam bombę. – Kochajcie się częściej! Samuel, twojej żonce nie wystarczy jeden numerek na miesiąc... – wybucham głośnym śmiechem, by po

chwili zdać sobie sprawę, że tylko ja na całej sali się śmieję, a reszta stoi skonsternowana.

Czyżbym powiedziała coś aż tak straszego?

– Hej, żartowałam... To był dowcip... – staram się usprawiedliwić, piorunowana spojrzeniami pozostałych gości.

Pianista musi być wyjątkowo taktownym człowiekiem, bo przerywa moją bełkotliwą i niezborną wypowiedź, wygrywając pierwsze nuty *I Say a Little Prayer*. Ale ja nie jestem Rupertem Everettem ani Julią Roberts, a panująca atmosfera ani trochę nie przypomina tej z filmu *Mój chłopak się żeni*. Jestem kretynką – ot co – świadkową z koszmaru, która sądząc po minie mojej przyjaciółki, właśnie narobiła jej obciachu.

Kelnerzy podają tort, a wszyscy sprawiają wrażenie, jakby zapomnieli

o mojej chwili niepoczytalności – po prostu demonstracyjnie mnie ignorują. Tymczasem Gaia podchodzi do mnie i szarpie mnie za ramię.

– Czy mogłabyś na chwilę udać się ze mną do łazienki? – pyta, posyłając mi mordercze spojrzenie.

– Jasne – odpowiadam i ruszam za nią, przytrzymując niezdarnie jej tren.

Zapewne należy to do obowiązków świadkowej i chciałabym wywiązać się chociaż z niego, ale tak naprawdę z każdym krokiem ryzykuję, że potknę się o jej suknię i zaliczę wywrotkę.

Gdy tylko przekraczamy próg toalety, Gaia odwraca się do mnie gwałtownie.

– Ele, spójrz mi w oczy. Co ty, do cholery, wyprawiasz?

– Co masz na myśli? – pytam, wzruszając ramionami.

W tej chwili najlepszą strategią wydaje mi się negowanie i ostentacyjna obojętność. Krótko mówiąc – zgrywanie idiotki.

– Zwariowałaś?! Mam na myśli, że mogłabyś zachować dla siebie to, co mówię ci w zaufaniu o moim życiu seksualnym!

Teraz wygląda na naprawdę wściekłą.

– Już przestań, straszna się z ciebie zrobiła sztywniaczka, odkąd wyszłaś za mąż... To był tylko żart! – staram się rozładować atmosferę.

– Tak, bardzo kiepski żart. Który zresztą wcale do ciebie nie pasował. Naprawdę cię nie rozumiem – rzuca, uderzając palcem wskazującym w mój mostek.

– Oj, przestań nudzić – zbywam ją poirytowana. – Jesteś panią Belotti

raptem od paru godzin, a już zachowujesz się jak stara burżujka...

To pewnie też był kiepski żart, bo Gaia wcale się nie śmieje, tylko spogląda na mnie ponuro. Odnoszę wrażenie, że zaraz zacznie dymić jej z uszu. Być może naprawdę trochę przesadziłam z Cartizze...

– Ile wypijaś? – pyta prosto z mostu.

– O Boże, teraz nie wolno nawet wnieść toastu na ślubie przyjaciółki!

– Coś mi się wydaje, że ostatnio wznosisz stanowczo za wiele toastów...

– Spokojnie, mam wszystko pod kontrolą.

Gaia kręci głową.

– Nie poznaję cię, Ele. Zjawiasz się, gdy ślub dobiegł już końca, pijesz na umór, gadasz od rzeczy, aż wszyscy się czują zażenowani... I to nie tylko dziś. Od jakiegoś czasu widzę, że się zmieniłaś.

Wymykasz mi się, nic o sobie nie mówisz, jesteś skryta...

– Odczep się! – wykrzykuje.

Wino uderzyło mi do głowy, szumi mi w uszach, a ton głosu Gai z pewnością nie poprawia sytuacji.

– Słuchaj, wiem, że wciąż cierpisz z powodu Leonarda...

Nie pozwalam jej dokończyć zdania. Na dźwięk tego imienia ogarnia mnie nagła wściekłość.

– Wszystko ze mną w porządku, zrozumiecie to wreszcie czy nie? – znowu krzyczę. – Ty, Paola, moi rodzice... wszyscy powtarzacie mi, jak dziwnie się zachowuję i jak bardzo powinnam cierpieć. Ja nie chcę cierpieć! Możecie to w końcu wbić sobie do głów? Chcę tylko trochę się rozerwać, cieszyć się życiem!

– Ele, ja po prostu się o ciebie martwię
– Gaia patrzy na mnie z przerażeniem.

Chyba nigdy nie widziała, żebym zachowywała się w ten sposób.

– A wiesz, co ja myślę? – ciągnę. Puściły mi wszelkie hamulce. – Sądzę, że mi zazdrościsz. Tak... denerwuje cię, że stałam się taka otwarta i wyzwolona. Chciałabyś, żebym wciąż była tą trochę niezdarną koleżanką, która się nie wychyla i nie odciąga od ciebie uwagi. Cóż, przykro mi, ale brzydkie kaczątko stało się teraz księżniczką!

Może trochę przesadziłam. A do tego pomieszałam bajki... Nie mam pojęcia, czemu tak pluję jadem. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że mam go w sobie, a danie mu ujścia pozostawia w ustach gorzki smak.

Gaia ma łzy w oczach.

– A więc takie masz o mnie zdanie...

Czeka chwilę, jakby miała nadzieję, że się wycofam i ją przeproszę, ale ja tego

nie robię. Wytrzymuję jej spojrzenie w milczeniu – nie do końca przekonana, że wierzę w to, co powiedziałam, lecz zbyt dumna, by się wycofać.

Wówczas Gaia opuszcza łazienkę, trzaskając drzwiami.

Przez chwilę stoję, oddychając głęboko, z zaciśniętymi wargami i rozdętymi nozdrzami. A potem osuwam się na podłogę, opierając się plecami o ścianę. Głowa opada mi na piersi. Mam dość rad, pretensji i zatroskanych twarzy. Jestem zmęczona ciągłym przypominaniem mi, kim byłam, i wypominania, jakim potworem się stałam. Przed chwilą zraniłam moją najbliższą przyjaciółkę, ale widocznie obecnie nie jestem w stanie robić niczego innego, więc lepiej, by trzymała się ode mnie z daleka. Już rozwaliłam jej ślub, być może uda mi się

nie zepsuć całkiem wspomnienia jej najpiękniejszego dnia.

Osoby, które nas kochają, potrafią być czasami denerwujące. I nie chcemy, żeby kręciły się w pobliżu, gdy czujemy potrzebę zrobienia sobie krzywdy.

5

Trudno powiedzieć, żeby powrót do Rzymu po wybryku na ślubie przyniósł mi jakąkolwiek ulgę. Gaia – co było do przewidzenia – nie odezwała się więcej. Jest teraz w podróży poślubnej na Szeszelach, a ja nie mam najmniejszego zamiaru zaburzać jej spokoju. Poza tym nie mam ani ochoty, ani siły na wykonanie pierwszego kroku w kierunku pojednania. Obawiam się, że minie wiele czasu, zanim ponownie się do siebie zbliżymy. Ale jestem pewna, że kiedyś tak się stanie.

Nasza kłótnia stanowiła dla mnie punkt zwrotny – moment trudny, lecz zapewne nieunikniony. W tamtej chwili na wierzch wyszła intymna, wrażliwa część mnie, skrywająca złoza goryczy i rozczarowania, z których nawet nie zdawałam sobie sprawy. Ujawniły się one bez uprzedzenia, gwałtownie i w całości. Przykro mi, że to właśnie Gaia musiała być tego świadkiem. Ale w tej chwili ta trucizna zajmuje wszystkie moje myśli i zabarwia wszelkie emocje. Ja zaś czuję się bezwolna, nie jestem w stanie się od niej uwolnić.

Tylko niewinność i delikatność Martina są jeszcze w stanie stopić nieco tę bryłę smutku, którą w sobie noszę. Właśnie dlatego idę teraz się z nim spotkać. Umówiliśmy się przy Porta Portese o piątą i muszę się pospieszyć, jeśli nie chcę się spóźnić, co ostatnio

przydarza mi się notorycznie. On wrócił do Rzymu nazajutrz po naszej wspólnej nocy w Wenecji i od tamtej pory wielokrotnie próbował się ze mną umówić. Za każdym razem mu odpowiadałam, ale dość chłodno, wręcz obojętnie. Myślałam o tym, co się wydarzyło między nami, i chociaż podarował mi jedną z najpiękniejszych nocy w ciągu ostatnich miesięcy, postanowiłam, że to się nie powtórzy. Chcę go uchronić przed błędami, które prędzej czy później z pewnością bym popełniła. Może to z mojej strony naiwność, ale chciałabym, aby mimo wszystko ta nasza dziwna przyjaźń trwała. Kochanie się z nim byłoby dla mnie czymś pięknym i dowartościującym, ale tylko przez jakiś czas. Obecnie nie jestem w stanie naprawdę pokochać nikogo i w końcu bym go zraniła. On zaś na to nie zasłużył. Nie chcę,

żeby się zawiódł, i nie chcę bawić się nim, jak innymi mężczyznami, o których wcale nie dbam. Martino jest cudowny i wrażliwy, a ja muszę utrzymać pewien dystans, by go nie skrzywdzić.

Właśnie przekraczam Tybr, gdy otrzymuję SMS.

Przepraszam, spóźnię się.

Zatrzymali mnie dłużej na uniwersytecie.

Będę za pół godziny.

Mam nadzieję, że na mnie poczekaasz.

.*

Uśmiecham się. Przecież obiecaliśmy sobie „żadnych emotikonów, na litość boską!”. A tymczasem on wymiękł. W takim razie mnie też wolno.

Nie przejmuj się. Pokręcę się w okolicy.

Do zobaczenia. :*

Spaceruję zaułkami Zatybrza, aż trafiam wprost na kościół San Francesco a Ripa. Wchodzę, pchnięta nieokreśloną ciekawością i kuszącą myślą o odrobinie chłodu. Choć minęły już godziny najgorszego upału, wyłożone brukiem ulice i fasady kamienic wciąż promieniują wchłoniętym od rana ciepłem.

Czekam przez chwilę, aż oczy przyzwyczają się do półmroku, a potem ruszam wzdłuż nawy głównej. Nagle mój wzrok przykuwa niezwykle piękna rzeźba, której kształt maluje się za swego rodzaju kurtyną, w półcieniu niewielkiej kaplicy. Podchodzę i natychmiast porywa mnie potężna i nieodgadniona energia. Na tablicy przytwierdzonej przy wejściu do kaplicy odczytuję: *Ekstaza błogosławionej Ludwiki Albertoni* autorstwa Gian Lorenza Berniniego, 1674.

Nieznane mi dotąd dzieło Berniniego! Cieszę się, że odkryłam je w ten sposób, przypadkiem. W tej chwili wręcz brak mi słów, by wyrazić ogarniający mnie zachwyt. Kobieta leży na łóżku wykutym w marmurze z niezwykłym mistrzostwem, a z niewidocznego okna pada na nią smuga światła, przydając jej wręcz namacalnej aury mistycyzmu. Jak na błogosławioną, została przedstawiona nietypowo – jej ciało promieniuje nieodpartą zmysłowością – usta ma lekko otwarte, oczy przymknięte, głowę odchyloną do tyłu, jej lewa dłoń spoczywa na brzuchu, a druga pod samą piersią – wskazując serce. A do tego ta pełna upojenia twarz, której Bernini nadał na wieki wyraz sugerujący doskonałą równowagę między przyjemnością a bólem. Kobieta przeżywa ekstazę duchową, ale jej uniesienie ma naturę tak

fizyczną, że zdaje się czymś zupełnie innym. Być może to ja w tym momencie życia nie jestem w stanie myśleć o niczym innym, ale naprawdę wydaje mi się, że na twarzy Ludwika maluje się niemal rozkosz... Wrażenie potęgują rozwiane szaty, które kłębią się i unoszą, jakby jej ciało chciało się od nich uwolnić, by połączyć się z Bogiem. Wydaje mi się, że czuję napięcie, które jej towarzyszy, nieokreśloną energię przenikającą ten kamień, który dłoń artysty uczyniła żywym i wieczno-trwałym. Krótko mówiąc, odnoszę wyraźne wrażenie, że błogosławiona przeżywa coś bardzo podobnego do orgazmu.

Odpędzam szybko tę myśl, ale nie jestem w stanie oderwać wzroku od rzeźby. Przyglądam się jej jak oczarowana. Zupełnie jakby ta kobieta

z marmuru chciała do mnie przemówić. Przeczuwam, co chciałyby mi powiedzieć – coś mocnego, związanego z koncepcją, według której ciało i dusza nie są swoimi przeciwieństwami, ale dwiema stronami tej samej monety. Wdycham zapach palących się świec, topniejącego wosku, i czuję, że sama płonę. W środku, w podbrzuszu.

Trwam tak jeszcze przez jakiś czas, podążając za przecuciem, które nie chce nabrać kształtu, aż wreszcie SMS od Martina przywołuje mnie do rzeczywistości. Napisał, że za pięć minut będzie pod Porta Portese.

Teraz mam powód, by stąd odejść. Szybko zbieram myśli i nie odwracając się już, ruszam z opuszczoną głową w kierunku wyjścia.

Siedzimy w kawiarni. Wciąż jest gorąco, ale my schroniliśmy się w cieniu rzu-
canym przez wysokie kamienice. Po-
zostałe stoliki zajmują niemal wyłącznie
turyści, ale wnioskując po wystroju, ten
bar istniał na długo przed tym, jak Zaty-
brze trafiło do przewodników turystycz-
nych i stało się modną dzielnicą.

Martino promienieje. Patrzenie na
jego szeroki, pełen ufności uśmiech
niemal sprawia mi ból. Rozmawiamy
przez chwilę o jego studiach i o ślubie
Gai, ale wiemy oboje, że tak naprawdę
lawirujemy wokół prawdziwego powodu
naszego spotkania.

– Posłuchaj – mówię nagle, korzystają-
jąc z chwili milczenia. – Chciałam
porozmawiać z tobą o tamtym wieczorze.

Ja jestem starsza – choć na samą myśl
o tym chce mi się śmiać – więc to na

mnie spoczywa obowiązek nawiązania do tej kwestii.

Martino przytakuje, nagle poważniejąc, a jego dłonie instynktownie zaciskają się na stojącej przed nim szklance ze spritzem i zaczynają nerwowo mieszać słomką kostki lodu.

– Tak naprawdę nie ma o czym rozmawiać – oświadcza ochrypłym głosem. – Wiem, że nie jesteś we mnie zakochana.

Znów spoczywa na mnie jego wzrok – odważny, pogodny i zdecydowany – jak u ofiary, która z własnej woli wstępuje na szubienicę. Nie doceniłam go – już zdążył wszystko odgadnąć. Teraz zmusza się do uśmiechu i wiem, że robi to tylko po to, by ułatwić mi zadanie.

– To było coś pięknego, nawet jeśli już nigdy się nie powtórzy. Bo ja wiem, że się nie powtórzy...

Czuję, jak serce zaczyna mi ciążyć, spada na bruk pod naszym stolikiem i się na nim roztrzaskuje. Zbieram siły i mówię:

– Uwierz, tak będzie lepiej.

– Powiedz mi tylko jedno... gdyby nie różnica wieku, wszystko ułożyłoby się inaczej, prawda? – pyta, marszcząc brwi.

Jego naiwność jest rozczulająca. Choć Martino stara się stawić tej sytuacji czoło jak mężczyzna, to tak naprawdę wciąż jest chłopcem. Na szczęście.

– Skąd mogę wiedzieć? – mówię, wtulając głowę w ramiona.

Mam od niego kilka lat więcej, ale niekoniecznie więcej wiem o tych sprawach.

– To, co wydarzyło się między nami w Wenecji, było ważne także dla mnie – mówię z głębi serca. – To nie był przygodny numer, lecz coś, co miało sens

i wiem, że pozostaje jednym z moich najpiękniejszych wspomnień. Ale jeśli nie chcemy wszystkiego popsuć, jeśli nie chcemy siebie stracić, lepiej pozostawić wszystko po staremu.

Martino przytakuje. Wygląda jak pilny student robiący notatki w czasie wykładu.

– Zależy mi na tobie, wiesz? – dodaje potem, głaszcząc go po włosach.

Powiedziałam już to, co miałam do powiedzenia. A Martino nie stara się w żaden sposób wpłynąć na moją decyzję. Czuję się teraz lżej. Wstajemy od stolika i idziemy ramię przy ramieniu w kierunku jego przystanku.

– Zadzwoń do ciebie za parę dni – obiecuję, gdy nadjeżdża jego tramwaj.

On nie odpowiada od razu. Wbija wzrok w czubki all starów, jakby miał na

nich wypisaną kwestię, którą ma wypowiedzieć.

– Słuchaj, może damy sobie trochę czasu, co? – wyrzuca z siebie nagle, jednym tchem. – Wolałbym, żebyśmy na razie się nie spotykali.

Ta odpowiedź jest dla mnie niczym policzek. I słusznie – nie powinnam liczyć, że wszystko będzie jak dawniej, a nasza relacja będzie trwać, jakby nic się nie stało. Zachowałam się naiwnie i egoistycznie. Jest mi przykro, ale zasłużyłam, by tak się czuć.

– OK – odpowiadam i tym razem to ja zmuszam się do uśmiechu. – Wiedz, że jeśli tylko będziesz mnie potrzebował, ja zawsze będę przy tobie.

– No to cześć – rzuca, niemal na mnie nie patrząc, po czym wsiada do tramwaju, który połyka go i wiezie w dal.

Uciekaj, Martino. I jeśli możesz, nie myśl o mnie.

Wchodząc do mieszkania, prawie zderzam się z Paolą, która układa włosy przed wiszącym w przedpokoju lustrem.

– Gdzie się wybierasz? – pytam zaciekawiona.

– Mam spotkanie.

Zgaduję, że chodzi o TEN rodzaj spotkania.

– I nic mi nie powiedziałaś?

Zazwyczaj mówimy sobie wszystko.

Przerywa czesanie i rzuca mi spojrzenie, w którym pretensja miesza się z poczuciem winy.

– Nie było okazji...

– Jak to, przecież mieszkamy razem!

– Jasne, szkoda tylko, że ciebie nigdy nie ma... a jak jesteś, to albo śpisz, albo

siedzisz przy komputerze, robiąc Bóg wie co.

To zdecydowanie brzmi jak oskarżenie. Nachodzi mnie obawa, że ta rozmowa zmierza w kierunku rozliczenia naszych relacji jako współlokatorek, a na to nie mam najmniejszej ochoty. Nie w tej chwili.

– W każdym razie ona ma na imię Monique, jest w moim wieku, jest Francuzką i pracuje w Villi Medici – wyjawia mi Paola, uśmiechem odpędzając moje obawy.

Pewnie stwierdziła, że na razie przestanie mnie prowokować.

– No, powiedz coś więcej! – zachęcam, szturchając ją w ramię.

Chyba wciąż wypada mi ciągnąć ją za język.

Opowiada mi, że poznała ją w pracy. Zarządza recepcją willi, nie ma męża ani

narzeczonego i nie ukrywa swojej orientacji. Inaczej niż Borraccini, eksdziewczyna Paoli, a jednocześnie moja wykładowczyni konserwacji, która całymi latami utrzymywała ich związek w tajemnicy.

– Prawdę mówiąc, już od jakiegoś czasu próbowała mnie wyciągnąć na randkę, ale ja zawsze odmawiałam – ciągnie Paola. – Ale dziś wieczór pomyślałam „czemu nie?”.

Cały zeszły rok, po zerwaniu z Gabriellą, stawiała czoło cierpieniu z wyjątkową odwagą i cierpliwością. Paola nie pozwalała sobie na słabości i ani przez sekundę się nad sobą nie użalała. Nadal robiła to, co wcześniej. Tylko jej spojrzenie wydawało się jakieś zgaszone. Jej serce skuliło się w sobie, a ona nosiła je niczym martwy ciężar. Uparła się, że chce być sama, i przez

wiele miesięcy z nikim się nie umawiała. Ale jednocześnie udało jej się uniknąć oschłości, która często dopada człowieka w takich sytuacjach.

W tym „czemu nie?” zawarła nadzieję na nowe życie, nowe szczęście. Nie wiem, czy Paola jest tego świadoma, ale po niepewnym spojrzeniu, które ku mnie obróciła, wnioskuje, że tak.

– Racja. Czemu nie? – powtarzam z lekkim uśmiechem.

– Pewnie wyda ci się to banałem – mówi, z błyszczącymi oczami spoglądając w lustro – ale ta Monique jest inna od kobiet, z którymi spotykałam się w przeszłości. Nawet z Gabriellą było tak, że to ja zawsze musiałam się wysilać, walczyć o to, by poświęciła mi trochę czasu. Monique natomiast bardzo się o mnie stara. Przyznam, że wręcz mnie

to krępuje, nie jestem do tego przyzwyczajona.

– Wydaje mi się, że to dobry znak – mówię, podając jej torebkę. – Już mi się podoba ta Monique.

Jeśli Paola może się czegoś jeszcze nauczyć, to tego, by przyjmować bezwarunkową miłość.

– No i jak? Dobrze wyglądam? – pyta, obracając się ku mnie.

– Wspaniale – odpowiadam, odprowadzając ją do progu.

Paola zbiega po schodach, pozostawiając za sobą smużkę Chanel nr 5, a ja zamykam drzwi.

Zostałam teraz sama w przedpokoju. Spoglądam przez chwilę na swoje odbicie w lustrze. Podchodzę, zatrzymując się z odrobiną nieufności, jakbym zbliżała się do obcej osoby. Przyglądam się uważnie swej twarzy.

Paola być może zmierza ku nowej miłości. A co ja robię dziś wieczorem?

Ja dalej będę szła swoją ścieżką – co i raz zbacząc czy idąc na skróty. Być może zadzwonię do Davide, zaproponuję, że pójdziemy się czegoś napić, a potem kto wie.... Znam go od miesiąca, poznaliśmy się na siłowni. Wiem o nim jedynie to, że zajmuje się grafiką reklamową i ma dwa psy. Ale to wystarczy. Już raz poszłam z nim do łóżka i było całkiem przyjemnie.

Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję, jest siedzenie tu w samotności i rozmyślanie.

Dziś wieczór wyjdę i wiem, że nie znajdę miłości. Ale w gruncie rzeczy wydaje mi się, że wcale jej nie potrzebuję.

Davide musiał dziś wstać do pracy o świcie i praktycznie wykopał mnie z łóżka.

Wciąż otumaniona snem złapałam autobus i po jednej przesiadce dotarłam do centrum. Jem teraz śniadanie w barze w moim budynku i planuję wrócić do mieszkania, by grzecznie położyć się do łóżka. Gdy wychyłam pospiesznie cappuccino, rozkoszując się klimatyzowanym powietrzem, przez moją głowę zaczynają przelatywać sceny z ubiegłej nocy – ratunku, nie teraz, nie jestem gotowa! Dłonie Davide, wędrujące po mnie w sposób niedbały i chłodny, jego nagie ciało, które pręży się na mnie, ja, jęcząca i wzdychająca tak, jak scenariusz przewiduje – wszystko to jedna wielka fikcja, którą oboje z własnej woli akceptujemy, tak jakby stanowiła coś normalnego, a wręcz pożądanego. Wino, które piliśmy w wielkich ilościach, i zioło, które hoduje na balkonie, należały do głównych atrakcji wieczoru. Ale teraz,

w moich wspomnieniach, wszystko zdaje się mdłe i nieostre, jak obrazek, który rozmazał się pod wpływem wody.

Odrywam wzrok od dna filizanki. Moje spojrzenie napotyka po drugiej stronie okna inne – ciemne i pełne magnetyzmu, zapadające w pamięć. To Lucrezia. Mrugam, próbując się przekonać, że to tylko poimpresowy majak, ale wizja wcale nie znika, przeciwnie – zdaje się na mnie czekać. Reguluję rachunek za śniadanie i wychodzę z baru, poruszając się na czubkach palców. Może się pomyliłam – naprawdę mam taką nadzieję – może to wcale nie ona, a jeżeli jednak tak, to przyszła tu przypadkiem. Nie po to, by spotkać się ze mną.

– Eleno – mówi, zbliżając się i zatrzymując mnie w pół kroku.

Fakt, że zna moje imię, sprawia, że w moim mózgu natychmiast dochodzi do

zwarcia. Ostatni i jedyny raz, gdy się widziałyśmy, miał miejsce na progu mieszkania Leonarda i jestem pewna, że nawet się sobie nie przedstawiłyśmy.

– Możemy chwilę porozmawiać? – pyta, odrzucając papierosa.

Dotąd nawet się nie zorientowałam, że go paliła. Przyglądam się jej dokładniej. Jest wyższa ode mnie, ale tym, co sprawia, że wydaje się potężniejsza, i to do tego stopnia, że niemal się jej boję, są szerokie i kościste ramiona, które jeszcze podkreśla lekka bluzeczka. Zdaje mi się bardziej zmęczona życiem, niż gdy ją widziałam za pierwszym razem, wiele miesięcy temu. Ma zapadnięte policzki i głębokie, czarne cienie pod oczami, lecz nawet w letnim słońcu nie umniejsza to jej eterycznej urody. Na jej plecach – wiem to, choć w tej chwili nie mogę go zobaczyć – wciąż widnieje ten tatuaż.

Dwie splecione litery L. Lucrezia i Leonardo – wiecznotrwały znak ich związku.

– Nie wiem, o czym miałybyśmy rozmawiać – fukam, nie wiedząc do końca, jakie emocje powinnam odczuwać i jak reagować na jej obecność.

– O Leonardzie.

Gdy tylko wypowiada to imię – którego przez całe miesiące nie wymawiałam na głos, chyba że w snach – zapada między nami ciężka cisza. Ja i ta kobieta powinnyśmy być wrogami. Tak wynika z naszych ról: ona jest żoną, a ja kochanką. Nie rozumiem, w jaki sposób to, co nas dzieli, miałoby nas skłaniać do rozmowy.

– Wiem o was wszystko – mówi, wbijając we mnie wzrok. – Zrozumiałam natychmiast, tego dnia, gdy zadzwoniłaś do

naszych drzwi. A Leonardo wszystko później potwierdził.

Myśl, że byłam przedmiotem małżeńskich zwierzeń, wydaje mi się w tej chwili obrzydliwa. Przede wszystkim jednak jest cholernie bolesna. Chciałabym wiedzieć, co jej o mnie powiedział, jak skatalogował naszą relację, ale nie mam siły zapytać. Słowa więzną mi w gardle. Być może wspólnie postanowili wymazać mnie z pamięci, potraktować jako wypadek przy pracy, jeden z tych romansików, które dobiegłszy końca, tylko wzmacniają więź między mężem a żoną.

– Wybaczyłam mojemu mężowi to, co zrobił, gdy mnie nie było. Ale teraz sprawy mają się inaczej...

W jej oczach pojawia się złowieszczy błysk, a głos przybiera groźny ton.

– Nadal się widujecie? – bardziej stwierdza, niż pyta.

– Co takiego?! – ta insynuacja jest tak absurdalna, że wybucham histerycznym śmiechem. – Nie widziałam Leonarda od wielu miesięcy...

Przygląda mi się zza swoich gęstych rzęs – widać, że mi nie wierzy.

– Możesz zaprzeczać – mówi – podobnie jak Leonardo. Chcecie, żebym myślała, że już wszystko w porządku, ale ja widzę, że nie jest tak, jak wcześniej. On jest wciąż roztargniony, nieobecny. Myślam, że jest gdzie indziej...

– Tak czy tak, ta sprawa już mnie nie dotyczy. Od dawna. Powiedziałam ci już, że przestałam się z nim spotykać – przerywam jej ostro.

Teraz już się nie śmieję. Ta sytuacja zaczyna mi działać na nerwy.

– Masz zostawić go w spokoju. Chcę odbudować moje dawne życie, przy nim – ciągnie Lucrezia, nie przyjmując moich słów do wiadomości. – A ty... jesteś tylko obsesją, od której on musi się uwolnić.

Tego już za wiele. Nie mam siły jej dłużej wysłuchiwać. Ja cierpię katusze, straciwszy miłość mojego życia z jej powodu, a ta kobieta jeszcze mnie oskarża. Jestem obsesją jej męża i co jeszcze? Serce wali mi jak oszalałe, ale staram się opanować. Zdaję sobie sprawę, że Lucrezia jest niestabilna psychicznie – być może przeżywa fazę, w której straciła kontakt z rzeczywistością, a więc to na mnie, zdrowej na umyśle i zrównoważonej, spoczywa obowiązek przywrócenia tej rozmowie choć minimum racjonalności.

– Posłuchaj... – mówię bardzo spokojnie. – Jeśli w waszym związku coś nie

gra, z pewnością nie jest to moja wina. Porozmawiaj o tym ze swoim mężem, nie ze mną.

– Między nami wszystko gra, to ty jesteś problemem.

W jej oczach błyska duma oraz desperacja, która niemal mnie porusza. Mam przed sobą kobietę zakochaną – zakochaną i gotową na wszystko, by odzyskać swojego mężczyznę.

– Chciałam ci powiedzieć jeszcze jedno – kontynuuje. – Leonardo miał kobiet na pęczki, nie łudź się, że czymś się od nich różnisz... na koniec i tak się znudzi i wróci do mnie, jak zawsze.

To prawda, przekonałam się o tym na własnej skórze. Leonardo już do niej wrócił. Ja dostałam swoją nauczkę, to tylko ona nie przyjęła niczego do wiadomości.

– Świetnie – podsumowuję, przełykając gorzką pigułkę. – A więc we wszystkim się zgadzamy. Życie swoim życiem, a ja będę żyła swoim. Już dla was nie istnieję, zapomnijcie o mnie na zawsze.

Omijam ją, chcąc przejść na drugą stronę ulicy, ale ona mnie zatrzymuje.

– Czekaj! – syczy, a z oczu bije jej ślepa wściekłość. – Jeszcze z tobą nie skończyłam.

Jej chude palce wbijają się w moje ramię. Jest jak drapieżnik, który chce jeszcze pobawić się swoją ofiarą.

– Puszczaj! – krzyczę, doprowadzona do ostateczności, dając ujście całemu skumulowanemu gniewowi.

Gwałtownym ruchem wyrywam się z jej uścisku, ale źle obliczywszy siły, potykam się na chodniku. Stopa ląduje na brzegu krawężnika i nie znajduje oparcia. Upadam. Słyszę pisk hamulców

i okrzyk przerażenia – nie wiem, czy mój, czy Lucrezii. Samochód uderza wprost we mnie, a ja rejestruję jeszcze odgłos gnącej się blachy i rwący ból w nodze.

Potem dźwięki i głosy rozmywają się i zapada ciemność.

6

Nie wiem, gdzie jestem ani jak się tutaj znalazłam. Powieki ciężą mi nieznośnie, szczękę mam zdrętwiałą, a w ustach suchość. Z ogromnym wysiłkiem otwieram oczy. To najgorsza pobudka w moim życiu.

Z okna sączy się słabe światło. To może być późne popołudnie. Ale którego dnia? Mam wrażenie, że przespałam wiele miesięcy... Mam wrażenie, że utknęłam w jakiejś otchłani, pomiędzy snem a jawą. W głowie przewijają mi się poplątane wizje: ludzie, którzy wchodzą i wychodzą, szept, cienie, głos mojego

ojca, płacz mojej matki... a potem dominujący nad tym wszystkim zapach Leonarda, który w jakiś sposób wydostał się z więzienia dla wspomnień, dokąd go zesłałam, wyrzucając klucz. Może budzę się ze śpiączki, a może majaczą... Uświadamiam sobie, że ostatnią rzeczą, jaką pamiętam wyraźnie, jest stojąca przede mną Lucrezia, a potem samochód... Zostałam potrącona, oto co się wydarzyło! Teraz rozumiem, że jestem w szpitalu. Wszystko wokół jest takie białe i czyste... Ostry, antyseptyczny zapach rozwiewa wszelkie wątpliwości.

Próbuję się podnieść, ale ogarnia mnie obezwładniający zawrót głowy i pokonana opadam z powrotem na poduszkę.

– Elena...

Znam ten głos. Jest tak przyjemny i dodający otuchy... W moim polu widzenia pojawia się twarz Martina.

– *Ciao* – mamroczę niewyraźnie. To pewnie pierwszy wyraz, jaki wypowiadam od wielu dni. – Co się stało?

– Potrącił cię samochód. Przed twoim domem – mówi, głaszcząc mnie po czole.

– Dali ci coś na sen, żebyś odpoczywała... ale nie martw się, wszystko dobrze.

– Od jak dawna tu jestem?

– Prawie dwa dni. Spałaś niemal cały czas.

Poruszam się powoli na łóżku, odzyskując kontrolę nad ciałem. Zdaje mi się, że wszystkie jego części działają prawidłowo, poza lewą nogą. Unoszę nieco głowę i widzę, że jest cała zabandażowana.

– Masz skręconą kostkę, dwa zerwane wiązadła i trochę otarć. Nic poważnego – tłumaczy Martino, uśmiechając się delikatnie.

Przełykam ślinę. Język przykleja mi się do podniebienia.

– Pić... – mówię błagalnym głosem.

Martino układa mi poduszki za plecami i pomaga nieco się podnieść, po czym nalewa wody i podsuwa mi szklanę.

– Byłeś tu przez cały czas? – pytam i tym razem brzmię normalnie, jakby język odzyskał sprawność.

Martino potakuje.

– Lekarze do mnie zadzwonili. Sprawdzili ostatnie telefony wykonane z twojej komórki. Całe szczęście, że nie zadzwonili najpierw do twoich rodziców. Wiesz, jak się najadłem strachu?

– O rety, przykro mi.

– Cśśś... najważniejsze, że jesteś cała i zdrowa. Powiadomiłem wszystkich. Twoi rodzice przyjechali z Wenecji.

– Moi rodzice? A gdzie teraz są?

– U ciebie, Paola ich wpuściła. Zmieni-
aliśmy się przy tobie, prosili, żebym za-
dzwonił, jak tylko się przebudzisz.

Martino urywa i nagle jego twarz przy-
biera dziwny wyraz. Sprawia wrażenie,
jakby szukał słów, żeby coś mi przekazać.

– Ale... najpierw chciałyby się z tobą
zobaczyć pewna osoba.

– Jaka osoba?

– Jest na zewnątrz...

– Ale kto to taki?

– Poczekaj...

A mam jakiś wybór?

Patrzę, jak idzie do drzwi i znika na
korytarzu.

Po chwili w drzwiach ukazuje się
mężczyzna. Tę sylwetkę z charak-
terystyczną linią ramion i szeroką klatką
piersiową potrafiłabym nakreślić nawet
z zawiązanymi oczami.

Leonardo.

Podchodzi do mnie, a ja patrzę na niego jak na kosmitę. Obawiam się, że to tylko halucynacja, efekt uboczny środków usypiających. Zbliża się do łóżka i posyła mi uśmiech.

– Witaj z powrotem wśród żywych – mówi. – Czekałem na ciebie.

On na mnie czekał? Leonardo zawsze wkracza w moje życie, nie pytając o pozwolenie, i rozwała wizję rzeczywistości, którą z takim trudem budowałam.

Jego zapach, ta nieopisana mieszanka ambry i morza, wypełnia pokój, przytłumiając na chwilę aseptyczny zapach szpitala. A więc nie śniłam – on naprawdę tu był, gdy leżałam nieprzytomna.

– No, jak się masz? – pyta, jakbyśmy rozstali się poprzedniego wieczoru.

– Poturbowana, ale ocalałam i wciąż się trzymam... – mówię, myśląc nie tylko o wypadku, ale o całym minionym roku mojego życia.

Milion razy się zastanawiałam, jak bym się zachowała, gdybym go znowu spotkała, a teraz sama nie wiem, co powinnam czuć – być szczęśliwa czy wściekła? Mile połamana czy śmiertelnie obrażona? Zamiast tego wszystkiego czuję się po prostu fatalnie. Wyobrażam sobie, jak wyglądam – wychudzona, z brudnymi włosami, ubrana w tę absurdalną koszulkę. Z pewnością nie jest to przyjemny widok. Wiem – to ostatnia rzecz, o której powinnam myśleć w tej chwili. Ale z drugiej strony – może powinnam być wdzięczna, że te powierzchowne myśli odciągają mnie od znacznie poważniejszych trosk.

Odruchowo unoszę dłoń do włosów – dotykam posklejanej, bezkształtnej masy. Moje obawy były więc uzasadnione. Ale teraz jest już za późno.

Leonardo siada na krześle przy łóżku i pochyla się ku mnie, opierając łokcie na kolanach i łącząc dłonie jak do modlitwy.

– Tak mi przykro, Eleno...

– Czemu jest ci przykro?

– Ze względu na to, co się stało... czuję się w pewien sposób odpowiedzialny.

Jego czarne oczy stają się jeszcze ciemniejsze i bardziej przeszywające, a ja muszę oderwać od nich wzrok, by zaczerpnąć powietrza. Dosłownie zapierają mi dech w piersi. Mój umysł jest wciąż skołowany, ale powoli zaczyna funkcjonować. Złośliwy głos w głowie szepcze mi, że on przyszedł tu jedynie z litości, by mieć czyste sumienie.

– Nie miałeś z tym nic wspólnego. To był wypadek – odpowiadam sucho, wpatrując się w punkt na białej ścianie naprzeciwko mnie.

W żołądku kotłują mi się, jak kwaśna polewka, złość i litość wobec samej siebie.

– To Lucrezia powiedziała ci, co się wydarzyło? – pytam prosto z mostu, znajdując wreszcie odwagę, by spojrzeć mu w twarz.

– Nie, wczoraj rano zadzwonił do mnie Martino. Znalazł numer w twojej komórce. Wykasowałam go z pamięci, ale na szczęście były jeszcze SMS-y.

Nagle ogarnia mnie rozczulenie. Martino, choć został przeze mnie zraniony, odsunął na bok zazdrość i zadzwonił po Leonarda, by był przy mnie, gdy się obudzę. Potem się ewakuował, zostawiając nas samych. Zupełnie jak

romantyczny bohater z innej epoki, zasługujący bez wątpienia na damę swojej klasy. A zatem nie mnie.

– Gdy wczoraj powiedziałem Lucrezii, gdzie idę, nie miała odwagi powiedzieć prawdy. Dopiero kiedy wróciłem ze szpitala późnym wieczorem, opowiedziała mi, co się wydarzyło – wzdycha, sprawiając niemal wrażenie, jakby się usprawiedliwiał. – Ostatnimi czasy znów jest bardzo niestabilna. Wbiła sobie do głowy, że ją zdradzam.

– Zdążyłam zauważyć – przerywam mu, ale nie wiem, czy mój głos brzmi tak sarkastycznie, jak bym chciała.

Rozumiem, że ta kobieta przeżywa swój osobisty dramat, ale w tej chwili nie jestem w stanie jej wybaczyć. Tego nie może ode mnie wymagać.

– Rozstaliśmy się.

Leonardo wypowiada te słowa ot tak, bez żadnego wstępu, a ja muszę je przyswoić i jakoś się do nich ustosunkować. Ale ta chwila temu nie sprzyja. Patrzę na niego bez wyrazu, a on, rozumiejąc, że jest mi winien wyjaśnienia, kontynuuje.

– Po tym, co ci zrobiła, pokłóciliśmy się i ostatecznie ona się wyprowadziła.

– Ach – udaje mi się z siebie wydusić.

Nie jestem w stanie dodać nic więcej.

– Gdy do siebie wróciliśmy, było nam dobrze tylko przez krótki czas. Szybko zdaliśmy sobie sprawę, że nie jesteśmy już w stanie ze sobą żyć. Ona stała się obsesyjnie zazdrosna, w kółko mnie oskarżała, że nadal o tobie myślę. Mówiła, że coś mi zrobiłaś, rzuciłaś na mnie jakiś czar, bo nie byłem taki sam jak wcześniej – mówi, uśmiechając się smutno. – Odpowiadałem jej, że zwariowała i że to wszystko przez jej chorobliwą zazdrość...

ale tak naprawdę ona zrozumiała na długo przede mną. To ja zwariowałem.

Jego dłoń szuka teraz mojej, spoczywającej na prześcieradle. Dotyk jego skóry sprawia, że przechodzi mnie lekki dreszcz.

– Zawsze byłaś przy mnie, Eleno. Tylko ja zbyt późno zdałem sobie z tego sprawę.

Serce zaczyna mi walić w piersi jak szalone. *Wypuście mnie stąd* – woła. – *Tego już za wiele! Chcę stąd iść!*

– Cóż... teraz już za późno – odpowiadam z węzłem w gardle, przywołując w pamięci wszystkie powody, jakie mam, żeby nienawidzić tego mężczyzny i życzyć sobie, by zniknął z mojego życia.

Nie może jednym ruchem ręki zmazać całego bólu, który mi wyrządził.

– Eleno... – podejmuje Leonardo, ale w tej chwili otwierają się drzwi i do pokoju wchodzą moi rodzice.

Leonardo wypuszcza moją dłoń, wstaje z krzesła i odsuwa się na bok. Porusza mnie ich troska – bezwarunkowa, nieprosząca o nic w zamian. Jednocześnie próbuję przetrwać to, co się przed chwilą wydarzyło. Leonardo nigdy o mnie nie zapomniał. Jak powinnam się więc czuć? Szczęśliwa? Czy może jeszcze bardziej wściekła?

– Moja dziewczynka... lepiej się czujesz? – pochlipuje mama, ujmując w dłonie moją twarz. – Jesteś taka blada.

Czuję się dobrze, mamó. Tyle tylko, że przejechał po mnie samochód, a potem spadło na mnie spóźnione o rok wyznanie miłosne.

Zmuszam się do uśmiechu i staram się skupić na niej całą uwagę, ignorując fakt,

że nazwała mnie „swoją dziewczynką”, co w innych okolicznościach wyprowadziłoby mnie z równowagi. Mój ojciec stoi nieco na uboczu i rzuca ukradkowe spojrzenia w kierunku tajemniczego intruza. Może powinnam go przedstawić. Ale jak?

– To Leonardo, mój... przyjaciel.

Wydaje mi się, że takie określenie jest w gruncie rzeczy do przyjęcia. Swoją rolę odgrywa zresztą doskonale, posyłając im budzący zaufanie uśmiech. Jaki to dziwny widok – Elisabetta i Lorenzo Volpe ściskający dłoń Leonardowi Ferrante! Kto by się spodziewał, że kiedykolwiek ujrzę tego rodzaju obrazek? Leonardo zamienia z nimi parę zdań, po czym dyskretnie się wycofuje. Przed wyjściem posyła mi jednak ostatnie spojrzenie i uśmiech – to znak, że jeszcze wróci.

Wkrótce pojawiają się także Paola i Martino, a moje łóżko staje się ośrodkiem troskliwych, pełnych miłości zabiegów. Każdej kolejnej osobie, która przychodzi w odwiedziny, muszę opowiadać, jak doszło do wypadku (pomijam przy tym udział Lucrezii), odpowiedzieć na pytanie, jak się czuję, odmówić przyjęcia jedzenia, picia i przyjąć rozmaite inne uprzejmości. Gdy kończy się pora odwiedzin i mogę wreszcie z powrotem usnąć, czuję się, jakbym właśnie przebiegła ultramaraton, choć tak naprawdę nie ruszyłam się wcale z mojego łóżka.

Nazajutrz przychodzi mnie zbadać wysoki, zaszuszy lekarz o końskim obliczu. Najpierw kontroluje odruchy fizjologiczne, potem sprawdza, czy nie ucierpiała siatkówka oka, a następnie

przeprowadza przegląd otarć rozsianych po całym moim ciele – na rękach, ramiionach, a nawet na czole. Na koniec zajmuje się moją nogą. Kostka jest napuchnięta i w wielu miejscach zadrapana. Doktor przygląda się ranom, nakłada na nie lekarstwa, po czym owija nogę nowym bandażem.

– Kiedy będę mogła wstać? Prawda, że niedługo? – pytam go z niepokojem.

Siedzę tu raptem od dwóch dni, a już z trudem wytrzymuję. Czuję się, jakbym była nie w łóżku, a w klatce.

Doktor tłumaczy mi, że będę musiała nosić stabilizator i chodzić o kulach przez mniej więcej trzy tygodnie. Dodaje jednak, że byłoby lepiej, gdybym poruszała się przez ten czas jak najmniej.

No tak, wiedziałam. Odsiadka potrwa niemało.

– Proszę pamiętać, że miała pani dużo szczęścia. Wypadek mógł skończyć się dużo gorzej – to dziwny sposób dodawania otuchy, ale słucham go uważnie. – W każdym razie za dwa, najwyżej trzy dni będzie pani mogła wrócić do domu.

A to jest naprawdę dobra nowina.

Z nogą opakowaną jak salami nie jestem w stanie zrobić samodzielnie niemal niczego. Pojawia się więc kwestia, kto się mną zajmie. Moi rodzice uznają za oczywiste, że zabiorą mnie ze sobą do Wenecji, ale ja wciąż gram na zwłokę. Nie wyobrażam sobie nawet, jak mogłabym spędzić cały miesiąc wyłącznie w ich towarzystwie, unieruchomiona, bezbronna w obliczu szału kulinarnego mojej mamy i opowieści ze świata teatru mojego taty.

Miałam nadzieję, że będę mogła zostać w domu z Paolą, z dala od wszystkich ludzi i ich obsesji, ale ona jest teraz we Florencji. Kierownik prac restauracyjnych w Villi Medici, który chce mnie karać chyba nawet na odległość, wysłał ją w delegację. Ja natomiast z pewnością nie mogę mieszkać tam całkiem sama – nie byłabym nawet w stanie wejść po schodach.

Od Gai ani słowa. Nie odezwała się od dnia swojego ślubu i nie sędzę, by dowiedziała się o wypadku. Moja mama zauważyła, że nie ma jej przy mnie i że od jakiegoś czasu o niej nie wspominam. Przypomniałam jej więc, że Gaia jest za granicą, i dodałam, że rozmawiamy co jakiś czas przez telefon. Straszliwie mi jej brakuje, ale nie ulegnę pokusie zadzwonienia do niej. Nie wykorzystam wypadku, by wzbudzić w niej

współczucie. Mam jeszcze jakąś godność... chyba.

Dziś mój ostatni dzień w szpitalu i zaczynam martwić się nie na żarty – myśl o pobycie u rodziców w Wenecji mnie przeraża, ale to rozwiązanie staje się niepokojąco prawdopodobne. Już niemal wolałabym zostać tutaj z moimi osiemdziesięcioletnimi koleżankami z pokoju, które połamaly się, potykając o dywan w salonie, dogłędana przez troskliwe pielęgniarki i odurzona zapachem chloroformu, od którego chyba zaczynam się uzależniać.

– Pojedź dziś ze mną.

To słowa Leonarda. Nie wiem, czy dobrze zrozumiałam. Odwiedzał mnie codziennie od czasu, gdy się przebudziłam. Ale nie poruszyliśmy już tematu „tego, co wydarzyło się między nami”.

Patrzę na niego pytająco. Może się przesłyszałam?

– Wracam do Stromboli, mojej rodzinnej miejscowości – wyjaśnia. – Mam do załatwienia kilka spraw zawodowych, a poza tym dobrze zrobi mi tamtejsze powietrze. Chcę, żebyś ze mną pojechała, żebyśmy pobyli razem.

Tak, dobrze zrozumiałam. Staram się grać na czas. Jego propozycja wydaje mi się jednocześnie absurdalna i niesłychanie pociągająca.

– No, sama nie wiem... chodzi o to, że byłaby ze mnie bardziej kula u nogi niż towarzyszka podróży – uświadamiam mu.

– Nie aż tak ciężka, żebym nie dotoczył cię na Sycylię – odpowiada, patrząc na mnie, jakby oceniał wzrokiem moją wagę.

– Chyba nie mówisz serio.

A jednak tak. Siedzi na łóżku i wpatruje się we mnie tymi swoimi świdrującymi oczami, którym nie potrafię się oprzeć.

– Stromboli cię zachwyci, zobaczysz. To zresztą idealne miejsce na wypoczynek. A kiedy noga ci wydobrzeje, zdecydujesz sama, czy odejdziesz, czy ze mną zostaniesz.

– Słuchaj, nie masz obowiązku się mną zajmować. Nie chcę twojej litości – mówię w przyływie dumy.

Nie rozumiem, czemu składa mi tę propozycję, która z miejsca budzi we mnie podejrzenia. Ale on nie daje się sprowokować. Nic się nie zmienił, wciąż uważa, że tylko on ma prawo do prowokacji. Głaszcze mnie po czole, w miejscu, w którym mam gojącą się ranę.

– Eleno, chodzi o to, że ja tego pragnę. Kropka. Przyjemnie mi będzie побыć z tobą. Weź to chociaż pod uwagę.

Tak też czynię. Ważę jego propozycję w myślach przez całe popołudnie i wieczór, nie dochodząc jednak do żadnego wniosku. Wyjazd z Leonardem na wyspę Stromboli jest szalonym pomysłem, tak szalonym, że nieubłaganie mnie pociąga. Cały ostatni rok strawiłam na próbach zapomnienia o dawnym kochanku, a teraz racjonalna strona mojej osobowości spełnia swój obowiązek, przedstawiając długą listę obiekcji. Byłabym całkiem od niego zależna, przez co czułabym się niezręcznie. Jaki charakter miałyby nasza relacja, w jakiej roli mielibyśmy występować? Przyjaciół, którzy nawzajem się sobą opiekują? Kochanków? Krótko mówiąc – czego chce ode mnie Leonardo i co

oznaczałaby dla nas ta podróż? Do następnego ranka, do chwili wypisania ze szpitala, nie zdążyłam jeszcze podjąć decyzji.

Przyjechali po mnie rodzice i już po kilku minutach głowa zaczyna mnie boleć od odgrywania scen z cyklu „chora córeczka i troskliwi rodzice”. Jak się czuję? Czy na pewno zjadłam śniadanie? Czy nie zostawiłam niczego w szafce?

– Proszę – mówi mama, podając mi zawiniątko, z którego unosi się wspaniały aromat crostaty. – Upiekłam ją rano. Paola była tak uprzejma i pozwoliła mi skorzystać z kuchni.

– Dziękuję, mamó, ale już ci mówiłam: jadłam śniadanie. W szpitalu mają taki dziwny zwyczaj, że podają chorym posiłki.

– Nawet kawałeczka?

Wciąż do niej nie dociera.

– Nie, naprawdę. Ale dziękuję, że o mnie pomyślałaś.

– Malutkiego?

I właśnie w tej chwili podejmuję decyzję. Trzy tygodnie powrotu do dzieciństwa i bezustannej pieczy mogłyby mnie zabić. W najlepszym wypadku przytyłabym dwadzieścia kilo i nabawiła się rozstroju nerwowego. Teraz nie mam już wątpliwości, co powinnam zrobić.

– Posłuchajcie, muszę wam coś powiedzieć...

Oboje odwracają się do mnie i czekają, co powiem. Biorę głęboki wdech i staram się przemówić najmiłszym tonem, na jaki mnie stać.

– Nie wrócę z wami do Wenecji.

– Co?! – odpowiadają jednocześnie.

– Leonardo, ten przyjaciel, którego poznaliście, zaproponował, że zabierze

mnie na rekonwalescencję do siebie, na Stromboli, a ja mam zamiar przyjąć jego propozycję.

– Ale... jesteś pewna? A kto się będzie tobą opiekował? – pyta moja mama.

– To osoba godna zaufania? Od jak dawna go znasz? – wtóruje jej ojciec.

Na wszystkie ich pytania udzielałam najbardziej uspokajających odpowiedzi, na jakie mnie stać. Widać, że jest im przykro, pewnie cieszyli się na myśl o moim pobycie w ich domu, ale szanują moją decyzję i się nie przeciwstawiają. Zawsze byli nadopiekuńczy, ale za to nigdy niedyskretni.

I tak państwo Volpe pogodzili się z tym, że wrócą na Lagunę bez swojej córeczki. Przytulałam ich mocno i powtarzam, że sobie poradzę i nie powinni się o mnie martwić. Podjąwszy tę decyzję, czuję się dziwnie pogodna.

Po ich wyjeździe sięgam po leżącą na stoliku komórkę i wpisuję numer, którego od dawna nie używałam.

– Cześć, to ja... Twoja propozycja wciąż jest aktualna?

Świt rozplywa się powoli w niebieskim przestworze, ustępując przed blaskiem dnia. W górze niebo wciąż nasączone czerwienią, w dole morze przybierające intensywny odcień błękitu.

Wsiedliśmy na statek w Neapolu i płynęliśmy całą noc. Teraz stoimy na pokładzie w bladym świetle poranka, który wita nasze wciąż zaspane oczy. Przed nami, z każdą chwilą coraz bliższa, rysuje się wyspa Stromboli. Jej zew jest potężny, a ja już czuję, że nie będę w stanie mu się oprzeć.

Od wypadku minął tydzień, a ja nadal nie przyzwyczałam się do opatrunku, do tej nogi, którą wlokę za sobą bezwładną. Nadal co jakiś czas chwyta mnie silny ból, ale lekarze zapewnili, że za jakieś dwa tygodnie całkiem się wyliżę. Tymczasem uczę się chodzić o kulach, co okazało się zaskakująco trudne. To doświadczenie jest chyba gorsze niż kurs prawa jazdy – z każdym krokiem ryzykuję utratę równowagi i zderzenie z jakimś obiektem.

Ale nie jestem sama. Leonardo czuwa przy mnie, a jego silne, umięśnione ciało służy mi oparciem za każdym razem, gdy tego potrzebuję.

Wciąż nie rozumiem, co tak naprawdę pchnęło mnie, by z nim wyjechać. Wiem dobrze, że nie powinnam była usłuchać mężczyzny, który kiedyś złamał mi serce, że należało z całą stanowczością odrzucić

jego propozycję. To było szaleństwo, skok w próżnię wykonany w chwili słabości, gdy czułam się najbardziej bezbronna. Lepiej byłoby bronić przestrzeni, którą udało mi się dla siebie wywalczyć w ciągu ostatnich miesięcy. A jednak przeważyło pragnienie dowiedzenia się, co się wydarzy, jeśli... Jak zawsze, gdy na horyzoncie pojawia się Leonardo, moje własne decyzje zaczynają mnie zaskakiwać – życie niejako wymyka mi się z rąk, jakby kierowała nim jakaś przemożna siła.

Może te wspólne dni staną nam kością w gardle, a może zbudujemy nową równowagę. W tej chwili nie ma sensu się nad tym zastanawiać – muszę po prostu przeżyć tę przygodę do głębi. Dokonałam już wyboru, a świadomość, że nie pozostało mi nic do stracenia, sprawia, że czuję się lżej.

Teraz Leonardo siedzi przy mnie na ławce, trzyma dłoń na moim karku, przywracając bliskość, intymność, która nie zdążyła się zatrzeć.

Odkąd wyjechaliśmy z Rzymu, coraz bardziej skracamy, za pomocą gestów i słów, istniejący pomiędzy nami dystans. Z początku wynikało to z potrzeby, gdyż ze względu na niesprawną nogę często potrzebuję oparcia. Z czasem jednak kontakt stał się bardziej naturalny i spontaniczny, zupełnie jakby nasze ciała wciąż się pamiętały.

Podczas dzisiejszej podróży dużo rozmawialiśmy. Naszło mnie dziwne poczucie swobody i chęć do zwierzeń. Zaczynam przypuszczać, że między nami istnieje coś, co wykracza poza granice codzienności i zwykłej przyjaźni. Muszę to zaakceptować, pogodzić się z tym, że tak właśnie jest.

Leonardo chciał wiedzieć wszystko o minionym okresie, a ja opowiedziałam mu bez cenzury o ostatnich miesiącach pełnych szaleństw, całonocnych imprez i przelotnych kochanków. Zrobiłam to, by uświadomić mu, jak daleko się posunęłam w poszukiwaniu wolności. Musi wiedzieć, że kontynuowałam je i bez niego. W głębi duszy liczyłam też, że będzie zazdrosny. On jednak tylko spoglądał na mnie z półuśmiechem i nie powiedział nic. Pozostał nieprzenikniony.

Zdaję sobie sprawę, że zataiłam przed nim ważną część tej historii. Ale jak mam się przyznać, że ostatni orgazm przeżyłam z nim? I że wszystkie moje przygody były niczym więcej niż frustrującą w gruncie rzeczy rozrywką?

W końcu więc zmieniłam zręcznie (mam nadzieję) temat, pytając go

o pracę. Leonardo zdradził, że chce napisać książkę kucharską inspirowaną smakami ze swoich rodzinnych stron. Między innymi dlatego wraca na Stromboli. Chce odkryć na nowo aromaty dzieciństwa i poznać sekrety lokalnej tradycji kulinarnej. Naszła mnie ochota, by zapytać, czy Lucrezia wie, że jestem jego towarzyszką podróży. Porzuciłam jednak tę myśl.

Moją twarz muska lekka, orzeźwiająca bryza. Wspaniale czuć ją we włosach, wdychać zapach morza. Jestem gotowa wyryć w swojej pamięci kadry z wyspy Stromboli, jej uwodzicielskie kształty i oślepiające barwy. Dostrzegam już ciąg białych domków, które z tej perspektywy zdają się ułożonymi jeden obok drugiego klockami. Po chwili widzę też port i czarny piasek plaży. Nad wszystkim góruje On, ogromny stożek szarej ziemi,

który wygraża niebu, wypluwając w górę kłęby dymu.

Zwracam się ku Leonardowi, z oczami pełnymi zachwytu oraz wdzięczności, i pytam:

– On tak zawsze?

– *Iddu?* – uśmiecha się, wskazując go podbródkiem. – Tak nazywamy nasz wulkan – tłumaczy z zadowoleniem. – To on rządzi Stromboli, ale to łagodny olbrzym.

– Szczerze mówiąc, trochę się go boję.

Bije od niego ogromna, nieposkromiona siła, która sprawia, że człowiek czuje się całkiem mały i bezbronny. Leonardo dodaje mi otuchy, głaszcząc po głowie:

– Spójrz – wskazuje palcem niebo – zupełnie jakby się z nami witał. Ten cały dym to w jego języku „dzień dobry”. Robi tak mniej więcej co godzinę. Trochę

pokaśluje, przypominając nam, że tu jest: cichy, ale żywy.

– Może i tak... – mówię sceptycznym wciąż tonem i unoszę brwi.

Wcale mnie nie przekonał.

– Wierz mi, poznasz go i pokochasz.

Dopiero zaczyna się maj, ale popołudniowe powietrze pachnie latem i wakacjami. Wyspa wzywa mnie, wyciągając ramiona brzegów. Ale czy ja jestem gotowa na to przyjęcie? Co mam nadzieję tu odnaleźć? W ciągu ostatnich miesięcy stałam się inną Eleną – samodzielną, wyzwoloną z wszelkich więzów, gotową na wszystko, by nie czuć wewnątrz pustki. Ale muszę złożyć broń, jeśli chcę cieszyć się spędzonym tu czasem, muszę pogodzić się z tym, że mogę być od kogoś zależna. A tym kimś jest Leonardo.

Gdy schodzimy z pokładu, wszystkie te wątpliwości zdają się rozwiewać i ogarnia mnie głęboki spokój. Serce zwalnia rytm, a umysł staje się lżejszy. Tutejsze powietrze jest inne, delikatniejsze, pachnące kwiatami i kadzidłem. Odnoszę wrażenie, że pogrążam się w beczasowej przestrzeni, w której moje niepokoje i obawy nie znajdą żywej gleby, by kiełkować.

– Do domu nie mamy daleko – mówi Leonardo, jedną ręką ciągnąc za sobą moją walizkę na kółkach, a w drugiej trzymając swoją powycieraną torbę podróżną. – Ale przecież nie możemy iść na piechotę.

– Sugerujesz, że mam wsiąść do jednego z tych zabytków?

Przed nami stoją w szyku stare, różnobarwne trójkołowe piaggio ape.

– Tutaj nie ma samochodów – tłumaczy, rozkładając ręce z kpiącym uśmiechem, który uwidacznia zmarszczki mimiczne w kącikach jego oczu.

Tych oczu, w których tajemnicze światło tli się nawet, kiedy się śmieją.

– Niezły początek – odpowiadam nieco skwaszona, zastanawiając się, jak wdrapać się do trójkołowca, nie wywołując fali bólu.

– I tak masz szczęście. Do niedawna jeździło się tutaj tylko na osiołkach – uważa Leonardo.

Gdy układa walizkę i torbę na bagażniku, mięśnie jego ramion wyraźnie zarysowują się pod koszulką. Potem wręcza banknot naszemu kierowcy, niewysokiemu, chudemu mężczyźnie o skórze spalonej słońcem, który dziękuje, prezentując bezzębny uśmiech.

Na imię ma Giuseppe i zdaje się, że zna Leonarda, gdyż zamieniają parę słów w dialekcie sycylijskim, który w moich uszach brzmi zupełnie jak arabski.

Uporawszy się z bagażami, Leonardo zajmuje się mną. Unosząc mnie, jakbym była pakunkiem – niezwykle delikatnym pakunkiem – pomaga mi usadowić się z przodu pojazdu, na siedzisku wyłożonym miękką pianką.

– Do Piscità? – pyta Giuseppe, nim włączy silnik.

Nie jest źle, przynajmniej nazwę miejsca zrozumiałam.

– A gdzie indziej? Przecież dom się nie przeniósł, co? – odpowiada Leo, a mnie się zdaje, że jego akcent zmienił się nieco, dopasowując do miejscowej intonacji.

Giuseppe wciska gaz i pędzi labiryntem wąskich zaułków z niepokojącą

dezynwolturą. Podróż jego trójkołową apę przypomina przejażdżkę kolejką górską w wesołym miasteczku. Nie można powiedzieć, by działała kojąco na moją nieszczęsną nogę.

Miasteczko świeci pustkami. Teraz, przed sezonem, inwazja turystów jeszcze się nie rozpoczęła. Wszędzie panuje niesamowita cisza i wciąż towarzyszy mi upajający zapach powietrza. Do tego kwiaty hibiskusa, bugenwille, oleandry, drzewka cytrynowe, czarny piasek i białe domy, i ten delikatny wiatr, który dociera aż do serca... Chaos Rzymu i szeptanina Wenecji stają się rozmytymi wspomnieniami.

Gdy zbliżamy się do domu Leonarda, staje mi przed oczami bardzo wyraźny kadr z filmu *Stromboli, ziemia Boga*, dzieła Rosselliniego, w którym główną rolę grała Ingrid Bergman. Czuję się

teraz jak ona, Karin, uciekinierka i cudzoziemka przy boku mężczyzny, który urodził się na Stromboli. W jej wypadku jest to Antonio, zazdrosny i kontrolujący mąż, w moim zaś – Leonardo... W tym miejscu analogia się kończy. Bo kim właściwie jest teraz dla mnie Leonardo?

Nie ma pośpiechu ze znalezieniem odpowiedzi na to pytanie, Eleno – powtarzam sobie, zauważając jednocześnie, że chociaż minęło ponad pół wieku od nakręcenia filmu, tu wszystko wygląda tak samo.

Na rogu uliczki zegnamy się z naszym kierowcą. Następnie Leonardo prowadzi mnie do domu. Budynek jest bardzo stary i sprawia wrażenie, że stoi tu całą wieczność. Podobnie jak pozostałe budowle na wyspie jest cały biały, a drzwi i okiennice ma pomalowane na niebiesko.

Leonardo zatrzymuje się przy furtce i przygląda mu się w zadumie.

– Tutaj się urodziłem i wychowałem. Nic się nie zmieniło od czasu mojego wyjazdu.

– Kiedy byłeś tu po raz ostatni?

– Lata temu... ale tak naprawdę jakaś część mnie pozostała tu na zawsze, jakby była przykuta do tego miejsca.

Przesuwa dłonią po otaczającym posiadłość chropowatym murze. Można by odnieść wrażenie, że nawiązuje kontakt ze śpiącym zwierzęciem. Potem otwiera furtkę i przechodzimy przez ogród, gdzie pośród drzewek cytrynowych króluje stare drzewo granatu. Przystaję, by mu się przyjrzeć, podczas gdy Leonardo przenosi nasze bagaże przed schodki prowadzące do wejścia.

– Zajmiemy pokój na piętrze, w ten sposób zawsze będziesz mogła patrzeć na morze z tarasu – mówi.

Patrzę na strome kamienne schody i ogarnia mnie przerażenie.

– Fantastycznie! – wykrzykuję z sarkastycznym uśmiechem. – Ja i moja chora noga jesteśmy ci wdzięczne.

Leonardo, nie zaszczyciwszy mnie ani jednym słowem czy spojrzeniem, odbiera mi kule, opiera je o murek ogrodzenia i bierze mnie na ręce. W jego mocnych ramionach czuję się lekka jak mała dziewczynka. Już się przyzwyczaiałam, że nosi mnie w ten sposób. Chwytam się jego szyi i podziwiam zapierającą dech w piersiach panoramę, która ukazuje się coraz pełniej wraz z każdym pokonanym schodkiem.

Na górze Leonardo lekkim kopnięciem otwiera przymknięte drzwi. Zauważam, że na framudze wymalowane jest coś w rodzaju niebieskiego serca, ukoronowanego krzyżem – jakiś stylizowany liść? Zaciekawia mnie ten dziwny symbol, kojarzący się z czymś wzniosłym i pierwotnym jednocześnie.

– Piękne! Dlaczego właśnie serce?

On się uśmiecha.

– To nie serce. To kapar, symbol wyspy – tłumaczy, wnosząc mnie do środka. – Dziś wieczorem spróbujesz prawdziwych kaparów ze Stromboli. Założę się, że w życiu nie jadłaś równie dobrych.

Wchodzimy do obszernej, pachnącej przyprawami kuchni ze stojącym na środku stołem i nielicznymi starymi meblami, ciemnymi i solidnymi, ustawionymi wzdłuż białych ścian. Bez

wątpienia właśnie to jest serce domu. W rogu znajduje się poczerniały od ciągłego używania kominek. Czuję na skórze przyjemny chłodek – te grube mury z nieotynkowanego kamienia izolują i chronią przed światem zewnętrznym.

Leonardo sadza mnie na drewnianym krześle z siedziskiem wplecionym ze słomy.

– Pójdę po resztę rzeczy.

– Poczekam tu na ciebie.

Cóż, bez kul i tak nie udałoby mi się ruszyć ani na krok.

Rozglądam się z ciekawością dookoła. Oprócz kominka jest tu także stary piec opalany drewnem, zapewne wciąż jeszcze działający. Przede mną zaś taras, na zewnątrz ocieniony portykiem, z murowanymi, pomalowanymi na niebiesko ławami.

Po chwili Leonardo powraca z walizkami. Kilka kroków za nim podąża starsza kobieta – malutka i nieco zgarbiona, z siwymi włosami związanymi w kok.

– Nina – przedstawia mi ją Leonardo.

– To ona przygotowała dom na nasz przyjazd.

Kobieta podchodzi do mnie. Ma charakterystyczną twarz o małych, intensywnie niebieskich oczach, cienkie usta i czoło porane zmarszczkami. Z jej uszu zwisają dwa złote kółka, mocno naciągając ich płatki.

– Miło mi – ściska moją dłoń w swoich, twardych i pomarszczonych.

– Mnie także. Jestem Elena – odpowiadam, próbując podnieść się z krzesła.

Nie podparłam się jednak wystarczająco mocno i opadam z powrotem na siedzisko.

– Siedź, nie męcz się – mówi staruszka pełnym łagodności głosem.

– Nina była moją opiekunką – tłumaczy Leonardo. – Zajmowała się mną, gdy byłem mały.

– Ale się naganiałam za tym nicponiem – kobieta spogląda na niego oczami pełnymi matczynej miłości. – Żywe srebro, nie sposób go było okiełznać!

Uśmiecham się. Pod pewnymi względami wcale się nie zmienił.

– Pani mieszka od urodzenia na Stromboli? – pytam.

– Tak – odpowiada z zadowoleniem, jakby spędzenie całego życia na tej zagubionej wyspie było najnaturalniejszą rzeczą w świecie.

– A nie boi się pani wulkanu? – dopytuje się.

– *Iddu* jest jak bóg, robi to, co mu się podoba... ale tutejsi się go nie boją.

– Muszę się więc tego od nich nauczyć.

– Wystarczy, że nie będziesz o tym myśleć – dodaje mi otuchy, zawierając w jednym zdaniu mądrość i fatalizm miejscowych.

Potem zwraca się do Leonarda:

– Idę załatwić parę spraw. Wiesz, gdzie mnie szukać w razie potrzeby.

– Dziękuję, Nino – odpowiada, żegnając ją serdecznym pocałunkiem w policzek.

Po obiedzie i kilkugodzinnej sjeście wychodzimy na ogromny taras, żeby nacieszyć się widokiem nieba rozświetlonego nadciągającym zachodem słońca. Rząd białych kolumn

podtrzymuje pergolę okrytą przepięknymi kwiatami bugenwilli. Siadamy na jednej z ław i stąd obserwujemy morze, a lekki wiaterek pieści naszą skórę.

– Nina mieszka sama, kilka domów stąd. – Leonardo ruchem brody wskazuje zabudowania miasteczka.

– Jest naprawdę urocza – mówię. – Poważnie, to ona cię wychowała?

– Tak. – Uśmiecha się do swoich wspomnień. – Mój ojciec wyrabiał liny i sieci, które sprzedawał rybakom, a matka pracowała jako krawcowa. Zostawiali mnie z Niną na całe dni. Wędrowaliśmy razem po wyspie, zbierając kapary, albo całymi godzinami patrzyłem, jak ona gotuje. Mężczyźni z jej rodziny byli rybakami, jak zresztą większość tutejszej ludności, więc w ich domu zawsze były świeże ryby.

– Właśnie wtedy zaczęłeś się pasjonować kuchnią, prawda?

– Tak sędzę. Uwielbiałem obserwować Ninę. W moich oczach była kimś w rodzaju czarodziejki, a ja z całego serca chciałem zostać jej małym pomocnikiem, żeby nauczyć się wszystkich tajemnych sztuczek.

Wskazuje rosnące w ogrodzie poniżej drzewo granatu.

– Widzisz to drzewo? Gdy owocowało, moja matka zrywała granaty i zanosila Ninie, ona zaś robiła z nich wspaniałe likier, najlepszy, jaki w życiu piłem. Moi rodzice nie chcieli mi go dawać, bo byłem jeszcze dzieckiem, ale ona czasami po kryjomu pozwalała mi spróbować.

Słucham jego opowieści oczarowana. Leonardo nigdy nie opowiadał mi o sobie z taką swobodą. Zupełnie jakby nagle

zniknęła jakaś blokada. Chciałabym, żeby mówił tak bez końca.

– A gdzie są twoi rodzice? – pytam ostrożnie.

– Oboje zmarli w wyniku choroby – odpowiada, a jego twarz na chwilę ciemnieje. – Siedem lat temu, w niewielkim odstępnie czasu.

Na chwilę zapada między nami milczenie, po czym Leonardo wskazuje wznoszącą się nieopodal brzegu potężną skałę o bursztynowej barwie.

– Widzisz tę wysepkę? Nazywamy ją Strombolicchio.

Kurdupel Stromboli. Uśmiecham się, słysząc zabawną nazwę.

– Kiedyś to był wulkan – tłumaczy Leonardo. – Legenda głosi, że jest to korek zatykający Stromboli, wyrzucony w morze tysiące lat temu, podczas gwałtownej erupcji.

– Może dalibyście radę go wcisnąć z powrotem?

Leonardo się uśmiecha, kręcąc głową.

– A tam na górze jest latarnia morska?
– pytam, mrużąc oczy.

– Tak. Jeszcze w latach pięćdziesiątych pracował w niej latarnik. Teraz działa na energię słoneczną.

– Można tam wejść?

– Pewnie byś chciała, co? – pyta, posyłając mi porozumiewawcze spojrzenie.

– Jeszcze jak! – potwierdzam energicznie.

– Do latarni prowadzą wąskie kamienne schodki, od morza to ponad dwieście stopni – wyjaśnia, po czym zbliża swoją twarz do mojej, a ja czuję, jak żołądek ściska mi się jak węzeł. – Jeśli czujesz się na siłach...

– Liczyłam raczej na to, że ty wniesiesz mnie na rękach – prowokuję go z uśmiechem.

Przez chwilę patrzy mi głęboko w oczy.

– Zapomnij.

A potem, bez ostrzeżenia, otacza mnie swoimi silnymi ramionami i ciepłym oddechem. Już jestem przy jego klatce piersiowej, z jego dłońmi we włosach. Jeszcze nie byliśmy tak blisko. Uświadamiam sobie, że nic się nie zmieniło, że jest mi tu dobrze jak nigdzie indziej. Rozluźniam mięśnie i wdycham jego zapach, który tak uwielbiam. Leonardo łaskocze mój kark, muskając go palcami.

– Od chwili, gdy zobaczyłem cię w szpitalu, mam ochotę cię pocałować – szepcze mi na ucho. – A teraz zamierzam to zrobić, ostrzegam – ujmuję moją twarz w dłonie. – Jeśli masz coś przeciwko, możesz mi powiedzieć, ale nie

sądzę, by to mnie powstrzymało – mówi, zbliżając się do moich ust.

Jego wargi niemal niezauważalnie, jakby przez przypadek, dotykają moich. Nawet gdybym chciała mu się przeciwstawić, nie miałabym siły. Paraliżuje mnie pożądanie. Leonardo ujmuje w dłonie mój podbródek, jakbym była owocem do skosztowania. Zaczyna delikatnie podgryzać moje wargi, po czym uchyla usta, pozwalając mi posmakować swojego języka. Oddaje się i wycofuje w swoistym tańcu, który doprowadza mnie do szaleństwa. Wreszcie wdziera się do moich ust, zalewając mnie swoim ciepłym i wilgotnym smakiem. Obejmuję go i podążam za nim – językiem, ustami, zębami.

Całą sobą pragnęłam tego pocałunku, ale nie chciałam się do tego przyznać.

Leciutko odsuwa mnie od siebie, by spojrzeć mi w oczy, i przejeżdża palcem po moich wargach.

– Brakowało mi ciebie, Eleno. I to bardzo.

Potem całuje mnie w nos, w szyję i ramiona. Czuję jego brodę przy moim policzku, jego kolczyk przy mojej szyi, jego zapach w nozdrzach, jego gęste włosy przy mojej skórze. Wszystkie te uczucia są zarazem nowe i już oswojone – ta bliskość mnie rozbudza.

– Wejdźmy do środka.

Podaje mi ramię. A ja naprawdę nie jestem w stanie go odtrącić.

W tej chwili słońce muska powierzchnię wody, rozpalając niebo wszystkimi odcieniami czerwieni i różu. Gdy za naszymi plecami ostatni promień słońca ginie w morzu, my idziemy objęci,

małymi kroczkami, ku naszej pierwszej wspólnej nocy.

Leonardo poszedł wziąć prysznic, a ja czekam na niego na tym samym co wcześniej krześle. Sama nie mogę się kąpać, dopóki mam na sobie bandaż, muszę się więc gimnastykować, myjąc po kawałku. Nie mogę się doczekać, kiedy zrzucę z siebie przepocone ubrania i znajdę się w łóżku z Leonardem. Ta chwila oczekiwania sprawia, że wszystko staje się bardziej zmysłowe i ekscytujące.

O, słyszę, że w łazience przestała się lać woda. On pewnie właśnie wychodzi spod prysznic, przesuwa ręcznikiem po całym ciele, odciska wodę z brody i włosów. Potem przewiązuje się ręcznikiem w pasie. Być może przegląda się w lustrze z zadowolonym uśmiechem i spryskuje swoimi ulubionymi

perfumami o zapachu ambry. Potem wsuwa na nogi skórzane japonki i pogwizdując, przechodzi z nagim torsem przez korytarz.

Wciąż jeszcze nie chce mi się wierzyć, ale to naprawdę się dzieje. Słyszę jego kroki na posadzce. Leonardo staje na progu, jak grecki posąg z krwi i kości. Podchodzi do mnie i bez słowa bierze na rękę.

– Dokąd mnie niesiesz? – pytam.

– Do łazienki, teraz twoja kolej – odpowiada z pełną naturalnością.

– Poradzę sobie sama! – protestuję.

– Wiem, ale będzie ciekawiej, jeśli ja ci pomogę.

Sadza mnie na stołku i odkręca kran. Czekać, aż wanna się napełni, ściąga mi przez głowę bawełnianą sukienkę. Zostaję w samych figach i staniku. Trochę się wstydzę – moje ciało wydaje mi się

dziwne, nieproporcjonalne. Jedna noga jest grubsza od drugiej, a ja czuję się niepewnie i nieporadnie.

– Jesteś piękna, Eleno – szepcze Leonardo, pieszcząc mnie wzrokiem.

Całuje mnie w usta i zjeżdża dłońmi po moich plecach, by rozpiąć mi stanik. Potem chwyta mnie za pupę i powoli zsuwa mi figi. Sprawdza palcem temperaturę wody, po czym podnosi mnie i układa w wannie tak, że zabandażowana noga zwisa na zewnątrz. Gdy tylko się zanurzam, całe napięcie natychmiast się rozplywa.

Leonardo zakręca kran i zaczyna masować mi delikatnie szyję, klatkę piersiową i plecy naturalną gąbką skropioną pachnącą oliwką. Zamykam oczy i jedyne, co czuję, to jego dłonie na moim ciele – dłonie, które zajmują się mną.

Nie ma już bólu, nie ma udręki, a moje zaniedbane ciało zaczyna ożywać.

Pachnąca woda spływa lekko po mojej skórze. Gąbka prowadzona jego doświadczoną dłonią pieści piersi, zakreślając spirale wokół sutków, potem zsuwa się powoli ku podbrzuszu, wzdłuż nóg, aż wreszcie zaczyna znów się wspinać, ku mojej waginie. Leonardo muska mnie gąbką między nogami – ten dotyk jest miękki i delikatny, a jednak ma moc wzniecania ognia. Otwieram oczy i napotykam jego wzrok. Widzę, że na jego twarzy maluje się pożądanie – ma rozszerzone źrenice, drapieżne spojrzenie, a na ustach gości zmysłowy uśmiech. Wkłada mi gąbkę w dłoń i unosi ją ku piersiom, zachęcając do masażu, a sam przejeżdża palcami z powrotem między moje nogi. Pieści mnie i drażni, aż mój brzuch zalewa fala ciepła. Wówczas jego

zwinne palce wsuwają się we mnie, kręcąc kółka i elipsy. Tylko on potrafi wprowadzić mnie w taki stan.

Chwytam się dłońmi brzegów wanny, zniewolona tą przemożną rozkoszą, podczas gdy nasze spojrzenia pozostają połączone w podniecającym crescendo. Leonardo przygryza wargę, w jego oczach wyczytuję czyste pożądanie. Potem pochyła się ku mnie, całuje i pomaga wyjść z kąpieli.

Zawija mnie w ręcznik, niesie w ramiionach do sypialni i układa w łóżku. Obiema dłońmi obejmuję go w talii i zsuwając ręcznik coraz niżej, zaczynam zasypywać pocałunkami jego podbrzusze, gdzie skóra jest napięta i twarda. Potem zdecydowanym gestem ściągam z niego ręcznik, odkrywając jego erekcję. Zaczynam całować i lizać czubek jego penisa z tą samą naturalnością,

z jaką on pocałował mnie w usta przed chwilą, na tarasie. Mięśnie jego pośladków i nóg napinają się. Jest jak naelektryzowany. Wreszcie rozchyłam wargi i biorę go do ust, rozkoszując się jego cudownym smakiem. Zdaje mi się, że ma aromat dzikich kwiatów i morza. Moje usta przylegają do jego skóry, przesuwając się w przód i w tył. Język pieści żołądź, by następnie lizać jego penis na całej długości.

Leonardo wydaje gardłowy jęk, wygina plecy i wchodzi we mnie głęboko. Potem wysuwa męskość z moich ust.

Pomaga mi się położyć. Dopiero teraz zwracam uwagę na wiszące pod sufitem muszelki, które pobrzękują przy każdym podmuchu wiatru. Leonardo układa się przy mnie, całuje moje włosy, twarz i piersi. Jego broda łaskocze moją skórę i to przez chwilę rozprasza moje myśli.

Nie jestem pewna, czy będę potrafiła poczuć się swobodnie i odnaleźć w jego ramionach tak jak niegdyś. Ta myśl mnie przeraża, ale teraz nie ma miejsca na wątpliwości. Teraz są tylko jego usta na moich sutkach, zaciskają się mocno, jakby chciały wyssać z nich każdą kroplę pysznego nektaru. Potem Leonardo odszukuje pod moją lewą piersią pieprzyk w kształcie serca.

– Wciąż tu jest... – mówi, składając na nim lekki pocałunek.

I całuje mnie dalej, schodząc w dół, wzdłuż wyobrażonej linii, która prowadzi przez mój brzuch aż do łona. Układam się wygodniej, robiąc miejsce dla jego ust i języka, które natychmiast rozpalają moją krew, sprawiając, że rytm mojego serca przyspiesza, a ja robię się mokra od pożądania. Leonardo drży, jego ciało

wytwarza delikatną wibrację, która i mnie wprawia w przyjemny rezonans.

Potem znowu całuje mnie w usta. Smakuje mną, moją rozkoszą. Wsuwa się między moje nogi i zaplata je wokół swoich bioder. Czuję, jak jego łono muska moje.

– A teraz, Eleno, będę się z tobą kochał – szepcze. – Nie mogę nic na to poradzić – mówi, wchodząc we mnie powoli. – Pragnę cię. Cała reszta nie ma znaczenia.

Ogarnia mnie nieziemskie uczucie, które niemal już zdążyłam zapomnieć. Nasze ciała są do siebie idealnie dopasowane. On porusza się w przód i w tył, najpierw powoli, potem coraz szybciej. Panującą w pokoju ciszę przełamują nasze przyspieszone oddechy, zagłuszające wszystkie inne dźwięki – szum wiatru, śpiew morza,

pomrukiwania wulkanu i pobrząkiwanie wietrznych dzwoneczków pod sufitem.

Tak bardzo pragnęłam Leonarda w sobie, a jednak teraz zdaję sobie sprawę, że osiągnięcie orgazmu wcale nie przyjdzie mi tak lekko. Mój oddech przyspiesza, ciałem wstrząsają dreszcze, ale nie jestem w stanie odnaleźć tej głębokiej, beczasowej przyjemności.

– Zapomnij się. Zrób to dla mnie, Eleno. Nie myśl o niczym...

Próbuję, ale nie jestem w stanie. Jestem zablokowana, bezradna, uwięziona w ciele i w duszy. Nie mogę ich wprowadzić w wibracje, choć bardzo bym chciała. W moim sercu wciąż zalega ból, którego nigdy nie udało mi się pozbyć. Unieruchamia mnie bardziej niż ta chora noga, dusi moje zmysły i nie pozwala mi dojść.

Wszyscy ci kochankowie, wszystkie przygody na jedną noc nie dały mi nic poza umiejętnością udawania. Kapitulując, to właśnie postanawiam zrobić.

Udaję dla niego, dla jego przyjemności, by podarować mu to, czego sama nie mogę doznać.

Czuję, jak narasta w nim orgazm. Zaraz dojdzie. Jego ręce zaciskają się mocno na moich ramionach, a ruchy stają się coraz szybsze. Wykonuje jeszcze jedno mocne pchnięcie, po czym wychodzi szybko i z głuchym okrzykiem dochodzi na moje piersi. Opada ciężko przy moim boku.

Oddycham głęboko, jakbym chciała rozluźnić węzeł zaciśnięty wokół gardła. Nie mam siły powiedzieć ani słowa, a w głowie kołaczą mi się myśli. Może się udało, może się nie zorientował, może

robię to już na tyle dobrze, że zdołałam go przekonać, że doszłam wraz z nim.

Leonardo odwraca się ku mnie i patrzy tak, jakby spojrzeniem chciał dotrzeć w głąb mnie.

– Nie doszłaś – wyrokuje, jakby oznajmiał mi, jaki mam kolor oczu.

– Co ty opowiadasz...

– Eleno, ja znam twoje orgazmy – oświadcza, przesuwając palcem po moim policzku. – I ten nie był prawdziwy.

Nie robi mi wyrzutów, ale i tak to, co powiedział, wystarcza, bym oblała się rumieńcem. Leonardo nie jest taki jak inni. Powinnam była to przewidzieć. Przy nim nie można udawać.

– Może to po prostu zmęczenie – staram się bronić. – To pewnie wina podróży albo tego opatrunku, czuję się przez niego taka niezdarna...

Chciałabym kontynuować, znaleźć jeszcze inne usprawiedliwienia, by ukryć prawdę, zbyt trudną, żeby się do niej przyznać. Ale on mnie ucisza:

– Ćśśś... chodź do mnie – przyciąga mnie ku sobie i obraca tak, że siadam oparta plecami o jego klatkę piersiową. – Wszystko w porządku. Nic nie musisz mówić.

Z wdzięcznością pogrążam się w jego uścisku i zamykam oczy. Czuję, jak jego oddech muska mój kark, a ciepło jego ciała stapia się z moim. Trwam tak, w ciszy, a melodia wygrywana przez muszelki nad naszymi głowami kołysze mnie do snu.

Wcale nie wszystko jest w porządku. Szczerze mówiąc, nic nie jest w porządku. Poza tym uściskiem.

8

Stromboli to natura i barwy podstawowe. Gdybym tylko miała ze sobą swoje przybory, z miejsca zabrałabym się za odtwarzanie głębokiej czerni ziemi, świetlistego błękitu morza, nieskażonej bieli domów. Ta wyspa dokonała już swojego pierwszego cudu – sprawiła, że znów zapragnęłam malować, że poczułam nieodpartą chęć, by oddać się grze spojrzeń i dłoni, by brudzić ubranie i skórę temperą i poczuć zapach świeżej farby. Myślałam, że to pragnienie opuściło mnie na zawsze – ale teraz odżywa, silniejsze niż kiedykolwiek.

Jesteśmy tu już od tygodnia. Dzień po dniu uczę się wyspy: pomruków ziemi, zapachu kwiatów, absolutnej ciszy, braku światła elektrycznego na ulicach...To niepowtarzalne uczucie spacerować wieczorem w ciemności, ledwie rozświetlonej światłem księżycy i luną wulkanu. Stromboli to inny świat, który przyciąga mnie i stale zaskakuje, dokładnie tak jak Leonardo.

Właśnie czekam na niego na tarasie.

Słońce świeci wysoko na niebie, a powierzchnia morza wygląda jak połyskliwa tkanina ze złotych łusek. Jest bardzo ciepło, lecz przyjemnie, nie ma upału, który zapewne dokucza tu w sierpniu, a lekka bryza łaskocze moją skórę.

Dziś rano Leonardo wyszedł o świcie.

– Idę do rybaków do portu – szepnęła mi na ucho, kiedy jeszcze na wpół spałam.

Nie pamiętam, czy mnie pocałował, ale nawet jeśli to zrobił, to najwyżej w policzek. Teraz to już pewne – od naszej pierwszej, i ostatniej, nocy miłości Leonardo mnie unika. Następnego dnia, nie bez zakłopotania, przyznałam, że moje problemy z osiągnięciem orgazmu nie były jednorazowe, ale ciągną się już od jakiegoś czasu. On nie wydał się tym szczególnie zmartwiony. Pocałował mnie tylko w czoło i powiedział pocieszająco:

– Wszystko się ułoży, nie myśl o tym za dużo.

Potem zmienił temat.

Od tamtego czasu nie tylko nie uprawialiśmy już seksu, ale odnoszę wrażenie, że stałam się dla niego wręcz obojętna – jeśli już mnie dotyka, to w niemal braterski sposób – i wydaje się całkiem odporny na moje próby uwiedzenia go. Czy to możliwe, że nagle

przestałam mu się podobać? Że moja niemożność osiągnięcia rozkoszy gasi i jego pożądanie?

Nie miałam odwagi o to zapytać, muszę go najpierw trochę wybadać i zrozumieć, czy naprawdę już go nie pociągam, czy też to tylko jedna z jego bezlitosnych gier, w których ja, jak zawsze, jestem tylko pionkiem. Ta dziwna obojętność, która między nami zapanowała, przekształciła się w swego rodzaju cichy pojedynek, na który przyszedłam, mimo że nie do końca rozumiem jego sens.

Niestety, jedyna rzecz, której jestem pewna, to fakt, że ja ani trochę nie mam go dość. Z każdym dniem pragnę go coraz bardziej, a Leonardo wydaje się umyślnie mnie prowokować, chodząc po domu z nagim torsem, niczym Neptun w bermudach i japonkach, ze skórą

ozłoconą słońcem, ze zmierzwionymi włosami oraz brodą pachnącymi morzem i tymi swoimi oczami jak otchłań. Wyspa z całą mocą podkreśliła jego zmysłowość, a ja bez przerwy muszę tłumić przemożny instynkt, który każe mi go przytulić, dotknąć, wziąć. Gdyby chodziło o kogoś innego, już dawno bym to zrobiła: nauczyłam się być bardzo bezpośrednia w stosunku do mężczyzn, przejmować inicjatywę bez zbędnych rozmyślań i zadreczania się pytaniem, kto powinien zrobić pierwszy krok. Ale z nim to nie może być takie proste – nasz język uwodzenia jest dużo bardziej złożony – pełen zaszyfrowanych wiadomości i strategii do obmyślenia. Największym paradoksem jest fakt, że choć cieleśnie był w ostatnich dniach bardzo powściągliwy, jednocześnie okazywał mi więcej czułości niż kiedykolwiek.

Gotował mi najróżniejsze przysmaki ze składników, które rodzi tutejsza ziemia, i traktował mnie jak gościa honorowego. Wczoraj na przykład wrócił z jednego ze swoich kulinarnych obchodów wyspy z podarunkiem dla mnie. Nie spodziewałam się tego, Leonardo nie jest typem mężczyzny, który wraca do domu z prezentem. Otworzyłam woreczek z białej satyny, a w środku znalazłam wspaniałą srebrną bransoletkę na kostkę.

– To dzieło Alfia, tutejszego rzemieślnika. Znam go, odkąd byliśmy dziećmi – wyjaśnił z uśmiechem zadowolenia, zapinając mi biżuterię na lewej kostce.

W tamtej chwili poczułam, że bucha we mnie płomień. Potem pogładził mnie po łydce i pochylił się, by pocałować mnie w stopę. Rozpłynęłam się – rój ciepłych dreszczy przetoczył się wzdłuż moich nóg, rozpalając we mnie wilgotne

pożądanie, którego nie byłam w stanie opanować. Myślałam, że Leonardo posunie się dalej, że ten pocałunek będzie preludium do kolejnych pieszczot, a jednak nie – oderwał się ode mnie, zostawiając mnie niezaspokojoną i trochę zdezorientowaną. Dlaczego się bawi, torturując mnie w ten sposób?

Nie wiem, jak długo tak wytrzymam, zastanawiam się, zdejmując z suszarki ręcznik plażowy. Potem idę do kuchni i wyciskam sok z pomarańczy i cytryn. Świeżo zebrane cytrusy mają cudowny smak i choć dotychczas za nimi nie przepadałam, teraz nie potrafię się już bez nich obyć.

Niebawem wraca Leonardo, niosąc w ręku sieć, z której wystaje bezkształtna masa kolców i wodorostów.

– Jeżowce złowione dziś rano – oznajmia z zadowoleniem, kładąc zdobycz w zlewie.

Podchodzę bliżej i z zainteresowaniem przyglądam się zawartości.

– Świeżutki – ciągnie z dumą, mieszając w nalanej do zlewu wodzie. – Dostałem je od Gaetana.

– To ten twój przyjaciel? – pytam, wracając myślami do spotkania ze szpakowatym mężczyzną o włosach do ramion, siwej, kręconej brodzie i wielkich dłoniach, którymi zaplatał sieci rybackie.

– Ten sam – potakuje Leonardo z uśmiechem. – Gaetano to syn Niny, jest rybakiem od dziesiątego roku życia.

– Nie wyglądają szczególnie zachęcająco – zauważam, przyglądając się jeżowcom z pewną nieufnością. Mają rozmiary

piłki tenisowej i pokryte są gęstwiną groźnych kolców.

Spogląda na mnie zdziwiony:

– Nie próbowałaś nigdy jeżowców?

Nie wierzę!

Kręcę głową.

– Ale kiedyś jeden jeżowiec spróbował mnie. W Ligurii, miałam wtedy jakieś czternaście lat. Okropnie bolało.

Uśmiecha się.

– Dzisiejszy eksperyment z jeżowcami będzie znacznie przyjemniejszy.

Ta zapowiedź brzmi jak nieprzyzwoita propozycja. A może to tylko ja chcę ją tak odczytać.

– Nie mogę się doczekać – tylko tyle udaje mi się powiedzieć.

Czuję, jak jego dłoń przesuwa się po moich plecach, zjeżdża po jedwabnej sukience plażowej i zatrzymuje się tuż powyżej moich pośladków. Krew zaczyna

we mnie wrzeć. Boże, chcę go pocałować, natychmiast. A potem chcę zrobić jeszcze wiele więcej.

Jednak Leonardo odsuwa się i zabiera za obieranie pomarańczy.

– Bardzo ci pasuje ta bransoletka – mówi jak gdyby nigdy nic. – Ale powinnaś ją nosić na prawej nodze.

– Żartujesz sobie?

Moja prawa kostka wciąż jest opakowana w ten przeklęty stabilizator.

– Miałem na myśli: kiedy całkiem wyzdrowiejesz.

– A dlaczego na prawej?

– Bransoletka na prawej kostce to znak wierności wobec ukochanej osoby – objaśnia zaczepnym tonem.

Do czego zmierza? Unoszę brew.

– Chcesz mi coś powiedzieć?

– Myślałem, że to jasne: od teraz jesteś moja i kropka – odpowiada w pełni

naturalnie, wsuwając do ust kawałek pomarańczy.

Taki właśnie jest, nie powinno mnie to już dziwić – mówi o najważniejszych sprawach, które zmieniają wszystko, jakby chodziło o jakieś błahostki. Robi decydujący ruch zawsze z zaskoczenia, a ja za każdym razem pozostaję całkiem ogłuszona, starając się jednak nie dać tego po sobie poznać.

– A więc ty też jesteś mój i kropka – krzyżuję ręce, siląc się na ton równie nonszalancki.

Leonardo wykrzywia w uśmiechu swe pełne usta, wciąż żując pomarańczę. O Boże, tego już za wiele – nachodzi mnie nagła ochota, żeby je ugryźć. Nie wiem, czy oprę się pokusie. Przysuwam się bliżej, ale on znowu mi ucieka, odwracając się w stronę zlewu. Stoję jak

kretynka, gapiąc się na jego plecy i zastanawiając się, co powinnam zrobić.

Dość tego, nadeszła pora działania. Sięgam po sztuczkę z uwodzicielskiego arsenału – opieram się tyłem o stół, dłońmi chwytając jego brzegi.

– Poprawiłbyś mi zapięcie bransoletki? Ja nie dam rady... – mówię najbardziej zmysłowym tonem, na jaki mnie stać.

Leonardo odwraca się i podchodzi.

Muskając jego udo, podnoszę stopę, a on ujmuje ją w dłonie. Potem szybkim, precyzyjnym ruchem poprawia zapięcie bransoletki.

– Gotowe – mówi miękkim, pewnym tonem.

Uśmiecha się pod nosem czy mi się wydaje? Czuję na kostce jego oddech. No, czemu mnie nie pocałujesz? Chcę znowu poczuć na sobie twój język.

Leonardo spogląda na mnie wzrokiem pełnym obietnic, lecz zaraz potem puszcza moją stopę, odprowadziwszy ją łagodnym gestem na ziemię.

– Przejdźmy się po plaży – proponuje, przesuwając palcami po podbródku.

Rety, ten gest rozpała mnie niczym pochodnia. Czemu zamiast tego nie pójdziemy do pokoju się kochać? Ale żadnego z tych słów nie wypowiem na głos.

– Dobrze – mówię za to z wymuszonym uśmiechem. Biorę torbę i nie bez irytacji zakładam ją na ramię. – Chodźmy.

Spiaggia Lunga jest cudowna, chyba najpiękniejsza na całej wyspie – dywan czarnych, błyszczących kamyków na skraju przejrzystego, niebieskiego morza. Dziś rano nie ma tu prawie

nikogo oprócz grupki dzieci i siedzącej dyskretnie na uboczu pary nudystów.

Mogę już, choć z dużym trudem, poruszać się bez kul. Oczywiście, chodzę jak w zwolnionym tempie i co sto metrów muszę przystanąć, ale i tak zrobiłam znaczne postępy. Może to zasługa klimatu, energii, którą promieniuje to miejsce, a może Leonarda, w każdym razie mój stan poprawia się z każdym dniem.

Czarny piasek wydziela niesamowite ciepło, a zetknięcie z nagrzanymi słońcem kamykami niemal całkowicie uśmierza ból w nodze. Leonardo idzie zanurzyć się w wodzie. Popływawszy trochę, wraca i kładzie się obok mnie, zagadkowy i piękny niczym grecki bóg. Mokra skóra, potargane włosy, dłoń błędząca między ciemnymi kamieniami. Każdy z tych szczegółów wywołuje we mnie dreszcz.

– Jak idzie zbieranie materiałów do książki? – pytam nagle, głównie po to, by złagodzić ten stan seksualnego napięcia, który dręczy mnie od kilku dni.

– Dobrze! – uśmiecha się z zadowoleniem. – Rano na przystani spotkałem parę osób i między jedną pogawędką a drugą podkradłem nowy przepis: *pasta al fuoco* w wersji, której dotąd nie znałem.

– Dobrze się zapowiada – robię pauzę, wyobrażając sobie, jak przygotowuje to danie. – Wiesz, coś mi przyszło do głowy.

– Co takiego? – podnosi się nieco, zaciekawiony.

– Chciałabym namalować ilustracje do twoich przepisów – mówię z przekonaniem. – Może akwarelą. W każdym razie inaczej niż w zwykłych książkach kucharskich ze zdjęciami.

– Eleno, to jest świetny pomysł! – aż błyszcza mu oczy.

– Szkoda, że nie mogę zacząć od razu. Nie wzięłam ze sobą nic do malowania – robię smutną minę. – A tutaj nie ma sklepu, w którym sprzedawaliby farby?

– Nie sądzę – rozkłada rękę. – Obawiam się, że po to, co jest ci potrzebne, musielibyśmy jechać aż do Messyny – dodaje, jakby nad czymś się zastanawiając.

– Nieważne. Tymczasem mogę zrobić szkice ołówkiem, a w Rzymie pomyślę nad resztą.

– Jeśli wrócimy do Rzymu.

– Hm?

– Niejedna osoba, która tu przyjechała, już nie chciała wracać.

– Tak, oczywiście, Ingrid Bergman – odpowiadam w żartach. – Ale to był

tylko film, i to nakręcony w czterdziestym dziewiątym.

– Nie chciałabyś tak żyć już zawsze?

– Właściwie nie miałabym nic przeciwko – wzdycham i spoglądam przed siebie.

Nie brakuje mi tu niczego poza uczuciem, że znów mnie pragniesz.

Wieczorem, po cudownym popołudniu nad morzem wracamy do domu. Leonardo wkracza do kuchni, swego królestwa, by dać upust kipiącej w nim od rana fantazji.

– A więc jak się je te jeżowce? – pytam, nachylając się nad zlewem, żeby lepiej im się przyjrzeć.

– Chcę zrobić spaghetti, tak jak nauczyła mnie Nina – mówi Leonardo, przewiązując sobie czoło czarną lnianą chustą. – Makaron z jeżowcami od

zawsze był jej specjalnością. Dzisiaj w końcu udało mi się wybłagać u niej sekret tego przepisu. Wyobraź sobie, że podchodziłem ją od jakichś dziesięciu lat, a ona cały czas zasłaniała się tajemnicą. Przemówiła dopiero, kiedy powiedziałem jej, że chcę je ugotować dla ciebie. – Uśmiecha się z zadowoleniem. – Ale można jeść je też tak, na surowo.

Posyła mi zabójcze spojrzenie, potem gołą dłonią bierze jednego jeżowca i niezwykle delikatnie otwiera go do połowy, odsłaniając wzór w kształcie gwiazdy.

– Jest piękny w środku – zauważam, podziwiając pomarańczowe, promienście rozstawione ramiona.

Leonardo ujmuje go palcami przy jednym z brzegów.

– Spróbuj – zachęca, podsuwając mi jeżowca.

Serce zaczyna mi bić szybciej. Rozchylam usta, chwytam galaretkę zębami, a ona rozpływa mi się na języku. Nowy, mocny i słony smak uwodzi przez chwilę moje podniebienie.

– Pyszne – szepczę i mrużę oczy, czując, jak aromat jeżowca spływa mi łagodnie do gardła.

Zaraz potem nasze spojrzenia się krzyżują, uwalniając ładunek silnej, spotęgowanej oczekiwaniem energii. Smak jeżowca dociera do żołądka i ożywia gorące pragnienie, które pulsuje w moim brzuchu. Przysięgam sobie, że dziś w nocy ten mężczyzna znów będzie mój.

Leonardo zjada resztę jeżowca, potem za pomocą noża otwiera pozostałe i wylewa ich zawartość do miski. Robi to z taką lekkością, jakby przelewał w dłoniach jakąś magiczną ciecz. Pewnym

ruchem sięga po butelkę oliwy extra vergine i wylewa trochę na patelnię, rysując podwójną literę S. On nie gotuje, lecz maluje obrazy aromatów, które widzi w swojej głowie – jest malarzem, alchemikiem, mistrzem smaków. Im dłużej na niego patrzę, tym bardziej jestem urzeczona. Teraz zapala gaz i kiedy wstęga oliwy rozciąga się, tworząc koło, dorzuca ząbek czosnku, dwie całe papryczki peperoncino i kilka łyżek ikry jeżowców. Podlewa wszystko białym winem, a powietrze zabarwia się srebrzy-stoniebieskim płomieniem, który po chwili znika z sykiem.

– Wrzucisz spaghetti? – zachęca, wskazując stojący na palniku obok garnek z gotującą się wodą.

– OK – otwieram opakowanie, lecz zaraz pojawiają się wątpliwości. – Mam je przełamać? – pytam.

Jeśli dobrze pamiętam, tak robiła moja mama, ale nigdy nie wiadomo... gdy obok stoi światowej klasy szef kuchni, w każdej chwili może się okazać, że popełniamy elementarny błąd.

– Nie – odpowiada Leonardo, lecz nie tonem reprimendy. Nie daje mi odczuć, że prawdopodobnie chciałam popełnić świętokradztwo. Ściereczkę, którą miał w dłoni, przerzuca sobie przez ramię. – Weź porcję makaronu i postaw na środku garnka.

Robię tak, jak mi każe. On staje za mną, jego dłonie prowadzą mnie, jego męskość dotyka moich pośladków, a usta są tuż przy moim uchu.

– Teraz puść – szepcze.

Wykonuję polecenie. Spaghetti otwierają się jak kwiat, a gorąca woda wsysa je powoli.

– Świetnie – Leonardo dotyka ustami moich włosów, a ja się roztapiam, w środku ogarnia mnie ogień. Potem się odsuwa i nalewa wino do dwóch kieliszków. – Trochę malvasii?

– Och, dziękuję, szefie – podkreśliłam to słowo i trzepoczę rzęsami, świadomie go prowokując.

On przechyliła głowę i przygląda mi się.

– Czy ty przypadkiem nie próbujesz mnie uwieść?

– Tak, szefie – odpowiadam tonem pozbawionym emocji, jak robią jego asystenci, ale nie udaje mi się zachować powagi. – Przeszkadza ci to?

– No, nie wiem... – wzdycha, ukrywając uśmiech. – To oznacza, że muszę przygotować dla ciebie coś specjalnego.

Dreszcz podniecenia przebiega mi po plecach. Temperatura rośnie. Tym razem nie pozwolę ci wygrać, drogi szefie.

Uprzedzę twój ruch. Ja już mam coś dla ciebie. Odstawiam kieliszek na stół.

– Przepraszam, idę na chwilę do łazienki.

– Za parę minut będzie gotowe – woła za mną, spróbowałszy spaghetti.

– Oczywiście. Zaraz wracam. – To, co zamierzam zrobić, nie zajmie mi dużo czasu.

Małymi kroczkami, już bez kul, dochodzę do łazienki. Mój cień pada na płytki z niebieskiego granitu, a ja czuję, jak wyzwala się ta część mnie, która tak długo pozostała w ukryciu – kobieta świadoma, która nie musi o nic prosić. Nadeszła pora, by przedstawić ją Leonardowi. Jestem pewna, że okaże się wobec niej bezsilny. Opieram się dłońmi o umywalkę i spoglądam w lustro – moje oczy błyszczą, policzki płoną. To przewrotna gra, ale niesamowicie mi się podoba.

Biorę głęboki wdech, zdejmuję bieliznę i zostaję w samej sukience. Nie muszę się nawet dotykać, czuję, że jestem mokra z pożądania – nikt poza nim nie będzie w stanie ugasić tego pragnienia.

Potem wracam do kuchni, jakbym oddaliła się po prostu umyć ręce. Leonardo nakrywa do stołu na tarasie, ze świecami i rozsypanymi na obrusie kwiatami bugenwilli.

– Jak pięknie – zachwycam się, obejmując to wszystko spojrzeniem.

– A najlepsze dopiero przed nami.

Po chwili wyłania się z kuchni z dymiącym półmiskiem spaghetti w dłoni i uśmiechem zadowolenia na twarzy. Zdjął z czoła opaskę, ale biała ściereczka wciąż zwisa mu z ramienia, muskając jego kształtne mięśnie. Stawia na środku stołu talerz z ceramiki i nakłada mi porcję potrawy.

– Usiądź, Eleno.

Zajmuję miejsce naprzeciw niego i rozkładam na kolanach serwetkę.

– Dla mnie niedużo – zastrzegam. W tej chwili to nie na spaghetti mam ochotę.

On jednak stawia przede mną pełny talerz. Lekko się krzywię zrezygnowana.

– Ty chyba chcesz mojej śmierci z przedawkowania węglowodanów!

I z braku seksu...

– Zobaczysz, że będziesz chciała jeszcze – jego głos jest niski, zmysłowy.

Zdejmuje ściereczkę z ramienia i rzuca ją na ławkę. Potem siada, wpatrując się we mnie intensywnie i nalewa mi trochę wina. Roztapiam się pod wpływem jego gorącego spojrzenia. Instynktownie przykrywam uda serwetką. Nie chcę, żeby od razu zauważył, że pod spodem jestem naga.

– A więc? – pyta, kiedy próbuję pierwszy kęs. – Jak ci smakuje?

Przeżuwam powoli, koncentrując się na jedzeniu. Przełykam.

– Mam ci powiedzieć prawdę?

– Nie wolno kłamać, wiesz o tym.

– To jest... – przymykam oczy, wzdychając lekko – orgazm – szepczę, jakbym przed chwilą naprawdę go przeżyła.

Leonardo odchyła głowę do tyłu, wybuchając głośnym śmiechem. Uwielbiam sprawiać, że się śmieje.

– Kapary to specjalny patent Niny – wyjaśnia.

Wybiera jeden z talerza, zbliża go do moich ust i wsuwa mi go między wargi. Moje policzki przybrały teraz pewnie barwę ognistoczerwoną.

Smakuję dojrzałego kapara, wiercąc się na krześle. Chciałabym, żeby

Leonardo mnie dotknął, pragnę go do szaleństwa i nie mogę już wytrzymać...

Ale on z obojętną miną pochyła się znów nad talerzem i nawija na widelec kolejną porcję spaghetti. Uznaję, że nad-szedł czas, by wziąć sprawy w swoje ręce. Staram się skoncentrować, po czym wystudiowanym ruchem upuszczam na ziemię serwetkę tak, że spada u jego stóp.

Odsuwam się od stołu, żeby po nią sięgnąć, ale on mnie uprzedza.

– Ja to zrobię – mówi.

Świetnie. Dał się złapać. Szybko podciągam sukienkę na udach, po czym rozchyłam lekko nogi. Zaczynam się pocić i czuję, jak moja wilgotna wagina pulsuje.

Leonardo podnosi się z nieodgadnioną miną.

– Proszę – uprzejmym gestem podaje mi serwetkę.

Jest zaskoczony? Podniecony? Rozbawiony? Nie jestem w stanie ocenić.

Wraca do jedzenia.

– A więc postanowiłaś mnie sprowokować – stwierdza po chwili, jakby mówił do siebie.

– Tak, i nie mam zamiaru na tym poprzestać – odpowiadam zuchwale.

Pod stołem sięgam stopą do jego nogi. Potem przejeżdżam wyżej, wsuwając ją między jego uda. Jego męskość jest twarda, czuję ją przez materiał spodni. Upijam kolejny łyk wina, po czym oblizuję górną wargę.

Nasze spojrzenia się spotykają, jakby rzucały sobie wyzwanie. Słyszę, jak głośno łapie powietrze. Potem zamyka oczy, a gdy znów je otwiera, jego źrenice są rozszerzone. Dobrze, jednak nie jest

taki niewzruszony...Rozkoszuję się wrażeniem, jakie na nim wywieram, i w odpowiedzi moje podniecenie również rośnie. Pragnę tego mężczyzny i zaraz będę go mieć... Ale nagle on chwyta moją stopę i odsuwa ją od siebie.

– Wystarczy, Eleno – napomina mnie, a na jego twarzy obok groźby maluje się żądza. Nie widziałam go nigdy patrzącego w ten sposób.

– Chcę się z tobą kochać – wykładam karty na stół.

– Ja też.

– Więc dlaczego całymi dniami mnie unikasz?

– Bo nie chcę być jedynym, który osiągnie rozkosz.

– Co? – podskakuję na krześle i otwieram szeroko oczy. – Nie chcesz mnie, bo nie mam orgazmu? – wyrzucam z siebie jednym tchem.

– Eleno, chcę sprawić, żebyś znów odczuwała przyjemność.

– Ach tak? I z tego powodu zmuszasz mnie do abstynencji? – zauważam sceptycznie.

– Dokładnie – potwierdza z przekonaniem. – Sama mi powiedziałaś, że w ostatnim czasie przedawkowałaś seks. Wydaje mi się, że twoje ciało musi dojść do siebie.

Spuszczam wzrok. Mam ochotę zatkać sobie uszy. Nie znoszę, kiedy ma rację.

Kontynuuję głosem coraz miększym, łagodniejszym:

– Szukając seksu jak opętana, nie sprawisz, że znów będziesz czuć rozkosz.

– Domyślam się, że doktor Ferrante ma dla mnie właściwą kurację – odpowiadam z sarkazmem.

– Nie ma żadnej kuracji. To po prostu próba.

– Mnie się wydaje, że to głupia kara. Chcesz mnie ukarać jak małą dziewczynkę.

– Nie uznałbym tego za karę, ale za wyzwolenie. Ciągłe zaspokajanie apetytu to nie to samo co odczuwanie przyjemności. Czasem, by dotrzeć do rozkoszy, musimy przejść przez okres wyrzeczeń, a nawet bólu.

Potrzeba zaufania mu walczy we mnie z chęcią buntu. W głębi serca mam szczerą nadzieję, że Leonardo potrafi mnie wyleczyć, ale odsłonięcie tej niezwykle wrażliwej strony duszy sprawia, że czuję się upokorzona i sfrustrowana.

– To całkowicie w twoim stylu: o wszystkim zdecydowałeś sam, tak jakby moje zdanie nie znaczyło zupełnie nic – mówię w końcu, krzyżując ramiona.

– Może troszkę grałem, czasem cię podpuszczałem, to wszystko... Wiesz, że lubię cię prowokować – próbuje złagodzić ton jednym ze swoich diabolicznych uśmiechów.

Potem podchodzi do mnie i muska palcem mój policzek.

– Mnie też nie jest łatwo się tobie oprzeć, wiesz? – przygryza wargę, przeszywając mnie wzrokiem.

– A jeśli powiedziałabym, że wcale się na to nie zgadzam? – prostuję plecy, robiąc wojowniczą minę.

– Świetnie – a probuje, rozkładając ręce. – Przyjmuję wyzwanie.

Przez kilka chwil przypatruję mu się zbita z tropu, po czym zdaję sobie sprawę, że nie mam zbyt wielu możliwości: jeśli on nie chce, nie mogę go zmusić, żebyśmy się kochali.

– Uważaj, chyba mnie nie doceniasz! – grożę, choć bardziej gram na zwłokę. – Teraz nie jestem przygotowana, ale zobaczysz...

W rzeczywistości powietrze uchodzi ze mnie jak ze źle przygotowanego sufletu. Wzdycham zrezygnowana.

– Dobrze, powiedz mi chociaż, jak długo będą trwały te tortury.

– Kto to może wiedzieć? Zobaczymy. Tak naprawdę to zależy tylko od ciebie.

– Mogę się przynajmniej do ciebie przytulić? – pytam ze zrozpaczoną miną.

Gdy jestem u szczytu rozpacz, ujawnia się moja żyłka do komedii. On się śmieje, przyciskając mnie do siebie i kołysząc w swoich silnych ramionach. Oddycham głęboko jego zapachem i cieszę się dotykiem jego ciała. W milczeniu czekałam na niego cały rok, a teraz, kiedy stoi przede mną, nie mogę

go mieć. Nienawidzę go, ale go Kocham. Niestety, muszę to przyznać, nigdy nie przestałam.

Nachyla się nad moim uchem, odgarnia mi włosy i szepcze:

– Teraz czujesz się lepiej?

– Rzecz w tym, że tak bardzo cię pragnę – odpowiadam, przyciskając czoło do jego ramienia.

– Ja też cię pragnę, ale zaczekam tak długo, jak trzeba – unosi moją głowę i całuje mnie delikatnie. – Zanim cię spotkałem, cały czas walczyłem z samym sobą. Myślałem, że mogę wydrzeć życiu wszystko, co się da: niekończącą się przyjemność, satysfakcję z bycia najlepszym w swoim fachu, każdą chwilę szczęścia. Ale potem zjawiłaś się ty i zrozumiałem, że czasem można też otrzymać dar.

Czuję się rozbita i odrodzona niemal w tej samej chwili, niczym w wyniku jakiejś alchemicznej przemiany. Poddaję się jego ramionom, jego pachnącej skórze, ale tym razem wiem, że nie przegrałam.

Księżyc uśmiecha się do nas, jego lśniący profil odbija się w morzu, a latarnia na Strombolicchio odpowiada, rozbłyskując białym światłem.

Leonardo i ja należymy do tej wyspy.

9

Jak co dzień, odkąd przyjechaliśmy, Leonardo wyszedł z domu wcześniej rano na poszukiwanie kulinarnych sekretów. Z liczby wypełnionych notatkami kartek, które rozkłada po całym domu, wnioskuję, że jego książka kucharska powoli nabiera kształtów. Z maniakalną dokładnością zapisuje wszystko, czego się dowiaduje: o jakości składników, sposobach przyrządzania, prezentacji dania na talerzu, a całość nafaszerowana jest specjalistycznymi terminami, których znaczenia mogę się jedynie domyślać, na przykład: klarowanie,

garniowanie, blanszowanie albo *court bouillon* czy *canapé*. Czasem zerkam na Leonarda, kiedy pisze, a on śmieje się z mojej ciekawości i pytającego wyrazu twarzy. To prawda, nigdy nie miałam pojęcia o gotowaniu – i może nawet nigdy mnie ono nie interesowało – ale teraz postanowiłam nauczyć się kulinarnego abecadła. Nie mogę ilustrować jego przepisów, nie mając choćby mglistego pojęcia o tym, jak te dania powstają.

Mój zapal przynosi rezultaty – udało mi się już wykonać szkice ołówkiem dwóch potraw: spaghetti z jeżowcami oraz zupy rybnej, którą tutaj nazywają *gnotta*. Wyszły nieźle – biorąc pod uwagę, że to pierwsze ilustracje, jestem z nich zadowolona, a przecież zawsze wymagam od siebie perfekcji. Oczywiście, byłoby zupełnie inaczej, gdybym miała akwarele, ale życie na tej wyspie

daje mi wspaniałą lekcję – nie można mieć wszystkiego, czego się zachce, trzeba czekać. Oczekiwanie nie jest jednak czasem straconym, ale cenną okazją, by przygotować się na to, co ma nadejść. Zrozumiałam, że tutaj, na Stromboli, nic nie spada człowiekowi z nieba, a każda rzecz, sprowadzona do samej esencji, wymaga oczekiwania: płody ziemi, statki przywożące z kontynentu towary i ludzi, wybuchy wulkanu.

A teraz jest też ktoś, kto czeka na mnie – Leonardo. W tym zaklętym miejscu, tylko tutaj, możemy zespolić się całkowicie. Ale jak, jeśli on wciąż będzie trzymał mnie na dystans?

To pytanie dręczy mnie bez przerwy i nie daje mi spokoju nawet teraz, kiedy jem śniadanie na tarasie. Od wieczora, w którym Leonardo wygłosił mowę na temat abstynencji, utrzymuje się między

nami milczące porozumienie – pożądamy siebie nawzajem, ale opieramy się swoim pragnieniom. Problem polega na tym, że im dłużej się opieramy, tym mocniej siebie pragniemy. Badamy granice naszego pożądania, rozciągamy w nieskończoność strunę, która prędzej czy później pęknie. Pozostaje tylko pytanie, kiedy i gdzie.

Upijam łyk świeżego soku i nadgryzam jeden z moich ukochanych *nacatuli*, superkalorycznych ciasteczek z Wysp Eolskich, z nadzieniem z migdałów, skórki pomarańczowej i cynamonu. Są tak pyszne, że mogłabym je jeść kilogramami.

– Czy można? – od strony wejścia dobiega miękki, kobiecy głos.

Leonardo zostawia zawsze drzwi otwarte, nigdy nie zamyka ich na klucz

nawet w nocy – pozostali mieszkańcy wyspy robią zresztą tak samo.

Odwracam się niespiesznie, w tempie, które weszło mi już w krew, i dostrzegam stojącą w salonie Ninę. W jednej ręce trzyma wiklinowy kosz wypełniony czystymi ręcznikami, a w drugiej – butelkę z tajemniczą zawartością.

– Dzień dobry – witam ją ciepło.

Ta cudowna kobieta ujmuje mnie od samego początku.

– *Ciao*, Elena – uśmiecha się i stawia kosz na podłodze. – Proszę bardzo, świeżo uprane.

– Dziękuję, ale nie musiała pani robić sobie kłopotu.

Odkąd przyjechaliśmy, Nina nie przestaje nas rozpieszczać. Jej uprzejmość niemal wprawia mnie w zakłopotanie.

– Nie martw się, robię to z przyjemnością, naprawdę – zapewnia, a jej błękitne oczy błyszczą żywym światłem.
– Przyniosłam też to – stawia butelkę na stole. – Koniecznie musisz spróbować.

– Co to jest? – pytam.

– Likier z granatu.

– Wspaniale – uśmiecham się i moje oczy też się śmieją. – A więc to jest ten słynny likier, który tylko pani potrafi robić? Ten, na który przepis jest tajemnicą? Leonardo mówił o nim jak o rarytasie, jakimś rzadkim eliksirze...

– Leo jak zawsze przesadza – kręci głową rozbawiona.

Rozczuła mnie, że tak go nazywa. Kiedy o nim wspomina, twarz jej się rozpromienia.

– Nie sądzę, żeby przesadzał – odpowiadam z przekonaniem. – Któregoś wieczoru ugotował makaron

z jeżowcami według pani przepisu. Był znakomity!

– Dziękuję, kochana – uśmiecha się szeroko. – Ale on już dawno prześcignął mnie jako kucharz.

– Zwierzył mi się jednak, że gdyby nie pani, nie zostałby słynnym szefem kuchni. Dużo mi opowiadał o czasach, kiedy był dzieckiem, i o tym, jak ważną osobą była pani dla niego.

Nina wzdycha i kręci głową, jakby podążała za inną, własną myślą.

– Nie wyobrażasz sobie nawet, jakie to szczęście mieć go znowu tutaj. Nie wracał całymi latami, a ostatnim razem był ciągle posepny, zmartwiony.

Spogląda mi prosto w oczy.

– Powiem ci coś w tajemnicy – kładzie mi rękę na ramieniu i, nie dając mi nawet chwili na odpowiedź, ciągnie dalej. – Mnie Lucrezia ani trochę się nie

podobała. Biedaczka, miała w sobie diabła – wznosi oczy ku niebu z wyrazem bezradności. – Leonardo bardzo ją kochał, ale nie byli razem szczęśliwi, co to, to nie – szorstką dłonią dotyka lekko mojego policzka. – Ty za to jesteś taka delikatna... Przy tobie jest spokojny, szczęśliwy, jak wtedy, gdy był małym chłopcem.

Uśmiecham się, zachwycona i zakłopotana, pragnąc z całej siły, by jej słowa były prawdą.

– Ale pozwól, że dam ci jedną radę – mówi dalej Nina, a jej twarz przyjmuje naraz przenikliwy, poważny wyraz. – Nie daj się zwieść pozorom. On robi to, co mu się podoba, jest kapryśny i władczy, ale tak naprawdę, w głębi serca, nie chce, żeby iść zawsze za nim, nie zależy mu na kimś, kim będzie mógł manipulować tak, jak mu się podoba. Żeby utrzymać go

przy sobie, musisz mu pokazać, że masz osobowość, że potrafisz dokonać wyboru i bez niego!

Ta chwila kobiecej solidarności sprawia, że nagle czuję się jak w domu. Chłonę dosłownie każde słowo Niny.

– Leonardo zawsze był taki, od dziecka – mówi dalej. – Za wszelką cenę musi dostać to, czego chce, jest uparty jak osioł, ale ponad wszystko uwielbia niespodzianki. Doskonale wie, czego sam pragnie, ale naprawdę można go zdobyć tylko tym, czego się nie spodziewa.

Nie wiem, co powiedzieć. Ninie udało się nakreślić portret Leonarda z celnością i precyzją, jakiej ja nie byłam w stanie osiągnąć przez całe przecierpiane z jego powodu miesiące.

– Dziękuję za radę – mówię, a w mojej głowie nabiera kształtów nowy pomysł.

Oto co muszę zrobić – jedyny sposób, by wygrać w grze Leonarda, to nie stosować się do jego reguł.

Nina zbiera się do wyjścia. Spogląda przez moment na moją nogę. Akurat nie mam na niej stabilizatora.

– Widzę, że jest znacznie lepiej – zauważa z radością.

– Tak, nareszcie – wzdycham z ulgą. – Dziś już ostatni dzień muszę nosić ten opatrunek... tak powiedział doktor Crisafulli.

– Ach, doktor Crisafulli jest wspaniały! – zapewnia. – Przygotowuje lekarstwa z ziół, które rosną na wyspie. Jesteś w dobrych rękach.

Potem żegna się i wychodzi, a ja zostaję sama i oddaję się rozmyśleniom. Wiedza, którą podzieliła się ze mną Nina, jest bardzo cenna i teraz muszę tylko wymyślić, jak zastosować ją w praktyce.

Wieczorem nie mogę się doczekać powrotu Leonarda – to on ma mi zdjąć opatrunek. Doktor Crisafulli wyjaśnił mi, jak to zrobić, i podpowiedział także, by uciął kilka liści z aloesu, który rośnie w ogrodzie, i z jego miąższu zrobił chłodny okład. Zalecił mi także nie przeciążać mięśni przez jeszcze co najmniej tydzień, ale to nic – jestem naprawdę w siódmym niebie, że uwolnię się od tego ciała obcego, które ciągam za sobą od tylu dni. A przede wszystkim po raz pierwszy wykąpię się w tym morzu, któremu nie sposób się oprzeć.

Ślepo ufam dłoniom Leonarda, dużo bardziej niż jego sercu i głowie...

Siadam w kuchni na drewnianym krześle. On klęka przede mną, a jego skupione spojrzenie dodaje mi otuchy. Zaczyna odwijać bandaż, zaczynając od kolana, i schodzi powoli aż do kostki,

kilka razy muskając mnie grzbietem dłoni. Ten delikatny dotyk, niemal laskotanie, budzi moją skórę z odrętwienia.

– Nareszcie wolna! – obwieszcza Leonardo.

Odkłada bandaż na ziemię i oburącz zaczyna masować mi łydkę.

– Niesamowite uczucie! – wołam z radością.

I nie wiem, czy bardziej cieszy mnie zrzućcie tych okowów, czy fakt, że po tak długim czasie Leonardo w końcu mnie dotyka.

Patrzemy na siebie w milczeniu, a on wykonuje swój cudowny masaż. Fakt, że moja noga nie jest w najlepszym stanie (mięsień jest zwiotczały, a efekty ostatniej depilacji niemal niewidoczne) o dziwo ani trochę mnie nie krępuje. Czuję, jak krew zaczyna na nowo krążyć, a ciało

oddychać. Leonardo bierze do ręki liść aloesu rozmiarów befsztyku, nacina go nożem i wyciąga kawałek galaretowatej, bladozielonej substancji.

– Jesteś pewny, że to coś pomoże? – pytam z grymasem obrzydzenia.

– Śmiesz nie dowierzać doktorowi Ferrante?! – upomina mnie. – Moja mama zawsze mi to przykładała, kiedy wracałem do domu ze zdartymi kolanami... czyli w zasadzie codziennie. Można powiedzieć, że byłem dość niespokojnym dzieckiem.

Uśmiecham się, wyobrażając go sobie jako małego chłopca ganiającego bosą po kamiennych uliczkach wyspy. Istny wulkan.

Leonardo kładzie aloes na moim kolanie, a potem czeka, aż galaretka nieskończenie powoli zsunie się w dół. Czuję przyjemny chłód, który przenika

wprost do mojego brzucha. Chłód niemal erotyczny, rozprzestrzeniający się po każdym centymetrze skóry, w miarę jak on przesuwając aloe po mojej nodze, tym razem do góry, docierając niemal do pachwiny.

Jestem napięta, jestem energią na granicy eksplozji. Miękki wstrząs rodzi się w okolicy mego pępka i dociera aż do waginy. Mam ochotę chwycić Leonarda za włosy, przyciągnąć jego twarz do swojej i całować go z całej siły. Patrzę, jak jego dłonie, tak pewne i zmysłowe, przesuwają się po mojej nodze od kostki do kolana. Wyginam lekko plecy, opieram się na krześle i odchylam głowę do tyłu. Moje sutki stają się twarde, a do warg napływa krew. Moje ciało miota się w słodkiej udęcie.

On obserwuje mnie niczym przyczajony drapieżnik. Jego palce stopniowo

zwiększają nacisk na moją skórę, przesuwają się w górę i w dół po moim udzie, dając mi przedsmak rozkoszy. Czuję wyraźnie, że dotyka materiału mojej bielizny. Teraz, mówię sobie, w końcu to się stanie, teraz wykona koci skok i weźmie mnie... lecz okazuje się, że nie. Gdy jestem u szczytu ekscytacji, Leonardo odsuwa dłonie od mojej nogi, jakby się oparzył, wstaje i szmatką wyciera się z aloesu.

– Teraz odpocznij. Ja przygotuję kolację – mówi. I odchodzi, prawie w ogóle na mnie nie patrząc.

Kolację zjedliśmy bardzo powoli, tak że w trakcie zrobiło się ciemno. Teraz siedzimy na tarasie i popijamy przyniesiony przez Ninę likier z granatu. Ma intensywny aromat i smak, nie jest dla każdego podniebienia, ale niewątpliwie posiada

uwodzicielską moc. Tak jak Leonardo, który uwiódł mnie. Moje myśli wracają natychmiast do tamtego granatu, który poznawałam wszystkimi zmysłami, w Wenecji, pewnego jesiennego popołudnia, które teraz wydaje mi się tak odległe. Być może to właśnie wtedy zaczęłam go pragnąć, wówczas jeszcze nieświadomie.

Teraz zapala papierosa i zaciąga się. Długo wydmuchuje dym, barwiąc powietrze bielą, która słabnie i rozplywa się w świetle księżyca. Zupełnie jakby za pomocą tej ciepłej chmury dymu rzucił wyzwanie wulkanowi, duszy tej wyspy.

Jest bardzo ciepło. Ten upał budzi zmysły i rozpala namiętność. Normalna para prawdopodobnie uprawiałaby już seks.

Moje spojrzenie zjeżdża po jego miękkich wargach na umięśniony,

zroszony potem silny tors, który wyłania się spod rozpiętej koszuli. Mam ochotę zawiązać sobie oczy, bo nie mogę się już oprzeć temu ładunkowi erotyzmu. Nie opuściło mnie wcześniejsze podniecenie i nie da się ugasić tego pożaru, skoro do ognia wciąż dolewam oliwy. Leonardo spogląda na mnie niewzruszony, nieznośnie powoli wypuszczając dym.

Dosyć, muszę się od niego odsunąć. W tej chwili.

– Idę na chwilę do środka – oznajmiam, po czym opieram boscie stopy na podłodze i podnoszę się. To wspaniałe, świeże uczucie, które natychmiast przenosi mnie w inny, mniej lubieżny wymiar.

On przebiega wzrokiem po moim ubraniu i zaciąga się raz jeszcze, objąwszy papierosa wargami. Powinien tak zrobić z moimi ustami, myślę sobie.

Ulatniam się natychmiast i jak najszybciej przemierzam kolejne pokoje. Wchodzę do łazienki, odkręcam kran i gwałtownymi ruchami myję twarz. W pewnej chwili spoglądam na swoje odbicie w lustrze – moje orzechowe oczy błyszczą od pożądania, wargi mam nabrzmiałe, a skórę zaczerwienioną od słońca i życia. Woda spływa mi po twarzy i dalej, po szyi, mocząc mój podkoszulek, spod którego prześwitują piersi.

Czuję się wolna, po tak długim czasie. Bez kul, bez stabilizatora, bez bandażu. Bez obaw, nareszcie. Jestem naga, odrodzona, lekka i nowa.

Pragnę Leonarda, tej rozkoszy, którą tylko on potrafi mi dać. Ale Nina wyraziła się jasno – przyszła pora, bym sama wzięła to, czego chcę. Może takie właśnie było prawdziwe znaczenie jej

słów – aby zaskoczyć Leonarda, muszę najpierw zaskoczyć samą siebie.

I właśnie teraz, po raz pierwszy, od kiedy tu przyjechałam, wyłączam mózg i oddaję się swoim fantazjom.

Wchodzę do sypialni, w której przez nie wiem już ile nocy walczyłam z pokusą rzucenia się na śpiącego Leonarda. Siadam na brzegu łóżka. Przez chwilę przyglądam się wykonanemu odręcznie greckiemu napisowi widniejącemu na samym środku ściany: *Panta rhei hos potamós*, wszystko płynie tak jak rzeka. Odkąd tu jestem, Heraklit stał się moim guru, jeśli tak można powiedzieć. Lecz teraz tym, co płynie we mnie, jest potężne, niepowstrzymane pożądanie.

Zostawiam drzwi otwarte, tak żeby mnie słyszał i zobaczył to, co zamierzam zrobić. Chwyciwszy się wezglowia z kutego żelaza, rozkładam się w lnianej

pościeli. Wszystko płynie tak jak rzeka: moje ciało, moja żądzka, moje dłonie, palce, których teraz nie mogę już zatrzymać. Chcę, pragnę się dotykać. I zrobię to sama. Bez niego. Po chwili już pieszczę się między nogami, a materiał szortów naciska na moje wilgotne wargi. Kontynuuję przez kilka chwil, które wystarczają, bym nie mogła się już powstrzymać, i wtedy słyszę Leonarda.

– Elena? – woła spokojnie, nie może się domyślać, co za chwilę ujrzą jego oczy.

Nie odpowiadam, i tylko poprawiam pod głową poduszkę.

– Gdzie jesteś? – jego kroki rozbrzmiewają w korytarzu.

Nadal nie odpowiadam. Chcę, żeby odnalazł mnie, podążając za intensywną ciszą mojego pożądania.

Kładę jedną dłoń na brzuchu i słucham bicia swojego serca, nie przerywając wolnych, niebezpiecznych pieszczot między udami, nie powstrzymując środkowego palca przed zanurzeniem się w gorącej wilgoci, którą mam w sobie.

A potem, nagle, nadchodzi on, właśnie w chwili, gdy jestem gotowa dać sobie rozkosz, której tak pragnę. Odsuwam powoli dłoń, podczas gdy Leonardo staje na progu i otwiera szeroko oczy. Ma zdumiony wyraz twarzy, jakiego nigdy u niego nie widziałam, i na ten widok sama przez moment czuję się zmieszana. Zaskoczyłam go, to pewne.

Opiera się o futrynę i obejmując dłońmi podbródek, uśmiecha się lekko.

– Co robisz, znowu mnie prowokujesz? – pyta, ale tym razem jego głos nie jest tak zdecydowany jak zwykle; łamie go jakieś drzenie.

– Nie, prowokuję siebie samą – odpowiadam z bezczelną pewnością siebie.

Obejmuję go teraz wzrokiem, z całym ładunkiem zmysłowości, która kipi we mnie i której nie jestem już w stanie powstrzymać. Potem zamykam je szybko i nie zważając na jego obecność, wsuwam znowu dłoń pod szorty, lekko rozluźniając zamek. Zjeżdżam powoli pod bieliznę, do wzgórka Wenery, aż czuję znowu płonąca wilgoć, która czeka tylko na niego.

Rozchyłam powieki i napotykam jego ciemne oczy – gorące i zaciekawione. Drugą dłonią pieczę pierś, którym pozwalam wysunąć się spod podkoszulka. Zauważam, że sutki twardnieją pod moimi palcami. On pozostaje bez ruchu, nie odzywa się, ale jego ciało mówi za niego. Nasze spojrzenia rzucają

sobie wyzwania w ciszy, która unosi się nad nami, przerywana tylko melancholijnym odgłosem pobrzękujących muszelek.

Ściągam szorty, ale zostawiam bieliznę, bo chcę czuć, jak koronka przesuwa się po mojej skórze, łaskocze ją, drapie moje wargi, przygotowując je na rozkosz. Zamykam znowu oczy i naciskając materiał, zsuwam wargi i ściskam je zdecydowanym ruchem. Wszystko nabrzmięwa, rozszerza się, wilgotnieje. Daję sobie rozkosz na jego oczach, aranżuję spektakl swoich zmysłów i choć czuję strach, ten jeden raz chcę oddać się samej sobie. Bardziej niż dla niego robię to dla siebie.

Zsuwam figi i pozostawiam je wśród pościeli. Od pasa w dół jestem teraz zupełnie naga. Pieszczę swoje nogi, rozkładam je przed nim, potem

przejeżdżam dłońmi wyżej i jedną z nich powoli przesuwam do swoich warg, które rozchylają się w odpowiedzi na dotyk. Drugą wędruję dalej w górę, po brzuchu, piersiach, aż do ust, które przyjmują ją chciwie. Palce smakują mną i bardzo mi się to podoba. Wsuwam palce także do pochwy i poruszam nimi w przód i w tył, jak gdybym próbowała trafić dokładnie w punkt, w którym rodzi się moja przyjemność. Niesamowite, jak bardzo wszystko wewnątrz jest wilgotne, płynne, śliskie.

Przechodzi mnie dreszcz, ale czuję, że moje palce nie wystarczą, by otworzyć sobie bramę rozkoszy. Chcę więcej. Chcę poczuć grzeszny smak wypełnienia. Leonardo wciąż mi się przygląda, ale nie rusza się z miejsca. Stoi jak skamieniały – pożąda mnie, lecz wie, że teraz nie może mi przerwać. Wyciągam rękę

w stronę stolika nocnego i szukam flakonika jego perfum o zapachu ambry. Mam. Jest w mojej dłoni, razem z myślą o nim. Mała buteleczka z matowego szkła o smukłym kształcie wydłużonej kropli, podobna do starożytnych unguentariów. Jest gładka i chłodna, kusząca i twarda. Teraz przesuwa się z wolna po moim brzuchu, kreśli spirale wokół mojego pępka, zatrzymuje się niecierpliwa na mojej łechtaczce i zjeżdża jeszcze niżej. Jestem gotowa ją przyjąć.

Wsuwam ją powoli do środka, łagodnymi, okrężnymi ruchami, które pomalutku mnie rozszerzają. Wchodzi lekko, wślizguje się we mnie, obdarowując intensywną przyjemnością. Potem zaczynam poruszać nią do przodu i do tyłu, w dół i w górę, najpierw wolno, potem coraz szybciej, aż w końcu czuję ją

głęboko. Wystarczy chwila, jedna kropla, która przepelni moją rzekę.

Zaraz stracę kontrolę, zapomnę o nim, zatracę się. Następuje eksplozja światła, a ja zapadam się w ukryty zakątek swojej duszy, w którym ból i strach z przeszłości rozplywają się i znikają w trwającej teraz absolutnej rozkoszy. Przyspieszam rytm pchnięć i zapominam się całkowicie. Jęczę, krzyczę, jak nigdy dotąd. Zaciśkam uda i napinam mięśnie, by cieszyć się tym do końca, wciąż bardziej. Przeżywam wszechogarniający orgazm. Orgazm, którego tamci mężczyźni przez tyle miesięcy nie potrafili mi dać. Orgazm, którego nie byłam już w stanie odczuwać, ale który teraz wydobywa się niepohamowany – z ust, z łona, z oczu, z mojej gorącej skóry.

A wszystko to odbywa się w cichej obecności Leonarda – w jego oczach

muszę być teraz perwersyjnym, fascynującym spektaklem. Powraca do mnie gwałtownie *Ekstaza błogostawionej Ludwika Albertoni*, w całym swoim niepokojącym pięknie – ciało, które jakby zaraz miało oswobodzić się z marmuru, rozrzucone szaty i grymas twarzy porwanej przez coś, nad czym nie da się zapanować. I właśnie tak się teraz czuję – poza bólem czy przyjemnością, niemal w transie. Czuję, jakbym unosiła się nad sobą, jakbym pozostawiła ciało daleko stąd. Wszystko wokół przeradza się w sen: łóżko, ściany, odgłos muszelek, oddech Leonarda, jego zapach. Moje mięśnie zaczynają się rozluźniać, a ja, wyjąwszy delikatnie flakonik z mojej mokrej waginy, osuwam się w miejsce, w którym nie istnieje ani pożądanie, ani strach, tylko tajemniczy spokój.

Otwieram znów oczy i między nogami nie mam już buteleczki jego perfum – teraz jest tu on, są jego wilgotne od potu włosy, jego duże dłonie, które mnie piezczą i jego usta, które lądują na moim wzgórkcu Wenery. Zbiera resztki mojej rozkoszy.

Pozostaję tak, leżąc w milczeniu, i nie czuję wstydu z powodu tego, co zrobiłam, z powodu mojego nagiego ciała, moich krzyków i całkowitego zatracenia.

Po chwili Leonardo kładzie się na łóżku obok mnie i delikatnie głaszcze moje włosy. Potem ujmuję mnie za podbródek i odwraca moją wciąż roznamietnioną twarz ku swojej.

– Udało ci się, Eleno – szepcze, zaglądając głęboko w moje oczy. – To był najpiękniejszy orgazm, jaki kiedykolwiek sobie podarowałaś.

Nie wiem, co powiedzieć, co teraz zrobić, uśmiecham się tylko, bo to on sprawił, że się odważyłam, że przeskoczyłam tę przeszkodę i podążyłam ku tej części mnie, której jeszcze nie znałam. To on pozwolił, bym sama odnalazła drogę i w końcu jestem tutaj, jak po długiej podróży, zmęczona, ale zadowolona.

Patrzę na Leonarda i wiem, że wciąż go potrzebuję. Potrzebuję go w sobie.

Chcę go pocałować, ale to on całuje mnie pierwszy. Ten pocałunek żyje, pulsuje, wibruje pożądaniem. Nasze gorące wargi spotykają się i niczym naczynia połączone wymieniają zamkniętą w naszych ciałach energię.

Potem, niemal niepostrzeżenie, Leonardo ściąga mój podkoszulek i zjeżdża językiem do moich sutków.

Znowu będziemy to robić.

A ja wreszcie jestem gotowa.

10

Leżymy nadzy w łóżku, naprzeciwko siebie, jego oczy w moich oczach, moje dłonie w jego dłoniach, mój oddech miesza się z jego oddechem. Słabe światło wpada przez okno, malując nasze ciała światłocieniem. Ale teraz to mrok ma zwyciężyć. Potrzebujemy całkowitej ciemności, by spojrzeć wewnątrz siebie i odnaleźć się jako kochankowie.

Ja pierwsza przewiążuję Leonardowi oczy – jedwabną apaszką, którą włożyłam do walizki z myślą o nas – potem on robi to samo ze mną, używając jednego ze swoich krawatów. Kto wie,

czy nie przywiózł go na Stromboli właśnie w tym celu. Znowu razem, ja i on, w zmysłowym wszechświecie, który należy tylko do nas – połączeni, ale tym razem równi sobie. Leonardo muska mój policzek, potem szyję i ramiona. Nasze twarze zbliżają się do siebie, a czoła stykają – ciepłe, pełne pragnień i myśli. Wargi łączą się, języki szukają, splatają w powolnym, obezwładniającym tańcu. Odkrywamy na nowo nasze ciała, formujemy je ponownie dłońmi, jakby były surową materią, której trzeba nadać kształt. W tej ciemności i ciszy zakwita cielesne pragnienie, prawdziwe, pierwotne, sprawiające, że znika cały otaczający nas świat.

Czuję, jak jego zapach dociera do moich nozdrzy i zstępuje do gardła – od niego kręci mi się w głowie, mącą mi się zmysły. Pragnę, by tej nocy odkrył mnie

całkowicie, pragnę, by mnie dotykał, by mnie smakował.

Głaszczę jego tors, podczas gdy on zaczyna kreślić palcami koła wokół moich piersi. Błądzi po mojej skórze, zatrzymuje się przy moim pieprzyku, a potem dociera do sutków. Są twarde, naprężone – bawi się nimi przez kilka chwil, a następnie przyciska do nich wargi, wyzwalając we mnie nieskończony ciąg dreszczy. Moja vagina natychmiast staje się jeszcze gorętsza i bardziej wilgotna. Potem muska mój brzuch i przesuwając dłońmi po wewnętrznej stronie moich ud – ta pieszczota jest lekka i łagodna, a im lżejsza, tym bardziej rozbijająca.

Moje palce tymczasem wędrują po jego ciele, powoli torują sobie drogę wśród włosków na jego nogach, wspinają się do zagięć pachwin, rejestrując ich

niebывałe ciepło. Eksplorują to męskie ciało, a ja mam wrażenie, że dotykają go po raz pierwszy. Pozbawiona wzroku, czuję się, jakbym w pewnym sensie odzyskała dziewictwo i przeżywała zupełnie nowe doświadczenie. Jestem zmieszana, wolna, zaintrygowana.

Zaczynam pieścić pomалу jego męskość, delikatnie, z obawą zmieszaną z ciekawością. Czuję, jak rośnie w mojej dłoni i stopniowo zwiększam nacisk – wiem dokładnie, jak go dotykać, mocniej u dołu, a słabiej u góry. Oplatom go i ściskam kciukiem i palcem wskazującym, przesuwam od nasady aż do żołędzi, potem zjeżdżam znowu, a mój lekki nacisk wywołuje jego jęk. Teraz jest podniecony, bardzo podniecony, i zaczyna szukać mojego gorącego gniazdka. Czuję jego wilgotny dotyk – musiał poślinić palce. Powtarza na

łechtaczce okrężne ruchy, którymi wcześniej obdarzał moje piersi. Pieści mnie dokładnie tak, jak tego pragnę, i to uczucie jest niebiańskie. Moje pragnienie rośnie i chcę, żeby uczynił kolejny krok.

– Leo... – mruczę. – Chcę je poczuć w środku, proszę – mówię błagalnym szeptem.

– Oto one, Eleno, są całe twoje – odpowiada, wypełniając mnie dwoma palcami.

Jęczę, gdy nagłe ciepło rozprzestrzenia się po całym moim ciele. Trwam jak w zawieszeniu, pozwalając rozkoszy rozlać się we mnie, objąć serce i umysł. Leonardo przez chwilę drażni moją waginę, która reaguje miękką falą błogości. Jego zachłanny język atakuje tymczasem moje usta. Potem dołączają też jego palce, nasączone mną. Drażnią moje wargi, wsuwają się do ust, igrają z moim

językiem, pozwalają się ssać, i w końcu wracają między moje nogi.

– Chodź tutaj – odzywa się w pewnej chwili, chwytając mnie za biodra i sadzając na sobie.

Opierając się na jego udach, oplatom go nogami w talii. Stajemy się kwiatem lotosu, unoszącym się na powierzchni pachnącego lnu. Jesteśmy teraz całkowitą jednością.

Leonardo zsuwa dłonie na moje pośladki i przyciąga mnie do siebie. Chwytam go za szyję i niemal bezwiednie poruszając lekko biodrami, pocieram łonem o jego członek. Jestem już zupełnie mokra i otwarta, gotowa na jego przyjęcie.

– Teraz chcę cię całego poczuć w środku – mówię jednym tchem.

To rozkaz, któremu nie może się przeciwstawić.

Pomaga mi się unieść, bym ujęła jego twardą męskość i wsunęła ją w siebie.

Ileż czekałam na tę chwilę! Nie pamiętałam już, że jest tak duży i mocny.

– O tak, Eleno – jęczy i zaczyna mną kołysać, trzymając mnie w talii.

Śledzimy nuty naszej namiętności, wybijając wspólnie rytm, najpierw powoli, a potem coraz szybciej. Im mocniej ocieramy się o siebie, tym bardziej ochryple stają się nasze jęki, a nasze oddechy krótsze. Podnoszę ręce do wysokości jego gardła – jest gorące, nabrzmiące. Nie muszę go widzieć, by zrozumieć, że oładnęła nim rozkosz. Wyczuwam naprężone z wysiłku żyły i naciskam trochę mocniej, by poczuć pod palcami jego pulsującą krew. Oto on. Jest tutaj, w moim ręku, a cała jego energia życiowa podporządkowana jest mojej mocy. Ten mężczyzna, którego wcześniej

odkrywałam ze zdumieniem, niemal ze strachem, teraz należy do mnie, a jego ciało jest posłuszne mojemu. Czuję się silna jak nigdy wcześniej, jak władczyni absolutna.

Im bardziej zwiększam nacisk, tym mocniej jego paznokcie wpijają się w moje pośladki, a jego pchnięcia przyspieszają. Posiada mnie, lecz ulega mojej woli, penetrując mnie, staje się instrumentem mojej rozkoszy.

Skrzypienie łóżka nakłada się na odgłos naszych coraz bardziej urywanych oddechów. Ciemność w oczach, światło wewnątrz. Leonardo krzyczy, głosem pierwotnym, który miesza śmierć z życiem, ból z namiętnością, pożądaniem i uległością. Ten dźwięk jest ogłuszający. Jego energia przepływa pod moimi palcami, przez gardło, wydostaje się ustami, uderza mnie niczym fala magnetyczna

i udziela się także mnie. I właśnie w tym momencie ja też dochodzę, krzycząc razem z nim.

Jest to totalny, potężny orgazm, który przenosi nas w miejsce, gdzie nie ma już mnie ani jego, a tylko my, jedno ciało i jedna dusza pulsujące razem.

Osuwamy się mocno objęci. Leonardo ściąga mi z oczu krawat, ja jemu apaszkę. Mrugam wielokrotnie powiekami, by przyzwycząić się do panującego w pokoju przytłumionego światła i trafiam na jego spojrzenie, ekstatyczne, zagubione. Patrzymy na siebie w milczeniu, oszołomieni i cisi, nie potrafiąc wyrazić słowami tego, co przed chwilą się stało.

Kładę się na plecach, rozluźniając całkowicie mięśnie. Zamykam oczy, pogrążając się na nowo w ciemności.

Leonardo jest przy moim boku i dłonią czule gładzi mnie po głowie.

– Myślę, że właśnie coś zrozumiałem, Eleno, coś, czego dotychczas sobie nie uświadamiałem – mówi, utkwivszy spojrzenie w suficie.

Patrzę na niego pytająco, a on odwraca się do mnie:

– Jestem twój. Chcę być tylko twój.

Uśmiecham się ze szczęścia, które rodzi się wprost w moim sercu. Przysuwam się do niego i szepczę:

– A ja chcę być twoja.

A potem odciskam lekki pocałunek na płatku jego ucha.

Kiedy zamierzam się cofnąć, on przytrzymuje mnie za rękę i szuka moich ust, które natychmiast otwierają się i wpuszczają go do środka. Zbliżam się bardziej, przyciskając piersi do jego torsu, i spletam nogi z jego nogami, jedną owijając wokół jego talii. Nasze ciała są zespolone, nie ma między nami

granic. Moje istnienie zawiera się teraz w tym splocie oddechów i śliny, zmysłów i myśli, i jest mi tu dobrze, nie chciałabym być nigdzie indziej.

Przez chwilę się zastanawiam, jak wytrzymałam z dala od niego przez te wszystkie miesiące. Jak mogłam znieść seks z kimś innym. Jak mogłam tolerować zapach innego mężczyzny.

Po kilku chwilach nasze łona odnajdują się znowu. On ociera się o mnie z rozdzierającą delikatnością, a ja wychodzę mu naprzeciw. I oto pożądanie budzi się na nowo, gwałtowne, nieokiełznane, niekończące się pragnienie, które jedynie nowy orgazm może ugasić.

Jednym ruchem Leonardo odwraca mnie i przyciąga do siebie. Moje plecy zlewają się z jego piersią, a na uchu czuję jego oddech, gdy szepcze:

– Jeśli jesteś moja, mogę z tobą zrobić, co zechcę.

Następnie całuje mnie w kark, a potem pocałunki przekształcają się w coraz śmielsze ukąszenia, od których przechodzą mnie silne wstrząsy przyjemności.

– Pod warunkiem, że mi się spodoba – odpowiadam, chowając głowę w ramiona, jakby w geście obronnym. Czuję jego gładką, twardą męskość napierającą na moje pośladki. Palcami dotyka mnie tuż poniżej pupy.

– Myślę, że ci się spodoba – szepcze, zbliżając się jeszcze i wypychając biodra ku moim.

Nagle popycha mnie zdecydowanie na brzuch i unieruchamia nogami. Odwracam się troszkę, szukając wzrokiem jego twarzy i widzę diaboliczną iskierkę płonąca w jego spojrzeniu. Jego dłoń

ściska teraz moje pośladki i pieści je, przynosząc odprężenie moim mięśniom i rozbudzając skórę. Potem jego palec przesuwa się powyżej mojej pochwy, okrężnym ruchem, i zatrzymuje tuż przed moim odbytem. Chyba nie ma zamiaru wsunąć go do środka? Dyszę ciężko, preżąc się cała pod jego ciężarem. On siada na mnie i czuję, jak jego twarde penis dotyka moich nóg.

– Dziś w nocy chcę cię mieć całą. Każdy zakątek twojego ciała – szepcze, całując dół moich pleców i lizując go zachłannie.

W jednej chwili sztywnieję.

– W jakim sensie każdy zakątek?

Próbuję się oswobodzić, zmienić pozycję, ale on mi to uniemożliwia.

Nie odpowiada, tylko zaczyna przesuwać językiem po tylnej stronie moich ud, aż do pośladków. Każdy z mięśni

napina się i zaraz potem łagodnie rozluźnia. Jest tak przyjemnie, że wymyka mi się jęk. Dobrze, Leonardo, ufam ci, poddaję się, nie mam wyboru.

Czuję, jak kropla oliwy spływa po moich plecach, potem kolejna, i jeszcze jedna. Teraz palec Leonarda zbiera je, rozprowadza między moimi pośladkami i powoli wchodzi we mnie, od tyłu, tam, gdzie dotychczas nikomu nie pozwoliłam wejść.

Ale teraz jest inaczej, przy nim zaczynam pragnąć rzeczy, o których wcześniej nawet bym nie pomyślała.

– Powoli, proszę – mówię szeptem.

– Odpręż się, Eleno... pozwól mi to zrobić i nie myśl o niczym.

Czuję lekkie szczypanie, a potem uczucie płynnego wypełnienia, które ogarnia mnie z przodu i z tyłu. W jednej chwili fala fantazji i wyuzdania przetacza

się przez całe moje ciało i rozlewa w moim brzuchu. Bańka podniecenia rozpryskuje się między moimi nogami. Ta rozkosz jest nowa, inna, tak bardzo zmysłowa.

Leonardo naciska nawilżonym palcem w górę, w kierunku kości krzyżowej i leciutkimi, lecz pewnymi ruchami rozszerza mnie od środka. Wydaję jęk czystej rozkoszy. Obawa i ciekawość zakrzepły we mnie w jedną bryłę i wiem, że jedynym sposobem, by ją rozpuścić, jest porzucenie wszelkiego oporu.

On zbliża nabrzmiały penis do mojego odbytu i powolutku wsuwa go do środka. Moje mięśnie ustępują, ciało w magiczny sposób się rozszerza, by go przyjąć, podczas gdy moja vagina przyjmuje jego ciepły palec, a szyja pozwala się uwodzić jego językowi.

– Boże, Eleno, jesteś fantastyczna –
jęczy u szczytu podniecenia.

Nigdy, w całym swoim życiu, nie doświadczyłam czegoś podobnego i to jest niesamowite – huragan rozkoszy, ból, który przeradza się w podniecenie, a potem w ekstazę. Jestem wystawiona na ciosy, bezbronna, ale w mojej kapitulacji jest ogromna siła, bo to ja chcę całą sobą należeć do niego.

Leonardo prowadzi mnie w niezbadane zakątki mojego ciała, w miejsca, o których istnieniu nawet nie wiedziałam, i razem wypełniamy je oślepiającym światłem. Jego męskość pozostaje we mnie nieruchomo, a jego palec bada tymczasem moje gniazdko; potem zaczyna poruszać się powoli, do przodu i do tyłu, a ja się oddaję. To, co mi robi, jest boskie.

Słyszę jego krzyk, głęboki i ochryply, a ja jęcę razem z nim, odnajdując swe słodkie wyzwolenie. Dochodzę znowu, po raz trzeci, wykrzykując ku niebu jego imię, a on nieruchomieje i rozlewa we mnie swoje serce i swoją duszę.

Jego ciało opada na mnie i przykrywa mnie całkowicie. Potem owijam stopy wokół niego, a on przytrzymuje mnie za nadgarstki, jak gdyby chciał uwięzić całą energię, którą wlał we mnie.

Kocham tego mężczyznę całą sobą. Nie chcę, by ciężar słów zniszczył tę chwilę.

Jesteśmy wykończeni, u kresu sił, wyczerpaliśmy wszelkie możliwe emocje. Wokół nas spokój i cisza. Świat przestał istnieć, czas się zatrzymał i jesteśmy tylko ja i on.

Czuję teraz, jak nasze łona się rozluźniają. Leonardo się podnosi, bym mogła oddychać, a ja odwracam się do

niego. Uśmiechamy się do siebie, jakbyśmy właśnie kochali się po raz pierwszy w życiu. Nadal przenika mnie to uczucie wypełnienia, którego przed chwilą doznałam. Przytulamy się jeszcze, i jeszcze, nie mówiąc ani słowa, otoczeni tylko odgłosem naszych oddechów.

Po pewnym czasie Leonardo odwraca się do mnie plecami, ujmuję moją dłoń i kładzie ją sobie na sercu. Przytulam się do niego, przyciskając twarz do jego szerokich pleców. Są jak tarcza, jak skała. Ale moje oczy nie są w stanie ignorować kotwicy wytatuowanej na jego skórze – dwóch splecionych liter L, jak Leonardo i Lucrezia. Mimo że w ciągu ostatnich dni nie wspomniał o niej ani razu, nigdy nie uda mi się uwolnić od widma tej kobiety, która wciąż jest jego pełnoprawną żoną. Nie potrafię nawet wymówić tych słów. Bo Lucrezia jeszcze

powróci, czuję to. To tylko jedna myśl, lecz zaciska się ona wokół mojego serca i dlatego ze wszystkich sił staram się ją oddalić. Moje szczęście jest teraz pełne i świetliste, jak księżyc, który widzę przez okno. Nic nie może rzucić na nie swego cienia.

Kiedy siadamy na tarasie, by cieszyć się bryzą napływającą od strony morza, niebo wygląda jak gwieździsty dywan. Światła miasteczka gasną, ale wulkan, tam w górze, nie gaśnie nigdy – wypluwa w powietrze strumienie i wiązki, które w niezmiennym rytmie rozświetlają granatową barwę nocy.

Ze stojącej w salonie wieży dobiega stłumione *Goodnight Lovers* Depeche Mode. Leonardo nuci, podchwytyjąc melodię. Już wiele razy słyszałam, jak tak robi – to coś spontanicznego,

wdzięcznego, jego sposób wyrażenia prostego, niemal dziecięcego zadowolenia. Jest w tym uroczy. Uśmiecham się ukradkiem, tak by nie widział, po czym wyciągam nogi i opieram je na barierce, spoglądając na czarne na tle nocy morze. Strombolicchio wznosi się samotnie w oddali ze swoją zapaloną latarnią. W świetle księżycy jest pełna majestatu.

– Wygląda jak strażnik wyspy – zauważam na głos.

– Rzeczywiście... – przytakuje Leonardo, wpatrując się w ciemny horyzont.

Potem się odwraca, przygląda się mojej twarzy i nagle wstaje z ławki. Bierze mnie za rękę, jakby nad czymś się zastanawiał, po czym mówi:

– Chodź ze mną.

Marszczę brwi.

– Dokąd?

– Zobaczysz – jego pierś unosi się pod koszulą. – No, wstawaj.

Uśmiecham się. Ciekawe, co mu przyszło do głowy. Ale za nic w świecie nie chciałabym kazać mu czekać.

Niedługo potem tniemy w ciemności spokojne fale na pokładzie małego białego pontonu. Księżyc jest nad nami, a wyspa Stromboli za naszymi plecami. Płyniemy w stronę Strombolicchio – tam chce mnie zabrać Leonardo. Po kilku minutach docieramy do miejsca, które jeszcze przed chwilą było dla mnie marzeniem, fantazją – do skalistej wysepki wylaniającej się z morza i latarni, która rzuca na horyzont snop jasnożółtego światła.

Leonardo cumuje w zatoczce, z której prowadzą kamienne schodki wciskające się niczym język między skały. Wystarczy

niewielkie źródło światła, żeby poruszać się tu bez problemów – Leonardo zapala małą latarkę, którą wziął ze sobą. Myśli o wszystkim i w ostatnich dniach daje mi poczucie bezpieczeństwa, którego nie był w stanie mi zapewnić w czasie miesięcy namiętności w Wenecji i w Rzymie.

Widziana z bliska, skała sprawia wrażenie znacznie większej, niż gdy patrzy się na nią z tarasu domu. Góruje nad nami jak mitologiczny potwór morski, który wynurzył się z toni, pradawny i groźny. Czuję się teraz malutka i po wszystkim, co wydarzyło się tego wieczoru, nie wiem, czy mam jeszcze siłę wspinać się na ten majestatyczny skalny stożek. Nie mówiąc już o tym, że od paru dni, nie wiem dlaczego, cierpię na lekkie zawroty głowy. Całe szczęście, że nachodzą mnie teraz, a nie kiedy zmagalam się z freskami

i rusztowaniami. Już mnie ściska w brzuchu.

Leonardo patrzy na mnie i w półmroku wyczuwam jego uśmiech.

– Niepokoi cię ta wspinaczka?

– Ani trochę – odpowiadam z przekonaniem. – Wręcz przeciwnie, nie mogę się doczekać.

W rzeczywistości jestem przerażona, ale nie chcę dać tego po sobie poznać.

– Mamy do pokonania dwieście stopni – wyjaśnia, idąc przodem z latarką. – Ale kiedy byłem mały, wychodziło mi zawsze o kilka więcej.

– Mmm... brzmi zachęcająco!

Nieźle wyzwanie dla kogoś, kto ledwie zaczął chodzić po kontuzji! Chwytam go za rękę, żeby czuć się pewniej. Żelazna barierka jest tak niska, że przy każdym kroku mam wrażenie, iż zaraz polecę

w dół. A im wyżej wchodzę, tym bardziej ta wizja odbiera mi dech.

– Jak noga? Boli cię? – pyta Leonardo.

– Nie, wszystko w porządku – prawdopodobnie to zasługa cudownego aloesu oraz tego, że co chwila przystaję, by złapać oddech.

Ale teraz to nie noga mnie martwi, lecz odległość między mną a taflą morza. Naraz przychodzi mi do głowy, że upadek stąd mógłby okazać się śmiertelny.

Pokonawszy cztery serie schodków, spoglądam w dół i świat poniżej wydaje mi się malutki. Ściskam mocniej dłoń Leonarda, tak ciepłą i pewną, i staram się nie spuszczać wzroku z jego pleców. W górze zarysowują się dwie spiczaste skały przypominające smoki, które sfrunęły z nieba.

Jeszcze kilka stopni i wreszcie jesteśmy na miejscu. Na szczycie

rozciąga się rozległy taras, ograniczony kamienną balustradą, a wyżej wznosi się samotnie biała wieża latarni.

Z trudem łapię powietrze, ale widok jest fantastyczny, pięćdziesiąt metrów nad poziomem morza i dwa kroki od nieba.

Jeszcze raz spoglądam w czeluść pod nami, która teraz budzi we mnie fascynację. Morze jest ogromną, czarną przestrzenią i gdy patrzę na nie, po plecach przebiega mi dreszcz.

– Wspaniale to wygląda z góry, prawda? – pyta Leonardo, podchodząc do mnie.

– Tak, wspaniale, ale też groźnie – instynktownie chwytam się jego boku, a on obejmuje mnie ramieniem.

Potem idziemy usiąść na kamiennym kubiku w pobliżu latarni. Leonardo zdejmuje koszulę, by letni, nocny wiatr

wysuszył pot. Mój wzrok nieuchronnie zatrzymuje się tam, na tatuażu widniejącym między jego kształtnymi łopatkami. A na ten widok powraca myśl o Lucrezii, od której ledwie się uwolniłam.

Wyraz mojej twarzy musiał się zmienić, bo Leonardo przygląda mi się pytająco:

– Co się stało?

Już mam powiedzieć, że nic. Ale gryzę się w język. W końcu nie mam powodu, by to ukrywać, nie chcę między nami tematów tabu i niedopowiedzeń. Temat Lucrezii prędzej czy później będzie musiał zostać poruszony. Postanawiam więc zrobić to teraz.

– Myślałam o Lucrezii... Kontaktowaliście się? Zobacysz się z nią jeszcze?

On bierze głęboki oddech, odwraca się do mnie i obejmuje moją dłoń.

– Nie kontaktujemy się od dłuższego czasu, ale prędzej czy później to się stanie – odpowiada spokojnym, opanowanym głosem. – Lucrezia jest kobietą, z którą przez lata łączyła mnie miłość i wspólne życie, na dobre i na złe. Nie mogę i nie chcę jej wymazać.

– Rozumiem – lekko zaciskam wargi.

– Eleno, próbuję ci powiedzieć, że będę przy niej za każdym razem, kiedy będzie mnie potrzebowała. Jest wrażliwa, niezwykle skomplikowana i nie mogę jej porzucić – ciągnie dalej, zatapiając swoje magnetyczne spojrzenie w moich oczach. – Ale już jej nie kocham, jeśli o to pytasz. To, co mogę jej okazać, to przywiązanie, troska, poświęcenie... ale miłość jest czymś innym, teraz to wiem.

– A czym? – przyszpilam go spojrzeniem.

– Tobą. I możliwością otwarcia się na życie, które chcesz mi dać – całuje mnie delikatnie w czoło. – Mówiłem ci, Eleno. Zaczynam nowy etap i nie jest mi łatwo, ale chcę spróbować. Ty jesteś moim odrodzeniem.

– Dobrze – szepczę, opierając swoje czoło o jego. – Ufam ci.

Jesteśmy dwoma rozbitkami, którzy dopłynęli do tego samego brzegu, dwójką ocalałych, która podaje sobie ręce.

– Popatrz – Leonardo unosi podbródek w stronę nieba. Stromboli właśnie wybucha, wyrzucając w granatowe niebo iskry jasnoczerwonego ognia.

– Pozdrawia nas – zauważam.

Już nie boję się go tak, jak pierwszego dnia.

On spogląda na mnie i z uśmiechem rzuca mi wyzwanie:

– Następna wspinaczka będzie tam, na szczyt wulkanu.

– Zgoda – odpowiadam i ogrzewam się w jego nagich ramionach.

Czuję się silna, nie obawiam się już niczego. Jestem gotowa na kolejne próby, bo cały strach roztopił się w ogniu naszej miłości.

Mogę wszystko, kiedy Leonardo jest przy mnie.

Dni płyną cudownie powoli wśród leniwych i zmysłowych przyjemności, które dzielę z Leonardem. Godziny wydają się mijać na niczym, a jednak wypełnione są słońcem, morzem, jedzeniem, słowami. I przede wszystkim miłością. Nawet praca – moja nad szkicami i jego nad przepisami – jest przyjemnością w tym raj, w którym czas się zatrzymał. A przyszłość, kiedy nadejdzie, zastanie nas razem.

Co jakiś czas wulkan Stromboli przywołuje nas do siebie parsknięciem, niczym wielkie zniecierpliwione zwierzę.

Niedługo tam pójdziemy, ale nie ma pośpiechu – moja noga, choć już zupełnie wyleczona, potrzebuje jeszcze trochę odpoczynku.

Dobra wiadomość jest taka, że po dniach frustracji i przyglądania się morzu bez możliwości wejścia do niego, wreszcie mam szansę się w nim wykąpać. Zanurzenie się w wodzie po raz pierwszy było niczym wyzwolenie, zaślubiny z latem, które już tutaj wybuchło, choć jest dopiero maj. Taplałam się przez prawie godzinę – pływałam, oszczędzając nogę, a potem pozwalałam kołysać się falom. Już krótki kontakt z przezroczystą, chłodną wodą wystarczył, by moje ciało, zbyt długo pozostałe w odrętwieniu, zaczęło odzyskiwać odrobinę energii i elastyczności.

Wczoraj Leonardo pokazał mi naprawdę magiczne miejsce – drugą

stronę Stromboli. Łódką opłynęliśmy wyspę i przybiliśmy do brzegu w Ginostrze, samotnej wiosce zamieszkaney przez czterdzieści dusz, do której dostać się można tylko drogą morską i która ma najmniejszy na świecie port. To było jak powrót do przeszłości – nie jeżdżą tu nawet skutery ani trzykołowe piaggio, jedynym środkiem transportu są muły, a system oświetlenia wciąż opiera się na lampach naftowych. Tylko nieliczni mają światło elektryczne dzięki panelom słonecznym.

Nim opuściliśmy wioskę, Leonardo kupił od rybaka, który właśnie wrócił z połowu, dużego kielca. Po powrocie upiekliśmy go na ruszcie i przyprawiliśmy sosem z ziół i przypraw.

Od kilku dni stara się uczyć mnie podstaw sztuki kulinarnej i zaczyna mi się to podobać – powoli budzi się we mnie

pasja. Dzięki niemu ja, jeszcze niedawno uczulona na gotowanie, odkrywam w sobie teraz chęć poznawania składników i eksperymentowania z nowymi daniami. Leonardo wyznał mi, że tajemnice szefa kuchni zachowywał zawsze wyłącznie dla siebie, lecz dla mnie postanowił uczynić wyjątek. Muszę się nauczyć praktycznie wszystkiego, ale staram się – i jestem naprawdę zdolną uczennicą. Na razie żadnych uwag w dzienniczku.

– W kuchni, tak jak w seksie i sztuce, nie wystarczy technika, potrzebny jest instynkt – wyjaśnił z całkowitą powagą, kiedy kroił rybę, a ja doбираłam przyprawy.

– A może nawet trochę szaleństwa, jak myślisz? – dodałam, rozsypując na półmisku kwiaty cytryny, zebrane chwilę wcześniej w ogrodzie.

On złapał mnie za fartuszek i przyciągnął do siebie.

– Powiedziałbym, że w tej dziedzinie już jesteś mistrzynią...

Całujemy się, jakby nasze wargi nie spotykały się od lat, dopóki garnek z wodą na makaron nie zaczyna burczeć, usilnie domagając się naszej uwagi.

Po kolacji przyszła pora na niespodziankę. Wtuleni w siebie oglądaliśmy gwiazdy na tarasie, kiedy nagle Leonardo wstał, wszedł do domu, po czym wrócił i wręczył mi paczkę. Rozpakowałam ją prędko, ciekawa jak dziecko – w środku znajdowało się pudełko akwareli Schmincke Horadam, najlepszych farb na rynku, kosztujących fortunę.

– Gdzie je znalazłeś? – pytam zdumiona.

– Poprosiłem o nie przyjaciela, który jechał do Messyny. Trochę trwało, nim doszły, ale w końcu są – odrzekł, uśmiechając się łagodnie. – Teraz będziesz mogła skończyć swoje ilustracje.

– Dziękuję, Leo. Są wspaniałe... nie mogę się doczekać! – przytuliłam go, pełna wdzięczności i dziwnej czułości, jakiej nigdy wobec niego nie odczuwałam.

Natychmiast zabrałam się do pracy i malowałam aż do późnej nocy, kiedy w końcu, około czwartej nad ranem, poczułam jego ciepły oddech na szyi i silne ręce, oplatające mnie w talii.

– Mogę ukraść cię muzom? Potrzebuję cię tam i nie mogę już dłużej czekać...

Jak zawsze nie potrafiłam mu się oprzeć i poszłam za nim do sypialni.

Od paru dni czuję się jak kłębek energii – naładowana, twórcza, pełna wigoru i chęci działania, jednym słowem szczęśliwa. Ale do pełnego szczęścia brakuje jednego elementu – Gai. Nie miałam od niej wieści od dnia jej ślubu i naprawdę bardzo za nią tęsknię. Elena przed kilku miesiący, niezadowolona i agresywna, która była w stanie pluć na swoją przyjaciółkę jadem w tak ważnym dla niej dniu, teraz wydaje mi się odległa o lata świetlne. Postać, którą wykreowałam, nie ma już nic więcej do zaproponowania. Powierzchowne, bezsensowne znajomości, seks z nieznanymi, szalone imprezy do rana są już tylko niewyraźnym wspomnieniem, należącym do kogoś innego. W ten sposób próbowałam odwrócić uwagę, oszukać siebie i innych i choć wiedziałam,

że to wszystko źle się skończy, nie potrafiłam przestać.

Ale teraz jest inaczej. Od wielu dni myślę o Gai, zastanawiam się, gdzie jest, co robi, czy jest szczęśliwa z Belottim. Kiedy jestem sama, mówię do niej, wyobrażam sobie, że opowiadam jej o swoich dniach. Wiem, że to ja muszę zrobić pierwszy krok i poprosić o wybaczenie – nie zdecydowałam tylko jeszcze, jak to zrobić. Napisać jej mail? SMS? Może lepiej poczekać na spotkanie twarzą w twarz...

Pytam również o zdanie Leonarda, a on radzi, żebym zadzwoniła. Może to mało poetyckie, ale z pewnością to najbliższy kontakt możliwy w tej chwili. Przyjdzie jeszcze czas, żeby spotkać się osobiście i porozmawiać.

I tak, w ciepły poranek pod koniec maja, kiedy on wyszedł na swój

zwyczajowy obchód, ja kładę się na łóżku i odnajduję w kontaktach numer Gai. Kiedy iPhone zaczyna łączyć, moje serce przyspiesza. A jeśli ona nie odbierze? A jeśli nie będzie chciała mnie słyszeć do końca życia? Po chwili opanowuję jednak swoją skłonność do melodramatyzowania.

– Ele? – słyszę.

Jej głos się nie zmienił, choć wibruje w nim lekkie zdumienie.

– Cześć... – mówię cicho, kuląc się na łóżku.

– No, trochę ci to zajęło!

Nie wiem, czy jest bardziej wkurzona, czy rozbawiona.

– Gaia, muszę ci coś powiedzieć – biorę oddech. – Przepraszam. – No proszę, zrobiłam to, i już czuję się lepiej.

– Przepraszam, przepraszam i jeszcze raz przepraszam... Ta idiotka, która

zepsuła ci wesele, to nie byłam ja – skomlę, a mój głos przeradza się w szept.

– Przestań się mazać – ucina ona. – Wybaczyłam ci minutę po tym, jak się pokłóciłyśmy... No, minutę to może nie, ale powiedzmy, że po godzinie mi przeszło. Miałaś szczęście, bo w tamtej chwili musiałam się skupić na kimś innym, wiesz, takim facecie w białym garniturze... kościół... kwiaty... pamiętasz może? – Gaia wybucha głośnym śmiechem. – Powiedz mi tylko, że masz się dobrze i jesteś znowu sobą, proszę – dodaje, tym razem na poważnie.

Kocham tę kobietę. Umie spojrzeć na sprawy trzeźwo i ująć im dramatyzmu.

– Tak, mam się już dobrze – odpowiadam, trochę zbita z tropu.

Cóż mogę dodać – Gaia trafiła w sedno.

– Tak się cieszę, że zadzwoniłaś. Zresztą, chociaż nie powinnam ci o tym mówić, gdybyś tego nie zrobiła, zadzwoniłabym sama. Odkładałam to, żeby się przekonać, jak długo każesz mi czekać. Ale palce aż mnie świerzbiły. Nawet nie wiesz, ile razy już miałam wybrać twój numer...

– To dlatego, że trochę się wstydziałam – udaje mi się wydukać.

A potem w końcu się odprężam i wyciągam ręce i nogi na całej powierzchni łóżka.

– Co u ciebie?

– Jeszcze nie do końca się w tym orientuję... ale na razie życie małżeńskie nie jest takie złe.

– Jak wam się razem mieszka?

– Świetnie, tyle tylko, że jego prawie nigdy nie ma.

– Racja, startuje w Giro d'Italia...
czytałam w gazetach.

– Jutrzejszy etap kończy się w Cortinie
i jadę do niego, tylko on o tym nie wie.
Chcę mu zrobić niespodziankę.

– Chcesz mu zrujnować karierę?

– Musi wypełnić obowiązek małżeński
– oświadcza tonem nieznoszącym sprze-
ciwu. – Uprzedziłam go oficjalnie: jeśli
będziemy to robić mniej niż cztery razy
w miesiącu, zażądam rozwodu.

Wybucham śmiechem.

– Biedny Samuel... bohater tragiczny,
rozdarty między miłością do swej kobiety
a miłością do kolarstwa.

– A o mojej tragedii nie wspomnisz? –
napomina podniosłym tonem, który ani
trochę do niej nie pasuje. – Znasz mnie,
nigdy nie byłam przylepą... ale z nim jest
zupełnie inaczej. Chciałabym, żeby był
przy mnie cały czas, a im bardziej mi się

wymyka, tym bardziej go pragnę! Stałam się chodzącym stereotypem. Wiem, nie poznajesz mnie.

– Ale znajdzie się w nim chyba coś, czego nie znosisz!

– Pewnie, że tak. Mnóstwo rzeczy... Jak mówi z pełnymi ustami. Albo że chce sypiać przy odsłoniętych oknach, a ja potrzebuję kompletnych ciemności. Nie mówiąc już o jego matce, która ma nieustanny słowotok. Mimo to, Ele, kocham go i wyszłabym za niego jeszcze sto razy.

– Rany, Gaia, zaraz dostanę cukrzycy. Przestań.

– Powiedziałaabyś kiedyś, że doprowadzę się do takiego stanu? – pyta zrezygnowana.

– W życiu! – skrećam się ze śmiechu.
– A gdzie ty teraz jesteś? – słyszę wokół niej jakieś krzyki.

– W Rosso.

Łezka kręci mi się w oku – nasza we-necka miejscówka na aperitif.

– Właśnie skończyłam sesję shoppingu z jedną francuską klientką – dyszy, jakby wróciła z pracy w kopalni. – A co słyhać w Rzymie?

– Tak naprawdę jestem na Stromboli...

– Słucham?

– Tak, dobrze słyszałaś. Jestem z... Leonardem – chowam głowę w ramiona w oczekiwaniu wybuchu, jak ktoś, kto właśnie odpalił bombę.

– Z kim?! Z panem „chciałbym, ale nie mogę”? – grzmi jak lwica gotowa rozszarpać wroga w obronie swego potomstwa.

– Jesteś trochę do tyłu... Wiele się wydarzyło od tamtego dnia.

– Szybko, opowiadaj! – zachęca.

– Miałam też wypadek...

– Jaki? Kiedy? Cholera, czemu nic o tym nie wiedziałam? – Teraz już wychodzi z siebie.

– Wszystko stało się tak szybko... Niedługo po twoim ślubie. Myślałam, że moja mama ci powiedziała, ale jak widać, ten jeden raz postanowiła siedzieć cicho, akurat kiedy nie było trzeba.

– Nie widziałam Betty od tamtego dnia – w jej głosie wyraźnie słyhać niepokój. – Ale już masz się dobrze, prawda?

– Teraz tak.

Opowiadam jej w skrócie o kłótni z Lucrezią – nie mam teraz zbytnej ochoty wracać do tego niemiłego epizodu – potem o wypadku i moim nowym życiu z Leonardem.

– Ty jesteś jednak zupełnie szalona... – stwierdza, wysłuchawszy mnie. – Miałaś

tyle do opowiedzenia i tak długo nie dzwoniłaś.

– Wybaczysz mi? Wiesz, czekałam, aż trochę się tego zbierze, żeby opowiedzieć ci wszystko razem.

Wybuchamy śmiechem, potem Gaia głęboko wzdycha.

– Więc jest wam razem dobrze? Bo jeśli on jeszcze raz cię skrzywdzi, przysięgam, że tam przyjadę i go zabiję.

– Nigdy w życiu nie byłam tak szczęśliwa.

I to prawda. Mam ochotę wykrzykiwać to całemu światu i szeptać na ucho Leonardowi. Ale jestem pewna, że on już o tym wie.

– Dobrze – wydaje się przekonana. – A powiedz, spotkałaś już na Stromboli Domenika i Stefana?

– Kogo? – wytrzeszczam oczy.

– No jak to, nie wiesz? Dolce i Gabbana... mają tam dom. Od czasu do czasu robią w nim imprezy i zapraszają całą śmietankę świata mody. Warto byłoby tam zajrzeć, hm?

Strasznie mi brakowało jej wieści z wielkiego świata. Domyślałam się, że odkąd wyszła za Belottiego, jej krąg znajomych jeszcze się poszerzył.

– Pewnie, skarbie. Dam ci znać – żartuję sobie. – Tylko że wiesz... wieczorami mamy z Leonardem co innego do roboty.

– Ach tak? Powiedz mi, Ele, jakie to macie obowiązki... – pyta figlarnie.

– Jakbym chciała, żebyś tu była! – śmieję się, zanurzając głowę w poduszkę.

– Kiedy tylko wrócę do Rzymu, musimy się zobaczyć.

– Pewnie – woła. Potem jej głos staje się słodki, niemal przymilny. – Bardzo za tobą tęskniłam, Ele.

– Ja za tobą też – spoglądałam instynktownie za okno, jakbym miała ją tam zobaczyć.

– Do usłyszenia wkrótce. Buziak.

– Całuję.

Gdyby teraz tu była, przytuliłabym ją tak, jak miałam ochotę od dawna. W cudowny sposób poczułam się dużo lżejsza i żałuję, że nie zdobyłam się na odwagę i nie zadzwoniłam wcześniej. W końcu ostatni brakujący element wraca na swoje miejsce.

Moje serce jest teraz lekkie.

Odnalazłam przyjaciółkę. Najlepszą przyjaciółkę.

Postanowiliśmy z Leonardem wspiąć się na wulkan po południu, by zdążyć na zachód słońca. To trochę ryzykowne, zważywszy że wciąż czuję się jak półinwalidka i że będziemy wracać niemal po

ciemku, ale on zapewnił, że warto. Około czwartej budzę się z regenerującej popołudniowej drzemki. Spaliśmy godzinę, żeby odzyskać siły, a teraz słyszę już, jak on krząta się w kuchni. Przeciagam się i zaczynam grzebać w szafie w poszukiwaniu ubrania bardziej odpowiedniego na tę wyprawę. Już czuję się małą podróżniczką... ja, która na górskiej wycieczce byłam ostatnio w dzieciństwie. Wkładam szorty i podkoszulek, po czym siadam na łóżku, żeby wciągnąć sportowe skarpetki do pół łydki i buty trekkingowe (o których pomyślał Leonardo). Przeczesuję ręką włosy i związuję je w ogon. Przewiązuję w pasie swoją starą bluzę adidasa i wychodzę, nawet nie przeglądając się w lustrze. Za to lubię ubrania sportowe: nie budzą oczekiwań i nie zaskakują. Spełniają swoje zadanie i koniec.

W kuchni zastaję Leonarda w białej koszulce, bermudach z licznymi kieszeniami i butach trekkingowych. Przygotowuje dwa plecaki, jeden dla siebie i drugi, mniejszy, dla mnie. Jest odwrócony plecami i nie mogę nie zauważyć, jak świetnie spodnie układają mu się na pupie. Obejmuję go od tyłu i zawieszam na nim całym ciężarem.

– Hej! Też się cieszę, że cię widzę. Jest świeżo zaparzona kawa, jeśli chcesz.

Odrywam się od niego i idę nalać sobie pełną filiżankę w nadziei, że wyrwie mnie z odrętwienia. Potem pomagam mu w przygotowaniach. Zauważam dwa teleskopowe kijki do trekkingu oparte o stół.

– A to? – pytam.

– To dla ciebie, dzięki nim nie będziesz zbytnio obciążać nogi – bierze jeden i wkłada mi go do ręki. –

Sprawdźmy długość – odkręca je do ziemi, klękając u mych stóp. – Proszę, na metr dwadzieścia jest w sam raz.

– Ledwie uwolniłam się od kul, a teraz wciskasz mi to coś – opieram się, spoglądając na nie sceptycznie. – Myślę, że dam radę bez.

– Nie twierdzę, że nie, ale przy podejściu mogą się przydać. Używają ich nawet doświadczeni przewodnicy.

Wstaje, przesuwając dłonią po moim lewym biodrze, po czym całuje mnie w kark.

– Ty też ich używasz? – pytam, a jego pocałunek budzi moje wciąż rozespiane ciało.

– Nie, ja muszę mieć wolne ręce – teraz wędrują na moje piersi.

– Robi się ciekawie... – odpowiadam szeptem, po czym podnoszę ramiona i oplatom jego szyję, delektując się

dotykami brody na swojej skórze. Opi-
eram się o niego, aż czuję jego męskość
na swoich plecach.

– Wyglądasz sexy w tym górskim stro-
ju – szepcze mi na ucho, a językiem
drażni moją szyję.

O nie, tylko nie szyja! Kapituluję
bezwarunkowo za każdym razem, gdy
mnie tam całuje, i on dobrze o tym wie.
Następnie jego dłoń przejeżdża pod moje
szorty, a potem pod materiał bielizny, ku
mojemu wilgotnemu ciału.

– Mmm... to miłe, że zawsze jesteś na
mnie gotowa – szepcze z diabolicznym
uśmiechem, który odbija się w lustrze na
ścianie.

Uśmiecham się również.

– Tak na mnie działasz. Co mam
zrobić?

Chwytam jego dłoń i odsuwam od swego ciała, potem odwracam się gwałtownie i całuję go zachłannie.

On otwiera usta, by przyjąć mój język, ale nagle odrywa się ode mnie i zmusza, bym przestała.

– Wystarczy.

– Nie masz chyba zamiaru znowu mnie torturować? – prychem.

– Nie – śmieje się. – Ale lepiej oszczędzać siły... Nie chciałbym, żebyś zemdliała na szlaku z powodu spadku ciśnienia.

– Za kogo mnie masz? Nie jestem takim mięczakiem! – burczę, wymierzając mu lekki cios w klatkę piersiową.

Uśmiecha się, podnosząc ręce w geście kapitulacji, potem całuje mnie i daje małego klapsa w pupę.

– No, dalej, bierz plecak i idziemy, mała, bo inaczej naprawdę nie zdążymy.

Wejście zajmie nam trzy godziny, dojdziemy akurat na zachód słońca.

Podnoszę dłoń do czoła, jawnie sobie z niego żartując, i zarzucam plecak na plecy.

– Rozkaz, szefie!

Ruszamy w drogę przed piątą, kiedy jest jeszcze bardzo gorąco. Pozostawiamy za sobą miasteczko i wchodzimy na bity trakt, która zaraz za pierwszym zakrętem rzuca mi wyzwanie w postaci podejścia mogącego przyprawić o kołatanie serca. Ciekawe, czy dam radę...

– Nieźle się zaczyna – komentuję, nie ukrywając zaniepokojenia.

– Pierwszy odcinek jest najgorszy, ale potem robi się bardziej płasko – zapewnia, odpinając przytroczone do plecaka kijki. Podaje mi je, wysunąwszy

najpierw na odpowiednią długość. – Masz, pomagaj sobie nimi.

Muszę przyznać, że Leonardo miał rację – dzięki kijkom podejście okazuje się łatwiejsze. Spoglądam w górę, w stronę szczytu Stromboli, i strużka zimnego potu spływa mi po plecach. Jestem pewna, że nie dam rady się tam wspiąć – noga poboлева mnie co jakiś czas, a poza tym jestem zupełnie nie w formie. Ale nie chcę o tym myśleć i zbieram siły, by iść dalej, bo tak naprawdę tego właśnie pragnęłam, od kiedy wylądowałam na tej wyspie – zobaczyć z bliska krater wulkanu.

Po kilkuset metrach dróżka staje się ścieżką i można łatwo się potknąć o jakiś kamień. Mam wrażenie, że idę z pielgrzymką do świątyni jakiejś czczonej od tysiącleci bogini. W miarę jak wchodzimy, zapach powietrza, coraz mocniej

prześlągniętego dymem i parą, staje się niemal mistyczny.

„Dalej, Eleno, nie wymiękaj!”, powtarzam w myślach i nakazuję sobie nie spoglądać za siebie. Leonardo idzie z przodu, prowadzi pewnym krokiem i co dwie minuty się odwraca, żeby sprawdzić, czy wciąż podążam za nim cała i zdrowa.

– Wszystko w porządku? – pyta w pewnej chwili, zauważywszy, że zostałam kilka metrów z tyłu. To wina kijków, jeden ugrzązł w ziemi i ledwo uniknęłam nieprzyjemnego w skutkach upadku.

– Tak, wszystko OK! – krzyczę, przyspieszając kroku.

Przygląda mi się, przechylając głowę w bok.

– Chcesz zrobić przerwę?

– Czuję się świetnie. Mam na koncie lata wspinaczek w Dolomitach – kłamię, rzucając mu wyzywające spojrzenie.

Tak naprawdę byłam na dwóch wycieczkach górskich z ojcem, jeszcze jako nastolatka. Ale to były raczej spacerki niż wspinaczki.

– Próbujesz mi zaimponować? – pyta drwiąco.

– A co, udało mi się?

– Nie, ani trochę – odpowiada oschle.

– Oszczędzaj siły, przydadzą ci się. Jeszcze długa droga przed nami!

Pokazuję mu język, a on wybucha śmiechem.

Nie wiem dlaczego, ale po zadyszce na pierwszym podejściu teraz czuję, że mam wystarczająco energii, by wspiąć się na Mount Everest. To chyba wpływ Leonarda – kiedy jestem z nim, zapominam o zmęczeniu, o bólu fizycznym

i wszystko wydaje mi się fantastyczną przygodą.

W połowie drogi robimy postój, by się posilić i napić. Siadamy na gładkim głazie nagrzanym od słońca.

Wyciągam z jego plecaka pudełko z tartą owocową, którą zrobiłam dziś rano.

– Zobaczymy, jak wyszła – mówi, przybierając poważną minę krytyka.

Wygląda na to, że czeka mnie egzamin.

Skorzystałam z przepisu mojej mamy. Latami asystowałam Betcie w przygotowywaniu tarty, lecz ani razu nie zanurzyłam w cieście choćby jednego palca. Dopiero teraz postanowiłam spróbować swoich sił.

Leonardo kosztuje, przeżuwa w spokoju, skoncentrowany, a ja z niepokojem czekam na jego sąd.

– Dobra! – wyrokuje, otwierając szeroko oczy i uśmiechając się z podziwem. – Może tylko minutę krócej powinna być w piecu – uściśla.

Oczywiście, musiał znaleźć jakąś niedoskonałość. Ale przynajmniej widać, że mówi szczerze.

Cieszę się tym małym zastrzykiem dumy i również próbuję.

– Mmm, nie jest taka, jak robi Betty, ale to godna imitacja.

– Przekaż jej gratulacje ode mnie – mówi, sięgając po kolejny kawałek.

– Tak sobie teraz myślę, że już dawno się do nich nie odzywałam... powinnam zadzwonić – rozmyślam na głos. – Zaczynam tęsknić, kiedy tak długo nie mam z rodzicami kontaktu. Chociaż potem wystarczy, że spędzę z nimi jeden dzień i od razu mam ochotę wziąć nogi za pas.

Uśmiecham się na myśl o epizodach z naszego życia rodzinnego.

Leonardo przygląda mi się, mrużąc oczy.

– Domyślam się, że twoi rodzice nienawidzą mnie za to, że cię porwałem. Zależało im, żeby mieć cię przy sobie w Wenecji, prawda?

– To nie ty mnie porwałeś – uściślam.
– To ja postanowiłam pojechać z tobą.

– Racja.

– I jestem zadowolona z tej decyzji – szepczę, muskając jego wargi w pocałunku.

Potem zrywam się na nogi i przeciągam się.

– Ruszamy dalej? Już wypoczęłam!

– Świetnie... Idziemy więc w górę, tędy – wstaje za mną i wskazuje odgałęzienie ścieżki kawałek przed nami. – Ostrzegam, będzie wiało.

Wkładam jaskrawożółtą wiatrówkę, podwijam rękawy i ruszam za Leonardem, trzymając go mocno za rękę. Przez chwilę patrzę w dół, w stronę miasteczka, przyglądam się domom – przypominają małe białe kostki rozrzucone na czarnej ziemi. Nie wiem, na jakiej jesteśmy wysokości, ale trochę kręci mi się w głowie, a powietrze staje się cięższe, przesycone kłującym wiatrem. Ale nie narzekam, bo widzę, że zbliżamy się do celu; muszę tylko dobrze rozłożyć siły.

Słońce tymczasem powoli zanurza się w morzu. Widok zachodu stąd, z góry, to coś niezwykłego, rewia kolorów, które wypełniają oczy.

Docieramy już do szczytu, kiedy Leonardo przystaje na niewielkim wzniesieniu, za którym otwiera się urwisko schodzące wprost do morza.

Cofam się o kilka kroków, czując, jak drżą mi nogi. Zaczynają się. Zawroty głowy.

– Podejdz bliżej, trzymam cię – łagodnie bierze mnie za rękę, a ja chwytam się ufnie jego ramienia.

– Spójrz – wskazuje palcem. – Sciarra del Fuoco.

To stroma, szeroka ściana z popiołu wulkanicznego, po której spływa wydobywająca się z krateru lawa.

– Niesamowicie stąd wygląda – z trudem łapię oddech.

Przypomina język boga Wulkana, po którym zjeżdżają żarzące się bloki lawy toczące się w dół, by na koniec rzucić się w morze pośród gęstych kłębow pary i obłoków popiołu. Nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego.

Zapada mrok, a im bardziej ciemnieje niebo, tym żywsza staje się czerwień

lawy. Gdy docieramy do jednego z aktywnych odgałęzień krateru, nogi uginają się pode mną. Zupełnie jakbym spoglądała do wnętrza ziemi – czuję w środku pustkę, paniczny strach, który wstrząsa ciałem i umysłem. Nagle rozlega się głuchy odgłos, podobny do grzmotu. Ziemia drży i fontanna ognia wystrzeliwuje w górę, po czym spada, rozsiewając deszcz rozżarzonych lapilli. Ten widok oszałamia i odbiera mowę. Ociekam potem, ale jestem w euforii i całkowitym zachwycie. Energia, która wydobywa się z ziemi, promieniuje na moje ciało i przenika pod skórę, od nóg do głowy. Odkładam na ziemię kijki i plecak, zdejmuję kurtkę. Przyglądam się Leonardowi, który stoi kilka kroków ode mnie, z nagim tarsem i koszulką przewieszoną niby szalik przez szyję. Patrzy na ogień, następnie na horyzont,

a czerwona luna odbija się w jego oczach. Wydaje się zatopiony w swoich myślach. Nagle, może czując moje spojrzenie, odwraca się w moją stronę i jakby przywołuje mnie wzrokiem. Zbliżam się do niego, a on obejmuje mnie od tyłu. Przez długie minuty oddajemy się kontemplacji, urzeczeni niepowtarzalnym widowiskiem. W tej chwili nie potrzebujemy słów.

W pewnym momencie w mojej głowie pojawia się wizja, od której nie potrafię się uwolnić. Chcę podzielić się nią z Leonardem:

– Zupełnie jakbyśmy patrzyli w głąb rany, w której bije serce ziemi.

Leonardo przytula mnie jeszcze mocniej. Energia ziemi wydostaje się przez wulkan i miesza się z energią naszych ciał, potęgując ją coraz bardziej. Zaczynam płonąć w środku, gdy Leonardo

przejeżdża językiem po mojej szyi, najpierw powoli i namiętnie, potem coraz gwałtowniej. Trzymam się jego ramion i osuwam po jego nagiej, śliskiej klatce piersiowej.

– Chcę się kochać tutaj, obok serca ziemi – mówi szeptem, kłusając płatek mojego ucha.

Jego głos jest niczym pomruk mieszający się z hukiem wulkanu.

Zamykam oczy, ciepłe dreszcze spływają mi po plecach i zagnieżdżają się natychmiast między nogami. To energia wulkanu, który jest przed nami. Szukam męskości Leonarda i wyczuwam ją przez spodenki, już twardą i niecierpliwą.

Jedna z jego dłoni zjeżdża po moim dekolcie, pieszcząc mnie pomału, a druga wślizguje się pod szorty. Palce odnajdują moją łechtaczkę i zaczynają ją drażnić. Tymczasem jego usta zanurzają

się w zagłębieniu między szyją a ramieniem, ssąc to miejsce niczym świeży owoc.

Potem Leonardo obraca mnie i obejmuje dłońmi moją twarz. Jego ciemne oczy wpatrują się w moje, płoną pożądaniem i czymś bardziej tajemniczym, prastarym – czymś, bez czego teraz nie umiem się już obejść.

– Nie potrafię ci się oprzeć – mówi, zsuwając ramiączko mojego podkoszulka.

– Więc nie próbuj – odpowiadam, ściągając go całkiem. Stoję naga od pasa w górę, pieszczona ciepłym powietrzem, dolatującym od krateru i od Leonarda.

On rozpuszcza mi włosy i zanurza w nich palce, masując moją głowę. Kształtuje moje myśli, tak jak jego palce kształtują ciasto, uwalniając we mnie

elektryzujące uczucie, które od brzucha wędruje aż do ust.

Jego palce zjeżdżają teraz po moim karku i ciągną mnie za włosy, zmuszając do odchylenia głowy w tył. Moje gardło jest nagie i odkryte, wystawione na ugryzienia. Wzdycham głośno, kiedy jego zęby dotykają mojego ciała, a język przejeżdża po szyi. Potem wsuwa się między moje wilgotne wargi. Ten pocałunek jest tak cielesny, gwałtowny, że wstrząsa zmysłami. Leonardo przytrzymuje w dłoniach moją głowę, jakby nie chciał pozwolić, bym uciekła, a ja głaszczę jego pośladki i przyciągam jego biodra do swoich, by poczuć jego pożądanie.

Kładę się na ziemi i przyjmuję go między nogami, a on opiera się na mnie swoją umięśnioną, spoconą piersią. Ciemna ziemia drapie moje plecy, parzy, drży i promieniuje wibracją, która

rozbrzmiewa we mnie niczym w pudle rezonansowym. Leonardo chwyta mnie w talii, przesuwa dłonie aż do moich piersi i ściska je zapamiętałe. W głowie mam niesamowitą wręcz pustkę, owłada mną upajający zapach, jego zapach zmieszany z wonią wulkanu, ambra połączona z kadzidłem. On obejmuje wargami mój sutek i ssie go umiejętnie, lize i gryzie niemal do bólu. Jęczę przy każdym ruchu jego rozszalałego języka. Widzę go, słyszę. Pragnę całą sobą.

Nie odrywając wzroku od moich oczu, odpina mi szorty i zsuwa je, potem przejeżdża dłońmi po moich nogach, aż do pachwin. Okrąża językiem mój pępek i pełźnie w dół niczym wąż. Gryzie materiał mojej bielizny i niczym wygłodniałe zwierzę zrywa ją ze mnie. Czuję, jak jego zęby zatapiają się w moim płonącym ciele, a jego język wślizguje się w moją

wagę, już pulsującą z pożądania. Zanurzam ręce w jego włosach i targam nimi bezlitośnie, by wyładować ten rozrywający ładunek rozkoszy. Jego dłonie ściskają mocno moje uda, jakby chciały zrobić mi krzywdę, a potem wsuwają się pomiędzy nie. Pewne, mocne palce dopełniają miękkiego, wilgotnego doznania, którym obdarza mnie jego język, malując moją rozkosz tysiącem odcieni.

Potem Leonardo wynurza się znowu, zsuwa spodnie, nie ściągając ich jednak do końca, uwalnia swoją erekcję i pocięra nią o moje łono, które natychmiast się otwiera, by go przyjąć. Już samo pragnienie go jest rozkoszą.

Leonardo wchodzi we mnie, zagłębia się w moim ciele z ochrypłym rykiem. Z ziemi dobiega grzmot, a niebo jaśnieje płomieniem. Stromboli buzuje, ale ja się

nie boję, wręcz przeciwnie – czuję teraz płonący we mnie ogień. Potężne ładunki adrenaliny płyną w moich żyłach. Jestem u szczytu podniecenia.

– Dalej, Eleno, chcę cię poczuć – szepcze.

Wydaje z siebie jeszcze jedno westchnienie i wykonuje głębokie pchnięcie, a po nim kolejne, dopóki nie zagubię się całkowicie. Zaczynam drzeć jak ziemia pode mną. Orgazm podnosi się z mego wnętrza, nieokiełznany, i oszałamia wszystkie moje zmysły, płonąc jak potok lawy.

Leonardo nie przerywa swoich ruchów, trzymając mnie mocno za biodra i ściskając moje pośladki. Dochodzi razem ze mną, już, teraz. Pragniemy siebie tak bardzo, z siłą, której jeszcze dotąd nie doświadczyliśmy i która mnie niemal przeraża.

Całuje mnie, spocony, zdyszany.

– Kocham cię, Eleno.

Potem, pozostając wciąż we mnie, osuwa się na moją pierś, w moje ramiona. Nie mam siły otworzyć oczu ani ruszyć ustami, ale z głębi mego ciała wydobywa się szept.

– Kocham cię, Leonardo.

W całym swoim życiu niczego nie byłam bardziej pewna.

Leżymy tak, wtuleni w siebie. Nie jesteśmy już we dwoje – nasze ciała i dusze stopiły się ze sobą i otaczającym światem, stały się wibrującą energią. A nasze serca biją jednym rytmem, razem z sercem ziemi.

12

– Może już czas wyjść? – proponuje Leonardo, spoglądając na białe, pomarszczone od wody wnętrza swoich dłoni.

Siedzimy w niej już od ponad godziny i praktycznie rozpuściliśmy się w objęciach morza, które może nie jest bardzo ciepłe, ale i tak nie sposób mu się oprzeć. Jest początek czerwca, pogoda nas rozpieszcza, a ja nie chciałabym być w żadnym innym miejscu na świecie. Leonardo unosi mnie, trzymając w talii, i odciska usta na moich plecach. Potem klepie mnie lekko w pupę i razem płyniemy raz jeszcze na spotkanie fal.

On porusza się zwinnie, ruchy jego ramion są potężne i precyzyjne, a ja z trudem za nim nadążam, płynąc moim improwizowanym stylem. W takich chwilach żałuję, że nie nauczyłam się lepiej pływać. Woda jest jednak żywiołem, w którym już od dziecka nie czułam się zbyt pewnie. Mimo że w kryształicznym morzu doskonale widać ciemne dno, zanurzenie się w nim i tak budzi we mnie pewien niepokój. I rzeczywiście, w jednym z powtarzających się koszmarów z czasów, gdy mieszkałam w Wenecji, wpadałam do kanału i tonęłam w jego ciemnych odmetach. To mało prawdopodobny scenariusz, biorąc pod uwagę, że w wodzie o głębokości niewiele ponad metr nie utopiłoby się nawet dziecko bez rękawków do pływania... lecz cóż, jak wytłumaczyć to podświadomości?

Przy Leonardzie jednak nie boję się niczego, a kąpiele w morzu stały się dla mnie zastrzykiem energii dla umysłu i ciała.

Wychodzimy na plażę i kładziemy się na matach z trzciny, by wyschnąć.

– To miejsce jest fantastyczne – wykrzykuję, ściągając gumkę z mokrych włosów. – I jesteśmy tu całkiem sami.

Ten odcinek wybrzeża, mimo że znajduje się w pobliżu zabudowań, jest surowy i dziki. Jego nietknięte piękno przywodzi na myśl coś pradawnego.

– Tak, jest jeszcze niewielu turystów – zauważa, przesuwając dłonią po wilgotnych włosach i brodzie. – A mieszkańcy Stromboli rzadko schodzą na plażę. Wiesz, że wielu z nich nawet nie umie pływać? Dziwne to u wyspiarzy, prawda?

Nachylałam się nad nim i wytrzępuję włosy, zraszając go deszczem malutkich kropelek.

– A ciebie kto nauczył tak dobrze pływać?

– Ojciec. Woda była jego żywiołem, jego środowiskiem naturalnym. Kiedy łowił jeżowce, potrafił nurkować na nieprawdopodobne głębokości, wstrzymując oddech – tęskny uśmiech rysuje się w kącikach jego ust. – To jemu zawdzięczam swój pierwszy kontakt z wodą. Pamiętam, jakby to było dziś... Wziął mnie ze sobą i wrzucił do morza w miejscu, gdzie nie dotykało się dna. Miałem cztery lata – na środku jego czoła pojawia się zmarszczka. – On był przy mnie, gotów do interwencji, ale tylko obserwował, jak się miotam, aż w końcu sam znalazłem sposób, żeby utrzymać się na powierzchni. „W morzu,

tak jak w życiu, możesz liczyć tylko na siebie”, powtarzał mi często. I tę naukę zapamiętałem na zawsze.

– Ale czasem najlepszą rzeczą, jaką można zrobić, jest przyjęcie pomocy od innych – zauważam.

Przygląda mi się uważnie.

– Wiem, ale tego wciąż trudno mi się nauczyć.

Głaszczę go po mokrej brodzie. To prawda – Leonardo jest przyzwyczajony do radzenia sobie samodzielnie i opiekowania się innymi, ale z trudem przychodzi mu oddać się w czyjeś ręce, pozwolić, by to inni zrobili coś dla niego. Kto wie, czy kiedyś się przełamie. To moje wyzwanie: nauczyć go ufać ludziom i odkładać dumę na bok.

Podnoszę wzrok, pozwalając mu zgubić się w czystym błękitnie nieba, i wzdycham. Jestem szczęśliwa,

chciałabym, by to wszystko trwało wiecznie. Nie myślę już o pracy, o Paoli, o Rzymie – obchodzi mnie tylko tu i teraz. Bo on jest ze mną.

W trakcie tego naszego *dolce far niente* słońce, choć mocno przygrzewa, jest pieszczotą na skórze, morska bryza zaś – balsamem.

Leonardo leży teraz na boku. Jedną ręką podpira głowę, drugą zapisuje coś w swoim małym, liniowanym notatniku kulinarnym, który, wypełniony niemożliwymi do rozszyfrowania symbolami, przypomina stary rękopis alchemika. Kiedy w głowie pojawiają mu się nowe pomysły, skupia się na nich całkowicie i nie sposób wyciągnąć go z jego świata. Ale nawet z tą miną prymusa nie przestaje być sexy. Mam ochotę zanurzyć twarz w tym umięśnionym torsie, który prezentuje przede mną bezczelnie.

– Dobrze wychodzą te ilustracje – odzywa się w pewnej chwili, odkładając pióro.

– Tak, w kolorze są dużo bardziej sugestywne.

Zakładam okulary przeciwsłoneczne, opieram się łokciami o matę i odchyłam głowę do tyłu.

– Myślałam, że wyszłam z wprawy z akwarelą, a tymczasem zadziwiam sama siebie.

– Wiesz co? – muska palcem czubek mojego nosa. – Strasznie mi się podoba, że zaczynasz się pasjonować kuchnią.

Zbliżam się do niego i całuję go w kącik ust.

– Ale uważaj, mistrzu, niedługo mogę cię prześcignąć.

Uśmiecha się kpiąco.

– Niech ci się nie przewróci w głowie – mówi, wsuwając język w moje usta.

Jego głębokie pocałunki potrafią rozpalić mnie w jednej chwili. Nie umiem się im oprzeć.

– Jutro chcę cię nauczyć nowego dania – oświadcza z zapalem, oderwawszy się od moich ust. – Ale najpierw pójdziemy na skały nazrywać kocanek.

– A co to są kocanki? – pytam tonem ciekawej uczennicy.

– To dzikie kwiaty o złotożółtym kolorze, typowe dla wysp Południa – wyjaśnia. – Zrywa się i suszy ich gałązki. Są idealne do przyprawienia kurczaka, risotta i niektórych makaronów. Ich aromat to coś pomiędzy curry a lukrecją.

– Brzmi dobrze – uznaję, wyobrażając sobie smak i myślę o moich ukochanych, nieodłącznych pałeczkach lukrecyjnych. Nie jadłam ich, odkąd tu przyjechałam. – Umiesz rozpoznawać dzikie zioła?

– Oczywiście. To jedna z pierwszych rzeczy, których trzeba się nauczyć, jeśli chce się zostać szefem kuchni. Żeby dobrze gotować, trzeba poznać wszystkie składniki, nigdy nie tracąc kontaktu z ziemią – tłumaczy, podnosząc garść czarnego piasku.

Kiwam głową zachwycona. Taki właśnie jest Leonardo – żyje w symbiozie z otaczającym światem, w harmonii, której ja, niezdarna i prawie zawsze zagubiona w towarzystwie innych ludzi, nigdy nie przestałam mu zazdrościć.

– W ten sposób spalisz sobie plecy – dodaje po chwili, spoglądając na mnie.

– Miałam nadzieję, że jeszcze mi je nasmarujesz – uśmiecham się psotnie, jak kotka.

– Jeśli tak stawiasz sprawę... – mierzy mnie spojrzeniem.

Śmieję się do niego, odwracam i kładę na brzuchu. On grzebie w torbie i wyjmuje tubkę kremu trzydziestki. Nawet po całych dniach spędzonych nad morzem moja bielutka skóra wymaga wysokiego filtra.

Leonardo przykłęka obok mnie, odgarnia mi włosy, odwiązuje bikini i powoli, zdecydowanie naciskając palcami, rozprowadza krem. Kiedy mnie dotyka, jego ręce czynią cuda, każdy mięsień mojego ciała napina się i zaraz potem rozluźnia, napełniając mnie błogim uczuciem.

– Leo, fantastycznie to robisz – mruczę, wyciągając ręce wzdłuż ciała.

– Podoba ci się?

– Bardzo.

Wyciska jeszcze trochę kremu i zaczyna rozsmarowywać go na moich nogach. Począwszy od kostek, zmysłowymi ruchami dociera aż do ud.

Chciałabym, żeby nigdy nie przestawał, lecz w pewnym momencie jego ręce zamierają.

– O Boże... – słyszę, jak cedzi przez zęby. – Co ona do cholery tu robi?

– Jaka ona? – podnoszę głowę, wyrывая się z odurzenia.

Moim oczom ukazuje się stojąca jakieś dziesięć metrów od nas Lucrezia. Natychmiast przychodzi mi na myśl, że przypomina Meduzę, która wyłoniła się z piasku, dumna i nieruchoma. Ma na sobie białą koronkową sukienkę plażową powyżej kolana. Jej skóra jest brązowa, rozpuszczone włosy do ramion poruszają się na wietrze niczym żywe węże, a z głębokich, ciemnych oczu bije wściekłość, nienawiść, zdumienie. Stoi jak słup, z miną kogoś, kto bierze udział w nieoczekiwanym i haniebnym

widowisku. Gdy tylko spostrzega, że patrzymy na nią, cofa się.

– Lucrezia! – Leonardo zrywa się na nogi i robi krok w jej kierunku. Ja w pośpiechu zawiązuję bikini na plecach i siadam. Ona cofa się znowu, potem odwraca się i ucieka, wyrzucając z siebie jakieś niezrozumiałe słowa.

– Poczekaj! – krzyczy za nią Leonardo, ale Lucrezia biegnie, wznosząc tumany piasku niczym spłoszony koń.

Wstaję i podchodzę do Leonarda, szukając jego wzroku. Ja jestem skonsternowana, lecz on... on jest zupełnie wstrząśnięty.

– Nie wiem, po co tu przyjechała, ale nie spodziewała się niestety, że znajdzie mnie tu z tobą – tłumaczy, żywo gestykulując.

– Teraz musisz za nią biec – ponaglam go bez zastanowienia.

Chwyta mnie za ramiona i patrzy mi w oczy.

– Ty w tym czasie idź do domu. Wrócę do ciebie, jak tylko ją znajdę. To nie potrwa długo, ale muszę się upewnić, że wszystko z nią w porządku.

– OK, w razie problemów zadzwoń do mnie – w moim głosie pobrzmiwa niepokój.

Nie wiem dlaczego, ale nagle ogarnęło mnie jakieś smutne przeczucie.

– Nie martw się – całuje mnie w czoło i szybkim krokiem odchodzi w stronę, gdzie zniknęła Lucrezia.

Z niepokojem w sercu zbieram nasze rzeczy, wkładam pareo na wciąż mokry kostium i ruszam w kierunku domu.

Pokonywałam tę drogę dziesiątki razy, znam ją już doskonale, ale teraz mam wrażenie, że wcale jej nie pamiętam. Idę nieznośnie powoli, jakby nogi odmawiały

mi posłuszeństwa, i zastanawiam się, czego mogę się spodziewać po tym nagłym pojawieniu się Lucrezii. Przytłaczają mnie emocje i nie potrafię powiedzieć, czy jestem bardziej zdenerwowana, czy przestraszona. W mojej głowie rozbrzmiewa jedno nieustępliwe pytanie: dlaczego wróciła?

Im dłużej nad tym myślę, tym bardziej odpowiedź wydaje mi się oczywista i nieodwołalna: przyjechała po niego, już zawsze będzie to robić. Nie pozwoli, by rozpadło się jej małżeństwo. A ja nic nie będę mogła na to poradzić.

Spoglądam w kierunku wulkanu, który właśnie w tej chwili wypuścił wspaniałą chmurę pyłu. Opuściwszy z powrotem wzrok, dostrzegam w oddali jakąś postać – białobrązową plamę, która odcina się ponuro na szczycie nadmorskiej skały.

To Lucrezia. Patrzy w dół, stojąc niebezpiecznie blisko krawędzi.

Mierzę wzrokiem wysokość – urwisko ma z pięćdziesiąt metrów. Zderzenie z powierzchnią wody nie powinno być śmiertelne... chyba że ona nie umie pływać. Dreszcz przerażenia przebiega mi wzdłuż kręgosłupa. To jasne, co chce zrobić. Może powinnam zadzwonić po Leonarda, ale nie wiem, gdzie on jest... Nie, nie ma czasu. Sama muszę ją zatrzymać, nim będzie za późno. Przyspieszam kroku i wspinam się na skałę. W pośpiechu potykam się o kamień i upadam, ostry ból przeszywa świeżo wyleczoną nogę, ale nakazuję sobie o tym nie myśleć. Wstaję i ruszam dalej boso, pozbywszy się torby i skórzanych japonek, które teraz toczą się w dół z głuchym odgłosem.

Lucrezia jeszcze mnie nie zauważyła, ale ja ją widzę. Jest coraz bliżej, dostrzegam ją już bardzo wyraźnie. Próbuję zawołać z tego miejsca:

– Lucrezia!

Nie słyszy mnie. Wykrzykuję jej imię jeszcze raz, tym razem głośniej.

I wtedy się odwraca, ale nie mówi nic. Na jej policzkach widać ślady łez, a w jej oczach maluje się głęboki, bijący z wewnątrz ból. Drży tak bardzo, że wydaje się, iż w każdej chwili może rozpaść się na kawałki.

– Lucrezio... Leonardo cię szuka – mówię jednym tchem, najbardziej uspokajającym tonem, na jaki mnie stać.

– Odejdź stąd! Zostaw mnie w spokoju – woła zdławionym głosem.

Nie panuje nad sobą, jest jak zranione zwierzę, gotowa na wszystko. Przez kilka chwil stoję jak skamieniała, instynkt

podpowiada mi, by złapać ją i odciągnąć od tej przepaści, ale jej rozkaz jest niczym zasieki z drutu kolczastego. Boję się, że zachęciłabym ją do skoku, gdybym odważyła się podejść choć trochę bliżej.

– Odsuń się stamtąd, proszę. Porozmawiajmy – próbuję.

– A o czym miałybyśmy rozmawiać? Wszystko jest zupełnie jasne! Pomyśleć, że przyjechałam prosić go, żeby wrócił do domu, żebyśmy zaczęli od nowa... byłam idiotką, niech mnie diabli! – Piorunuje mnie spojrzeniem. – I ciebie niech wezmą diabli. Szkoda, że nie zabił cię ten samochód!

– Przykro mi, że dowiedziałaś się w ten sposób, ale przysięgam, Leonardo chciał ci powiedzieć... – Moje słowa nie mają znaczenia, zdaję sobie z tego sprawę w chwili, gdy wychodzą z moich ust. Nie można powiedzieć nic, co

złagodziłoby tak straszny, wszechogarniający ból. To tylko daremna próba gry na zwłokę.

Lucrezia mówi dalej, zapamiętałe, niemal jak w obłędzie.

– Jestem teraz niczym. Moje życie nie ma już sensu, po co mi ono?

Jej głos rozdziera mi serce. Potem ona spogląda na mnie oczami, w których płonie szalona determinacja.

– I to wszystko wasza wina. Na zawsze będziecie mieli mnie na sumieniu!

Po tych słowach robi krok w kierunku krawędzi i wychyla się w pustkę. Ta chwila trwa całą wieczność.

– Lucrezia, nie! – stoję kilka metrów od niej, ale nie dość blisko, żeby ją złapać. – Nie rób tego! – krzyczę na całe gardło.

Ale na próżno. Jestem bezużyteczna. I winna. Lucrezia rzuca się przed siebie i znika mi z oczu poza krawędzią skały.

Podbiegam i spoglądam w dół. Z pulsującymi skrońmi i drżącymi nogami zaczynam badać wzrokiem fale, wykrzykując z całej siły jej imię. Modłę się, błagam niebios, by wypłynęła, by instynkt przeżycia okazał się silniejszy i wyniósł ją na powierzchnię, ale nie widzę jej. Przez moment opanowuje mnie myśl, by uciec stąd i pobiec po pomoc, ale sumienie krzyczy, że nie ma czasu – jestem na miejscu, muszę skoczyć, nie bacząc na mój cholerny strach przed wodą, nie bacząc na oblewający mnie zimny pot i skręcające trzewia mdłości. Morze z tego miejsca wydaje się niezmiernie odległe, jest ciemne, głębokie jak groźna, czyhająca otchłań, dokładnie tak jak w moich

najgorszych koszmarach. W ciągu kilku minut rajska sceneria przemieniła się w pejzaż apokaliptyczny. Nieważne, mówię sobie, muszę skoczyć. Śmiało, Eleno, nie czas na strach.

Robię głęboki wdech, potem krok do przodu i rzucam się w pustkę, która zdaje się nie mieć końca. Zapala się niebieskie światło, z początku odległe, potem coraz bliższe – to morze, któremu zmierzam na spotkanie. Prostuję nogi, podnoszę ręce, zamykam oczy, wstrzymuję oddech i... w końcu jestem w wodzie.

Siła ciężkości ciągnie mnie teraz w dół, w głąb, otwieram natychmiast oczy, śmiertelnie przerażona na myśl o tym, co może zaraz znaleźć. Ten świat, tu na dole, jest ciemny i cichy, dno niemal czarne, a widoczność bardzo ograniczona. Znajduję się w otchłani, wystraszona, ale

i zdeterminowana, by uratować Lucrezję. Siła wody wypycha mnie w górę, ale przeciwstawiam się jej ruchami rąk i nóg. Na reszcie powietrza nurkuję jeszcze głębiej i obracam się dookoła, badając dno. Żadnego dźwięku, tylko bicie mojego serca.

Widzę kamienie, wodorosty, małe rybki wyglądające jak srebrne łuski. Czy to możliwe, żeby zniknęła? Wypływam powoli na powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza i nurkuję znowu. Muszę ją znaleźć, nie może być daleko. Opływam skałę i po chwili przede mną pojawia się biała plama – to ona, ogromna meduza, smukła i zabójcza. Wygląda na nieprzytomną.

Boże, proszę, spraw, żeby żyła!

Biorę ją pod pachy i jak najszybciej wyciągam na powierzchnię. Z trudem łapię powietrze, płuca mnie palą. Ona

pozostaje bez ruchu, bezwładna w moich ramionach. Odnoszę wrażenie, że ma połamane zębra. Muszę obchodzić się z nią delikatnie, a jednocześnie szybko wyciągnąć ją z wody.

Chwytam ją od tyłu, obejmując ramieniem, jak widziałam w wielu filmach. Potem zbieram wszystkie siły i próbuję dostać się na brzeg. Zadanie jest niezwykle trudne, bo ledwie umiem pływać. Fale bez przerwy odpychają mnie w tył, ale ja biję nogami jak szalona, aż czuję, że zaraz eksploduje mi serce.

Na szczęście za skałą otwiera się zatoczka z małą plażą. Płynę w jej stronę, starając się zachować spokój. Lucrezia jest lekka, wydaje się nie ważyć nic i moje mięśnie jeszcze się nie poddały. Po kilku minutach udaje mi się dotknąć stopami dna. Ciągnę ją za sobą i układam na piasku.

Oddech mi się urywa, ale przypadam natychmiast do jej zimnego ciała, by posłuchać, czy wciąż oddycha. Nic nie słyszę, musiała wypić dużo wody. Unoszę jej powieki i widzę tylko białka oczu. Ogarnia mnie strach. Biorę ją za rękę. Jej dłoń jest drobna i chuda. Przyciskam kciuk do jej nadgarstka. Czuję słaby puls. Dobrze. Jeśli serce bije, jest jeszcze nadzieja.

Odwagi, Eleno. Dasz radę. Musisz tylko przypomnieć sobie całą procedurę. Minęły całe lata, ale teraz musisz wrócić pamięcią do tamtego wykładu o pierwszej pomocy, którego znudzona słuchałaś w liceum. Powtarzam sobie w myślach kolejne punkty oddychania usta-usta i zaczynam.

Odchylić głowę – to pierwsza rzecz, którą należy zrobić. Pochyliam się nad Lucrezią, jedną rękę kładę na jej karku

i unoszę ją, a drugą popycham do tyłu jej czoło. Dwoma palcami zatykam jej nos, by zapobiec wydostawaniu się powietrza, biorę głęboki wdech, przyciskam usta do jej warg i wdmuchuję w nią powietrze. Podnoszę głowę, by sprawdzić, czy jej klatka piersiowa się uniesie. Cholera, żadnej reakcji!

– Elena! – odległy krzyk rozbrzmiewa ponad plażą. To głos Leonarda. Nareszcie.

Widzę go na górze, na szczycie skały.

– Leonardo! – wrzeszczę zrozpaczona, dając mu znak, żeby biegł do mnie.

Podczas gdy on schodzi w pośpiechu, ja jeszcze raz próbuję sztucznego oddychania, ale Lucrezia nie reaguje i wygląda na to, że teraz ustało nawet bicie serca.

Tymczasem Leonardo dopada do mnie. W rękę ma telefon i dzwoni po

pomoc. Zajęło mu to ledwie moment, albo przynajmniej tak mi się wydaje.

– Nie oddycha – jestem u kresu sił, w oczach mam łzy. – Proszę cię, spróbujmy masażu serca. Pomoc może przyjechać za późno.

Leonardo pochyła się nad Lucrezią i zaczyna sztuczne oddychanie. Wdmuchuje powietrze w jej usta, po czym ja opieram dłoń na jej mostku, dokładam drugą i zaczynam uciskać. Piętnaście razy i znów kolej Leonarda. Pompuje powietrze, a moje ręce szybko wykonują kolejne piętnaście lekkich ucisków.

Spoglądam na Leonarda, a on na mnie. Jest zagubiony, nigdy nie widziałam go w takim stanie. Ręce mu drżą, kiedy dotyka bezwładnego ciała Lucrezii, a jego matowe oczy szukają w moich odpowiedzi.

– Jeszcze – zachęcam.

Nie wiem, czy to może pomóc, ale nie mam pojęcia, co innego moglibyśmy zrobić.

Nie mogę patrzeć, jak blady i roztrzęsiony jest Leonardo. Choć czuję, że opuszczają mnie siły, choć mam ochotę się poddać i wybuchnąć płaczem, muszę być silna, dla niego. Wytrzymaj, Lucrezio, powtarzam w myślach jak mantrę. Wytrzymaj.

I wtedy nadlatuje śmigłowiec Straży Przybrzeżnej, przywracając nam strzępek nadziei. Leonardo i ja unosimy wzrok ku niebu. Kilka sekund po lądowaniu z kabiny wyskakuje dwóch ratowników. Biegną do nas z noszami. Wyjaśniamy im, co się stało, a oni doskakują do Lucrezii, przypinają ją do noszy, udzielając pierwszej pomocy i zabierają ją ze sobą. Do szpitala w Messynie.

Patrzymy, jak się oddalają – wyczerpani, nie jesteśmy w stanie nic powiedzieć ani zrobić. Leonardo stał się zimny i twardy jak skała. Muskam jego ramię i mam wrażenie, że dotykam posągu. Potem biorę go za rękę i ściskam mocno, przywracając jej trochę ciepła.

Jestem z tobą, kochanie. Nie zostawię cię.

śmigłowcem do szpitala. Tymczasowo przeprowadziliśmy się z Leonardem do ich wspólnego mieszkania z czasów, gdy byli razem. To on poprosił mnie, bym z nim pojechała, a ja od razu się zgodziłam. Co innego mogłam zrobić? Wrócić do Rzymu i zostawić go samego w tak trudnym momencie? Nigdy bym go nie opuściła, mimo że przebywanie tu, w ich mieszkaniu, tak bardzo mi ciąży.

Lucrezia żyje, lecz pozostaje na granicy tego i tamtego świata. W wyniku uderzenia o powierzchnię wody doznała obrzęku płuc i krwaka mózgu. W trakcie lotu śmigłowcem zapadła w śpiączkę i żaden lekarz nie jest w stanie obiecać, że z tego wyjdzie.

Leonardo kursuje między domem a szpitalem. Odchodzi od zmysłów, zagubiony w otchłani bólu, która odgradza go od wszystkiego i wszystkich i której

nawet ja nie potrafię przeskoczyć. Mówi mało i przez większość czasu siedzi sam, zadreńczając się myślami. Z jego twarzy wyczytuję, że czuje się odpowiedzialny za to, co się stało – nie może sobie wybaczyć tego, że zranił Lucrezię i pchnął ją do tak desperackiego czynu. Chciałabym go przytulić, uwolnić od niepokoju, ale nie wiem, jak to zrobić – każdą emocję ukrywa w sobie i przede wszystkim trzyma mnie na dystans. To dlatego się boję – jeśli oddali się ode mnie, mogę znowu go stracić. Ale muszę być silna, zapomnieć o wątpliwościach i głupim egoizmie, w który momentami popadam. Teraz mam inne priorytety – Leonardo potrzebuje schronienia, w którym znalazłby ucieczkę od siebie i swego bólu. Tym schronieniem muszę być ja.

Słyszę za sobą dźwięk otwieranych drzwi. Leonardo wrócił ze szpitala, błądy i sztywny jak woskowa figura. Ma zapadnięte policzki i przygnębioną minę. Odwracam się i spieszę mu naprzeciw.

– Co z Lucrezią? – pytam najłagodniejszym, najbardziej dyskretnym tonem, na jaki mnie stać.

To pytanie stało się już rytuałem, a odpowiedź codziennie jest taka sama.

– Bez zmian – na jego czole pojawia się rysa zatroskania. – Żadnej poprawy.

– A co mówią lekarze?

– To co zwykle – wzrusza ramionami. – Że może obudzić się za godzinę, ale równie dobrze za rok, za dziesięć lat albo wcale.

– Ale mówisz do niej, kiedy tam jesteś, prawda? Podobno w takich przypadkach dźwięk znajomego głosu może pomóc w wybudzeniu.

– Oczywiście że tak, Eleno – kiwa głową. – Mówię do niej, trzymam ją za rękę, ale mam wrażenie, że to na nic.

Jest zdenerwowany, sfrustrowany swoją bezsilnością.

– Nie myśl tak – chwytam go za ramiona i szukam jego spojrzenia. – Jestem pewna, że cię słyszy.

Leonardo marszczy brwi i wykrzywia wargi w gorzkim uśmiechu.

– Tak bardzo chciałbym mieć twoją wiarę. Ale teraz chce mi się tylko wyc. I nawet tego nie potrafię.

Próbuję zachować optymizm, powtarzam sobie, że wszystko się ułoży, ale mi też nie jest łatwo. Staram się dla niego.

– Musisz w to wierzyć, Leo, nie poddawaj się, daj jej poczuć, że chcesz, by wciąż tu była.

Patrzy na mnie niewzruszenie, jakby moje słowa przeleciały obok niego, nawet

go nie dotykając. Lęk całkiem go sparaliżował. Nagle głaszcze mnie po twarzy, a jego łagodne spojrzenie chwyta mnie wprost za serce.

Nie mówiąc nic, przytula się do mnie. I w tym uścisku czuję wreszcie całą wdzięczność, zmęczenie, potrzebę bliskości i – po raz pierwszy – zaufania. Leonardo opiera czoło o moje, a jego ciche łzy spływają po moich policzkach.

– Dziękuję za to, co zrobiłaś, za twoją odwagę. I dziękuję, że tu jesteś, za to, co nadal robisz. Ciężko być teraz przy mnie, wiem. Kiedy mówię o sobie, nie potrafię znaleźć odpowiednich słów, ale znasz mnie i...

– Ćśśś. Nic nie mów – szepczę, kładąc palec na jego ustach. – Nie musisz mi dziękować. Zrobiłam po prostu to, co należało zrobić. Nie mogłabym być nigdzie indziej niż przy tobie.

– Jesteś pierwszą osobą, której potrafię całkowicie zaufać. I wiem, że mogę na ciebie liczyć.

– Kocham cię. Bycie przy tobie to jedyny znany mi sposób, żeby to okazać.

Całuje mnie lekko w czoło. W pocałunku tym czuć cierpienie i wdzięczność. A potem powoli odrywa się ode mnie.

– Pójdę teraz do łóżka. Pewnie nie uda mi się usnąć, ale chciałbym chociaż spróbować odpocząć.

– Wystarczy ci to, co zjadłeś wcześniej? – pytam zaniepokojona. W ostatnich dniach to ja zajmowałam się obiadami i kolacjami, bo on całkowicie stracił chęć do gotowania. I wygląda na to, że również do jedzenia. – Jest też deser, jeśli masz ochotę.

– Wybacz, ale nie jestem już głodny – odpowiada, a jego głos przechodzi w szept.

Pozwalam mu iść, nie ma sensu nalegać. Budzi teraz we mnie nieskończoną czułość.

– Ale jeśli potem położysz się przy mnie, będzie mi bardzo miło.

– Posprzątam trochę w kuchni i przyjdę.

Patrzę, jak znika za drzwiami – jego szerokie, umięśnione plecy uginają się pod ciężarem bólu.

Każdy kąt tego mieszkania przypomina mi o Lucrezii – jej ubrania, płyty z muzyką klasyczną, etniczna biżuteria, nawet papierosy. Momentami wydaje mi się nawet, że czuję jej zapach i słyszę jej bezszelestne kroki. Ta obecność mnie niepokoi, lecz muszę sobie z tym

poradzić. W końcu to tak, jakbym naruszała jej przestrzeń – te wspomnienia, obrazy, chwile należą tylko do niej i Leonarda. W salonie nadal stoją zdjęcia z ich ślubu – są na nich tacy młodzi, on bez brody, za to z wąsami i włosami zaczesanymi do tyłu, ona z romantycznym kokiem i tymi oczami, z których bije zmysłowość i magia, choć są przesłonięte welonem.

Konieczność konfrontowania się każdego dnia z przeszłością, której nic chyba nie może wymazać, jest niezwykle bolesna, ale w tej chwili moje uczucia nie są najważniejsze.

Posprzątawszy szybko kuchnię – w przeciwieństwie do wielkich szefów kuchni nie umiem jeszcze gotować, nie brudząc wszystkiego wokół – dołączam do Leonarda w pokoju. Leży bez koszulki, z zamkniętymi oczami i dłońmi

pod głową. Jeszcze nie śpi, wyczuwam to po jego oddechu – klatka piersiowa unosi się i opada miarowo, a jego oczy wydają się poruszać pod powiekami.

Starając się nie hałasować, zdejmuję ubranie i odkładam je na krzesło. W majtkach i podkoszulku wchodzę do łóżka i układam się przy nim.

– Wreszcie jesteś – mówi szeptem, szukając dłonią mojego uda.

Odwracam się do niego i głaszczę delikatnie jego włosy.

– Jeśli przewrócisz się na brzuch, zrobię ci masaż.

– Byłoby świetnie – wzdycha. – Okropnie bolą mnie plecy – przyznaje i szybko zmienia pozycję.

– Wiem – przesuwam palcem po jego karku. – Całe napięcie skupiło się tutaj.

Kłękam, obejmując go nogami w talii, i zaczynam od masażu głowy, wsłuchując

się w rytm swojego oddechu. Rozszerzam palce i powolnymi, okrężnymi ruchami masuję skórę pod włosami, jak gdybym chciała uspokoić potok jego myśli. Czuję, że mi się poddaje. Kładę więc otwarte dłonie na czubku jego głowy, krzyżuję kciuki i uciskam lekko, licząc do trzech, po czym zwalням nacisk. Kontynuuję w ten sposób wzdłuż wyobrażonej linii biegnącej do granicy włosów. Leonardo pojękuje cicho, a jego mięśnie rozluźniają się. Oddaje się temu doznaniu, a ja się cieszę, że mogę sprawić, by poczuł się lepiej, choćby tylko na chwilę.

– Spróbuj się odprężyć, nie myśl o niczym – szepczę mu na ucho, a końcówkami palców czochram mu włosy. Chcę go uwolnić, sprawić, by na kilka minut zapomniał o chaosie, który go otacza.

Przesuwam dłonie na jego mocne ramiona i zaczynam pracować kciukami, naciskając i ugniatając jego ciało niczym glinę. Wędruję po jego plecach otwartymi dłońmi, potem też przedramionami, masuję najpierw lekko, potem coraz mocniej. Przejeżdżam na przemian w górę i w dół, a potem przechodzę do jego rąk. Moje dłonie tańczą i splatają się z jego dłońmi, budząc ogień namacalnej energii. Kocham tego mężczyznę i zrobię wszystko, by ująć choćby jeden gram z jego trosk.

Leonardo ściska delikatnie moje ręce.

– Tego mi było trzeba – mruczy z twarzą w poduszce.

Głaszczę go po plecach, zataczając duże koła, po czym układam się na boku, czekając, aż on odwróci się do mnie. Patrzy mi teraz w oczy. W tym spojrzeniu nie ma pożądania, lecz coś, co łączy nas

jeszcze mocniej, coś niewidocznego, co przepływa między nami i sprawia, że czujemy się jak atomy tej samej cząsteczki.

– Ten obraz jest piękny – zauważam w pewnej chwili, wskazując podbródkiem ścianę za jego plecami.

To *Zwiastowanie*, którego klimat przypomina obrazy prerafaelitów – któreś ze wspaniałych, onirycznych płócien Dantego Gabriela Rossettiego.

On odwraca lekko głowę, przygląda się przez chwilę obrazowi, po czym spogląda znowu na mnie, a na jego ustach maluje się uśmiech.

– Dostałem go od rodziców – wyjaśnia z nutą melancholii.

– Bardzo mi się podoba. Jest taki mistyczny – mówię zafascynowana.

Przytula mnie, czubkami palców głaszcząc moje ramię, jakby nad czymś się zastanawiał, i po chwili oświadcza:

– Chciałbym, żebyś wzięła go ze sobą, kiedy będziemy wracać do Rzymu.

– Naprawdę? – pytam z zakłopotaniem.

– Tak, Eleno – tuli mnie mocno w ramionach. – Powiesimy go w naszym domu.

To stwierdzenie, wypowiedziane w najbardziej naturalny sposób, pociąga za sobą całą serię konsekwencji, o których niemal boję się myśleć. Odganiem je lekkim ruchem głowy. Nie teraz, Eleno.

Leżymy złączeni niczym skorupki muszli, a potem zasypiamy, ukołysani muzyką swoich oddechów.

Kiedy Leonardo jest w szpitalu, ja siedzę w domu i maluję albo wychodzę na

zakupy na targ rybny i owocowy. Messyna to niezwykle ożywione miasto, w powietrzu unosi się chwytający niezmiennie za gardło zapach morza, a także coś dawnego, schyłkowego, w czym nie sposób się nie zatracić. Kilka razy wstąpiłam do katedry, i to nie tylko żeby spojrzeć na nią okiem restauratorki. Mimo że już dawno rozstałam się z wiarą, tu zaczęłam się modlić, by ten koszmar jak najszybciej się skończył, a także by Lucrezia żyła, szczęśliwsza niż dotychczas. Modłę się za nią, za Leonarda, za siebie.

Dziś od rana trudzę się nad ilustracją do książki kucharskiej – konkretnie do przepisu na penne po eolsku, które Leonardo wiele razy przygotowywał dla mnie na Stromboli.

Przez przeszklone drzwi wpada wspaniałe światło, idealne do malowania,

jednak brak mi natchnienia, pewnej ręki, farba wychodzi poza kontury, a kształty się rozmywają. Mam w głowie zbyt wiele myśli, a ponieważ on od wielu dni nie gotuje, mogę opierać się jedynie na niewyraźnym wspomnieniu dań, które wyszły spod jego ręki.

Odkładam pędzelek do szklanki z wodą i właśnie zbieram się do wyjścia, by zaczerpnąć świeżego powietrza, kiedy dzwoni mój telefon. To on.

– Tak, Leo? – odpowiadam.

– Eleno, mam wieści – wychwytyję w jego głosie cień ulgi, ale nie wiem, czego się spodziewać.

– Tak?

– Lucrezia się obudziła – teraz w jego głosie wibrują silne emocje.

Znowu się uśmiecha, wiem to, czuję, mimo że go nie widzę.

– Naprawdę?

– Tak, Eleno. Otworzyła oczy godzinę temu, ale chciałem porozmawiać z lekarzami, zanim do ciebie zadzwonię.

– Boże, bardzo się cieszę! – wołam uradowana i wzruszona. Czuję, jak urońiona mimowolnie łza spływa mi po policzku. – Jak się teraz czuje?

– Najgorsze już za nią, teraz ma się dobrze. Zostanę tu jeszcze trochę i wracam do domu. Zobaczymy się wieczorem.

– Dobrze, do wieczora.

Rozłączam się i uśmiecham. Czuję się lekka jak piórko. Nagle mam ochotę tańczyć.

W kolejnych dniach Leonardo się odradza. Nadal jeździ do szpitala i z powrotem, ale w zupełnie innym nastroju. Radość mnie ogarnia, kiedy widzę, jak wraca do żywych.

Wciąż wypytyję o zdrowie Lucrezii – wiem, że to dziwne, lecz chciałabym do niej pojechać. Nie śmiem jednak o to prosić.

Ale któregoś wieczoru Leonardo informuje mnie, że to ona chciałaby zobaczyć mnie.

– Pytała o ciebie, mówi, że chce z tobą porozmawiać. Co ty na to?

Z początku ta wiadomość wprawia mnie w zakłopotanie, lecz potem uświadamiam sobie, że nasze spotkanie jest nieuniknione i to był prawdziwy powód, dla którego czekałam tu, u boku Leonarda, przez tyle dni.

– Dobrze – odpowiadam. – Jutro pojedę z tobą do szpitala.

Ściany w poczekalni na oddziale intensywnej terapii są żółte, a zielone plastikowe krzeselka podniszczone i strasznie

niewygodne. Od kilku minut czekam, siedząc na jednym z nich, i już zaczęłam się pocić. Leonardo wszedł do pokoju, by zapowiedzieć moją wizytę. Strasznie się denerwuję na myśl o spotkaniu z Lucrezją. To prawda, uratowałam ją i modliłam się, by się wybudziła, a jednak teraz się boję – nie chcę więcej doświadczać skutków osaczającego jej duszę zła. Biorę ze stolika gazetę, którą ktoś tu zostawił – jest wczorajsza, ale przeglądam ją mimo wszystko, bardziej żeby zająć czymś umysł, niż naprawdę wczytywać się w artykuły. To nie działa. W mojej głowie powstał wir sprzecznych myśli, nad którymi nie potrafię zapanować. Czemu ona chce się ze mną widzieć? Po wielokroć zadaję sobie to pytanie, a odpowiedzi za każdym razem są coraz bardziej niepokojące.

Leonardo zagląda przez próg.

– Chodź, Eleno – daje mi znak. –
Lucrezia czeka na ciebie.

– Chce, żebym weszła sama? – pytam,
idąc w jego stronę.

Kiwa głową.

– Lekarze nie chcą, żeby w pokoju była
z nią więcej niż jedna osoba naraz – tłu-
maczy. – Poza tym Lucrezia chce teraz
porozmawiać tylko z tobą.

– W porządku – odpowiadam
niepewnie.

Leonardo otwiera przede mną drzwi
pokoju i poklepuje mnie lekko po rami-
eniu, jakby chciał mi dodać otuchy. Biorę
głęboki oddech i wchodzę na paluszkach.

– Można? – pytam szeptem.

W pomieszczeniu panuje półmrok
i ciężka cisza. Jedyne dźwięki pochodzą
z piskającego monitora. Tylko on
wypełnia pustkę.

– Wejdz, Eleno – Lucrezia podnosi niepodłączoną do kroplówki rękę i skinieniem zachęca, żebym podeszła bliżej. Sprawia wrażenie całkiem odmienionej. Z jej twarzy zniknął rys arogancji, nie ma już na niej złości ani nienawiści, pozostała tylko jakaś dziwna niewzruszoność, która nadaje jej twarzy nieprzenikniony, tragiczny charakter.

Staję przy łóżku. Nie wiem, co powiedzieć ani zrobić, czekam więc, aż Lucrezia zacznie mówić. W końcu to ona chciała, żebym tu przyszła.

– Mam nadzieję, że nie spodziewasz się podziękowań – rozpoczyna bez wstępów, słabym, lecz stanowczym głosem.

Jej usta tworzą linię prostą i mam wrażenie, że w jej głosie pobrzmiewa nuta nagany. Miotam się

w poszukiwaniu odpowiedzi, ale ona mnie uprzedza:

– Wiesz, kiedy skoczyłam z tej skały, naprawdę chciałam umrzeć, nigdy nie pomyślałabym, że ktoś, a już szczególnie ty, mógłby chcieć mnie uratować. Pokrzyżowałaś moje plany, Eleno.

– Mam nadzieję, że nie spodziewasz się przeprosin.

Uśmiecha się, może zaskoczona moją bezczelnością. Nawet po tym wszystkim, co się wydarzyło, zachowała poczucie ironii.

– Nie, oczywiście, że nie.

– To dobrze, bo ja wiem, że postąpiłam właściwie. Chciałabym, żebyś ty też tak myślała, ale to nie ja muszę cię o tym przekonać.

– Dlaczego? – pyta, wbijając we mnie swoje czarne jak noc spojrzenie. – Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego

ryzykowałeś dla mnie życie? Dlaczego chcesz, żebym żyła?

Ani w jej głosie, ani na jej twarzy nie ma śladu wdzięczności czy sympatii – po prostu chce wiedzieć.

– Nie wiem. Myślę, że życie Leonarda, a więc także moje, byłoby gorsze, gdyby udało ci się zabić.

– I to właśnie chciałam zrobić: zniszczyć wam życie. Kiedy zobaczyłam was razem na plaży, to było silniejsze ode mnie. Poczułam, że przejmuję nade mną władzę jakiś szalony instynkt, i pomyślałam, że jedyną możliwą karą za waszą miłość będzie moje samobójstwo.

– Patrzy nieruchomo w jakiś bardzo odległy punkt.

Przez długą chwilę trwamy w milczeniu, potem Lucrezia powraca z mrocznych zakątków, do których na moment uciekła, i uważnie mi się

przygląda. Obserwuje moją twarz, dłonie, ubranie. Wygląda, jakby czegoś szukała. W ciągu kilku sekund zmienia się, jej oczy się ożywiają, zaczynają błyszczeć, jak gdyby ogrzała je nowa nadzieja.

– To dziwne – odzywa się w końcu, wciąż pogrążona w myślach. – Myślałam, że będę cię nienawidzić, ale teraz widzę, że nie potrafię. I przez to jest chyba jeszcze trudniej, bo bez tej nienawiści czuję się zagubiona, pusta.

– Przykro mi. Ja...

– Daj spokój, Eleno – przerywa mi ostro.

Ta kobieta jest nieprzewidywalna, i w swoich nastrojach, i w decyzjach. Nie jestem sobie w stanie wyobrazić, jak wyglądał jej związek z Leonardem.

– Nie chcę, żeby ktoś mnie pocieszał, żeby mnie ktoś żałował – przetyka ślinę,

a na jej czole pojawia się bolesna zmarszczka. – Wiesz co, Eleno? Od lat poddaję się badaniom, leczę się psychiatrycznie i dopiero teraz zrozumiałam, że ani ty, ani Leonardo nie jesteście powodem tego całego zła. Ono jest we mnie i nikt nie może na to nic poradzić. Czasami tracę kontrolę, czasami nie potrafię zapanować nad emocjami i wyładowuję energię w gwałtowny sposób. Chcę krzywdzić siebie i innych – przerywa i wykrzywia usta w czymś na kształt uśmiechu, pełnego bólu, goryczy, rezygnacji. – Tak to przynajmniej brzmi w ustach lekarzy. Ja natomiast nie mam problemów z nazwaniem siebie wariatką. To nie słowa sprawiają, że się boję.

Słucham jej z niedowierzaniem, do głębi poruszona. Lucrezia, tak drobna, blada, spięta, w tym łóżku wygląda,

jakby niosła zbyt duży ciężar, niewspółmierny do swoich wątłych sił.

– W ostatnich dniach, po tym jak otworzyłam oczy i zdałam sobie sprawę z tego, co zrobiłam, zrozumiałam coś jeszcze: to wszystko nie ma nic wspólnego z miłością. To był mój egoizm, zaborczość. Od dawna już nie kocham Leonarda, tak samo jak on nie kocha mnie. Mimo że jakaś niewidzialna nić będzie nas łączyć już zawsze – przyznaje i wzdycha głęboko, jak gdyby próbowała odzyskać wewnętrzną równowagę. – Musiałam dotknąć dna, wszystkimi zmysłami, i dotrzeć do punktu, z którego nie ma powrotu. I momentami naprawdę myślę, że dobrze byś zrobiła, zostawiając mnie tam, w otchłani. Moje dalsze życie nie będzie wcale łatwe, nie było takie dotychczas i nie przestanie być ciągłym znojem. Ale muszę stoczyć swoją bitwę,

i to sama, dłużej nie mogę się łudzić, że Leonardo będzie walczyć za mnie. Zrobił już bardzo wiele i zasługuje na odpoczynek, na szczęście. I może z tobą będzie szczęśliwy.

Opuszcza oczy, jakby zawstydzona tym, co właśnie powiedziała. Ja też błędzę wzrokiem dookoła, zmieszana, niemal nie będąc w stanie pojąć jej słów.

– A ty potrafisz być szczęśliwa bez niego? – pytam łamiącym się głosem.

– Nie wiem – wzrusza ramionami. – Ale muszę spróbować.

– Wiesz, że Leonardo będzie przy tobie zawsze, kiedy będziesz go potrzebowała? – pytam po chwili.

– Tak, wiem.

Widzę, jak powoli wyciąga dłoń w moją stronę, chwytam ją więc i ściskam. To jej sposób pogodzenia się ze mną, milczący pakt dwóch kobiet, które spotkały

się ze sobą i starły, bo tak chciał los, ale teraz przestały sprawiać sobie nawzajem ból.

Ruszam w kierunku drzwi, lecz przed wyjściem odwracam się raz jeszcze. Ona żegna mnie skinieniem głowy.

– Dbaj o siebie, Eleno. I o niego też.

Patrzę na nią, ale brak mi głosu, by odpowiedzieć. Uśmiecham się i wychodzę, nim zobaczy moje szklące się oczy.

Za drzwiami czeka na mnie Leonardo. Stoi oparty plecami o poręcz. Ma żywe spojrzenie, a na uchylonych ustach majaczy uśmiech, jakby już wiedział, co się wydarzyło.

Rozkłada ramiona, a ja padam w jego objęcia i przytulam się do jego piersi. Wreszcie mogę płakać, łzami udręczenia i ulgi jednocześnie.

To już za nami. Teraz możemy zacząć
nasze nowe życie.

Jest pierwszy dzień lata i niebo nad Rzymem, widziane z tarasu naszego domu, wygląda jak bezkresna, błękitna kopuła.

Zanim jeszcze wróciliśmy z Messyny, Leonardo zaproponował mi przeprowadzkę do swojego mieszkania na Zatybrzu. To nasze pierwsze wspólne mieszkanie. Wciąż nie mogę w to uwierzyć – jesteśmy już oficjalnie parą. Niemal boję się wypowiedzieć to słowo. Nadal jesteśmy kochankami, którzy nie boją się łamać zasad – przy Leonardzie nie ma zresztą innego wyjścia – ale nie

musimy się już ukrywać, także przed samymi sobą, i to jest wspaniałe. W końcu możemy mówić sobie „kocham cię” na oczach całego świata i w ramach swoistego rytuału wyzwolenia to właśnie robimy.

Dziś wieczorem wydajemy przyjęcie dla wszystkich najbliższych przyjaciół. Całe popołudnie spędziliśmy razem na gotowaniu oraz dekorowaniu tarasu jak na wielką uroczystość – wszędzie wiszą girlandy z kwiatów i tiulu, pęki aromatycznych ziół, lampiony, które zapalimy, kiedy zrobi się ciemno i rozgwieździ się niebo. Właśnie sprawdzam, czy wszystko jest na swoim miejscu, kiedy słyszę znajomy ryk ducati. Odstawiam na ziemię doniczkę, którą akurat przenosiłam, i wychylam się przez barierkę, by pomachać mojemu Leo. On parkuje na placyku przed budynkiem,

zdejmuje kask i posyła mi jeden z tych swoich uśmiechów, od których kręci się w głowie. Wydaje się to niemożliwe, ale z upływem czasu podoba mi się coraz bardziej. I coraz bardziej go pragnę.

– Otworzysz mi bramkę? – krzyczy, po czym schodzi z motoru i wyładowuje kilka papierowych toreb.

– Kupiłeś wino? – odkrzykuję.

– Oczywiście...

Stąd nie widzę go wyraźnie, ale wyczuwam, że na jego ustach pojawił się tajemniczy uśmieszek. Co on tam kryje? Biegnę do środka, żeby mu otworzyć.

Leonardo wchodzi, stawia baterię alkoholi na podłodze i objąwszy mnie w talii, odciska na moich ustach słodki pocałunek.

– Mam dla ciebie niespodziankę.

Więc dobrze mi się wydawało! Rozluźnia uścisk i sięga po coś do

kieszeni swojej kurtki motocyklowej. To książka.

– O Boże! – wołam. – Twoja książka kucharska!

– Nasza! Nasza książka kucharska – poprawia. – To jest dopiero egzemplarz próbny, jaskółka, jak to nazwali w wydawnictwie. Za miesiąc będziemy w księgarniach, kochanie.

– Jest piękna – biorę ją do rąk, jakby była cennym starodrukiem, i z niedowierzaniem oglądam ze wszystkich stron, zwracając uwagę na każdy szczegół.

Okładka jest oszczędna, ale efektowna – na jasnym tle widnieje granat z jaskrawoczerwonym rozcięciem, z którego wysypało się kilka ziaren. Symbol naszej historii, owoc, od którego wszystko się zaczęło, półtora roku temu, w dniu, który teraz wydaje mi się tak odległy.

Otwieram książkę i na stronie tytułowej, pod nazwiskiem Leonarda, autora, widzę także swoje: „Ilustracje: Elena Volpe” – odczytuję na głos i ze zdziwienia szeroko otwieram oczy.

On obejmuje mnie od tyłu i opiera podbródek o moje ramię.

– Twoje ilustracje wyszły przepięknie – mówi, zachęcając mnie do obejrzenia.

Przewracam strony i przyglądam się po kolei rysunkom. Dzięki doskonałej jakości druku kolory są jeszcze żywsze niż na oryginałach. Obok każdej ilustracji widnieje opis namalowanego przeze mnie dania.

– No... naprawdę nieźle nam to wyszło – uśmiecham się.

– Bardziej przypomina album o sztuce niż książkę kucharską – zauważa Leonardo.

Całuje mnie znowu, opierając mnie o kuchenny stół, przy którym jeszcze przed chwilą przygotowywałam tiramisù kokosowe. Jako kucharka stałam się już niezależna. Potem on odrywa się ode mnie i przebiega wzrokiem po górze rondli i naczyń piętrzących się na blacie.

– Eleno, byłaś bardzo niegrzeczna – szepcze mi na ucho. – Wciąż nie możesz się nauczyć, że w kuchni podstawą jest porządek... Powinna cię za to spotkać kara – gani mnie.

Wzruszam ramionami ze skruszonym uśmieszkiem. On zbiera z brzegu pucharka odrobinę kremu i próbuje.

– Sprawdźmy, jak reszta – mówi, unosząc brwi.

– Nie cierpię, kiedy zamieniasz się w krytyka kulinarnego – opieram dłonie na biodrach.

– Nieźle – ocenia, oblizawszy palce.

Jak mam się złościć na tak seksownego jurora?

– Włożyłaś je do lodówki?

– Oczywiście.

– Bardzo dobrze – poklepuje mnie lekko po pupie. – A na jakim etapie jesteś z pozostałymi rzeczami? – pyta, rozglądając się dookoła.

Kuchnia jest przewrócona do góry nogami.

– Mamy duże opóźnienie – przyznaję.

– Przekąski i drugie danie są już prawie gotowe, ale zostaje jeszcze do zrobienia makaron – z psotnym uśmiechem zadzieram podbródek. – Miałam nadzieję, że szef kuchni zajmie się tym, kiedy wróci.

– Wiesz, że do szefa należą tylko ostatnie szlify – prowokuje, szczypiąc mnie w bok.

– Obawiam się, że tym razem będzie musiał zająć się także obróbką wstępną – odpowiadam, szturchając go.

Tymczasem w radiu puszczają zniewalające tango Gotan Project. Leonardo pochyla głowę, posyła mi ogniste spojrzenie i wyciąga do mnie rękę. Opieram dłonie na jego muskularnych ramionach opiętych białym T-shirtem i daję się porwać jego gibkiemu ciału. Nie wiem, gdzie nauczył się tańczyć, ale robi to świetnie i kiedy prowadzi, mam wrażenie, że nie jestem aż tak tragiczną tancerką – obracam się w *ocho*, przechylam w *casqué*, potem on podnosi mnie i całuje. Nasze języki się splatają, trzymamy się mocno za ręce. Uśmiechamy się, potem nasze usta odrywają się od siebie, a on kręci mną raz jeszcze, szepcząc mi do ust słowa

piosenki. Jego hiszpański akcent jest doskonały i tak uwodzicielski.

Nagle utwór się kończy, a ja pozostaję bez tchu. Pełna erotycznego napięcia cisza unosi się nad nami. Leonardo popycha mnie na marmurową wyspę kuchenną. Spogląda mi w oczy i nie musi nic mówić, bo ja już wiem, co chce powiedzieć: pragnie mnie. A ja pragnę jego.

– Teraz? – pytam, z trudem łapiąc oddech i oplatając rękami jego szyję. – Goście mogą tu być w każdej chwili.

A ja muszę jeszcze się przebrać, bo w tym stanie – mam przyprószone mąką włosy i poplamioną czekoladą sukienkę – nie mogę wystąpić publicznie.

– Będą więc musieli chwilę poczekać – mówi szeptem.

Potem znowu zanurza palec w kremie do tiramisù i smaruje mi nim usta,

rysując poziomą linię, którą zaraz potem zlizuje.

Moje niecierpliwe wargi się uchylają, by przyjąć jego język. Na podniebieniu czuję słodki aromat kremu i dziki smak Leonarda. On podnosi mnie za uda i sadza na blacie. Podwija mi sukienkę, odsłaniając bieliznę. Potem kładzie dłoń na moich plecach i popycha mnie ku sobie. Zaplatam nogi wokół jego bioder i czuję erekcję przy moim łonie, już wilgotnym z pożądania.

Całujemy się znowu, tym razem gwałtowniej, jak para kochanków, którzy znają się od dawna, ale swoimi ciałami chcą jeszcze powiedzieć sobie nieskończenie wiele. Ramięczko mojej sukienki się zsuwa, a Leonardo chwytamnie za pierś i ssie, rozpoczynając, jednocześnie językiem i zębami, słodkie tortury moich sutków. Odpinam pasek

u jego dżinsów, rozpinam guziki, uwalniając jego pożądanie. Odrzucam głowę do tyłu, poddając się tej agonii, aż w końcu kładę się plecami na marmurowym blacie. Spycham ręką koszyk z czerwonymi pomarańczami, które odbijają się od podłogi i toczą niczym ogniste kule. Leonardo jest na mnie, a jego czarne, rozżarzone oczy utkwione są w moich. Jego dłoń wsuwa się pod moją bieliznę i pewnie zanurza we mnie, podczas gdy jego język wciąż lizze mój sutek. Jestem nieokiełznanym pożądaniem, obejmuję jego głowę i przyciskam do swego ciała.

Czuję na skórze jego podniecony oddech, a on nie przestaje bawić się koronką moich fig, naciągając ją i pocierając nią o moją waginę.

Z moich ust wyrywa się krótki krzyk.

– Zerwij je! – rozkazuję mu, przygryzając wargę.

– Słucham? – Leonardo pociąga koronkę mocniej, udając, że nie zrozumiał.

– Zerwij je, proszę – powtarzam, teraz już jęcząc. Figlarny uśmieszek maluje mu się na ustach, a jego dłonie rozrywają materiał i figi bezszelestnie zsuwają się na ziemię.

Leonardo jednym ruchem zdejmuje spodnie razem z bokserkami, przyciąga mnie za kolana, po czym powoli wchodzi we mnie. Jestem mokra i ciepła, tak jak on chce, jak za każdym razem, kiedy jest blisko.

Całujemy się znowu. On wsuwa dłonie pod moje pośladki i jednym ruchem podnosi mnie z blatu. Jest we mnie, obejmuję go za szyję, a on bierze mnie na ręce. Trzyma mnie tak przez chwilę, jego

oczy wpatrzone są w moje. Jesteśmy jednym ciałem. Jego pocałunki stają się łagodniejsze, delikatniejsze, rozbrajająco czułe.

– Jesteś piękna, Eleno.

Teraz popycha mnie w stronę zlewu. Dotykam pośladkami zimnej stali, ale to nie ma znaczenia, moje ciało czuje tylko żar Leonarda.

Po chwili gwałtownym ruchem odrywa się ode mnie.

– Liź mnie, poczuj swój smak – prosi.

I tak właśnie czynię: zsuwam się i przyjmuję go w ustach. Ssę jego, a jednocześnie własną żądzę, pożądanie wobec mężczyzny, którego uwielbiam najbardziej na świecie.

Liżę go z zapałem, aż w końcu on wysuwa się z moich ust, by wrócić znów we mnie. Jedną dłonią obejmuje mnie od tyłu wokół talii, a drugą opiera o blat,

jakby chciał nadać naszej chwiejnej równowadze trochę stabilności. Próbuję przytrzymać się zlewu, ale w pewnej chwili zahaczam dłonią o kran. Strumień zimnej wody uderza mnie w plecy. Wyzwała dreszcze i pasję.

– Ach! – krzyczę głośno w reakcji na to niespodziewane doznanie, które rozprzestrzenia się po moim ciele. Chłód miesza się z ciepłem – woda na skórze i ogień, który płonie we mnie.

Leonardo nabiera wody w dłoń i rozprowadza ją po mojej twarzy oraz piersiach, i to uczucie jest boskie. Nie wytrzymam już długo. Odsuwam go na chwilę i staję na ziemi.

– Teraz od tyłu – mówię zdecydowanie, odwracając się do niego plecami, po czym opieram się dłońmi o blat przy zlewie i wyginam plecy niczym kotka.

– O tak, Eleno, podobasz mi się taka – mrućy, przyciągając mnie do siebie.

Jego głos poprzez uszy dociera prosto do mojego serca.

W pośpiechu podwija moją moką sukienkę i splata dłoń z moją, przyciskając ją do marmuru. Potem przejeżdża językiem po moich plecach, drapiąc mi skórę kolczykiem, i wsuwa swój twardy penis w moją waginę, moką i rozchyloną.

– Gryź mnie – błagam, tłumiąc jęk.

Muszę poczuć na skórze jego pożądanie.

On zatapia zęby w mojej szyi, potem w ramionach i przyspiesza tempo swych pchnięć.

Krzyczę, już nie potrafię się opanować.

– Zaraz dojdę – wzdycham.

– Jeszcze nie teraz – wychodzi ze mnie nagle, pozostawiając mnie oszołomioną i niezaspokojoną.

Pieści jeszcze moje pośladki, zrywa ze mnie sukienkę, bierze na ręce i niesie do naszej sypialni. Po chwili układa mnie w jedwabnej pościeli. To pierwsze naprawdę nasze łóżko i w moim odczuciu wciąż spowija je pewna aura świętości, właściwa rzeczom naprawdę ważnym.

Leonardo kładzie się teraz na mnie, oczy ma przymknięte, a jego pożądanie prze do wyzwolenia. Wchodzi we mnie ostrym, doskonałym pchnięciem.

Spoglądam na niego, na jego piękną twarz, a potem na wiszący na ścianie obraz, *Zwiastowanie*, które przywieźliśmy z Messyny. A potem nie patrzę już na nic, zamykam oczy, a nasze łona ścierają się w walce, która jest czystą

miłością. Całujemy się namiętnie. Leonardo wykonuje pchnięcia, w przód i w tył, w górę i w dół, potem głębiej, wciąż coraz mocniej. Jęczy. Czuję, jak jego penis raz po raz styka się z moją skórą, a potem zatapia we mnie. Już nie wytrzymam. Orgazm zbliża się jak rodząca się gdzieś daleko tajemnicza fala, a potem obejmuje moją głowę i sprawia, że cała drzę. Jego ciepłe nasienie rozplywa się w moim wilgotnym wnętrzu, a ja eksploduję, rozpadam się w jego ramionach w niewidzialne odłamki ekstazy.

Leonardo osuwa się na mnie, a jego spocone ciało przylega do mojego.

– Kocham cię, Eleno – dyszy w moje usta.

Oddycham.

– Kocham cię, Leo.

Nie boję się już wypowiadać tych słów, ale za każdym razem jest to coś ogromnego, co sprawia, że czuję się malutka i tracę oddech.

Leżymy przez chwilę na łóżku, wśród świeżego zapachu pościeli, wsłuchując się w odgłosy dochodzące z ulicy i muzykę naszych oddechów. Potem nasze dłonie, usta i w końcu łona odnajdują się znowu – tętniąca między nami namiętność jest żywym ogniem, który nigdy nie gaśnie. Już niemal zaczynamy od nowa, kiedy powstrzymuje nas świergot SMS-a. Sięgam po leżący na stoliku iPhone i odczytuję na głos:

Jesteśmy w taksówce!

Będziemy u Was za kwadrans.

Buziak

– Gaia i Samuel – informuję Leonarda. Potem sprawdzam godzinę na telefonie i orientuję się, że dochodzi ósma.

Muszę się przygotować – nie wybrałam jeszcze nawet sukienki! – a poza tym trzeba ugotować makaron. Czy naprawdę za każdym razem, gdy się kochamy, musimy kompletnie tracić poczucie czasu?

– Leo, jest strasznie późno! – podsuwam mu przed oczy swój iPhone, a na twarzy maluje mi się wyraz rozpacz.

On wydaje się rozbawiony.

– Wyluzuj, Eleno... spokojnie! Przypominasz Uga, mojego wiecznie spanikowanego asystenta – śmieje się. – No, idź się przygotować – dodaje najspokojniej pod słońcem. – Ja zajmę się resztą – mruga do mnie, jakby chciał powiedzieć:

„Jesteś chodzącą katastrofą, ale za to też cię Kocham”.

Biegnę do łazienki, biorę szybki prysznic i staram się podsuszyć włosy, które oczywiście nie mają najmniejszego zamiaru się ułożyć. Z konieczności stawiam na efekt *wet look*, dzięki czemu oszczędzę też trochę czasu. Kiedy Leonardo wychodzi z drugiej łazienki, ubrany, ogolony i pachnący – czemu facetom zawsze zajmuje to tak mało czasu? – ja nurkuję w szafie w poszukiwaniu odpowiedniej kreacji i w końcu wybieram minisukienkę Lacoste w białoniebieskie paseczki. To będzie spotkanie wśród przyjaciół, a jedyną osobą, która zawsze przychodzi wystrojona jak na przyjęcie, jest Gaia. Królowa trendów została jednak ostrzeżona: „jeśli zjawisz się na szczudłach, nie wpuszczę cię”,

zapowiedziałam jej przed kilkoma dniami przez telefon.

– Ele, przyjdę na piętnastce! – odpowiedziała.

I już chichrałyśmy się jak wariatki. Nie mogę się doczekać, kiedy ją w końcu zobaczę.

Właśnie nakładam tusz na rzęsy, kiedy rozlega się dzwonek domofonu. Już?! Państwo młodzi się pospieszyli.

– Leo, otworzysz? – krzyczę z łazienki.

– OK – odpowiada, a w tle słyszę brzęk talerzy i garnków. Kto wie, co tam kombinuje...

Kiedy otwiera drzwi, rozpoznaję kobiecy głos, który nie należy jednak do Gai – wyglądam z łazienki i widzę Paolę z Monique, jej partnerką – teraz już oficjalną! Jest też z nimi druga dziewczyna, trochę młodsza. Wnioskując

z podobieństwa, możliwe, że to siostra Monique.

– Przyszłyśmy trochę przed czasem – przeprasza Paola. – Nie przeszkodziłyśmy wam w czymś przypadkiem? – pyta, posyłając mi szelmowskie spojrzenie.

Naprawdę aż tak widać, że przed chwilą się kochałam?

– Ależ skąd, byliśmy przy garnkach – uśmiechem tuszuję zakłopotanie.

– Przedstawiam ci Valérie – mówi, wskazując nieznajomą.

– To moja siostra – wyjaśnia Monique.

Valérie występuje krok do przodu i podaje mi dłoń. „*Bonsoir*” – wita się. Ma około dwudziestu lat. Jest śliczną brunetką o jasnej karnacji i delikatnych rysach, z asymetryczną fryzurą i kolczykami w kształcie czaszek.

– Przyjechała dzisiaj z Paryża i zatrzyma się w Rzymie kilka dni – ciągnie Monique. – Nie chciałam zostawić jej samej w domu, mam nadzieję, że to nie problem...

– Żartujesz? Bardzo się cieszę, że jest tu z nami.

Nie wiem, czy Valérie rozumie włoski, ale wydaje mi się, że uchwyciła sens mojej wypowiedzi i na jej ustach pojawia się nieśmiały uśmiech.

– Wejdźcie, rozgośćcie się.

Prowadzę je na taras.

Zostawiam dziewczyny przy stole, bo znów dzwoni domofon. Tym razem to na pewno Gaia – moja przyjaciółka nie zmieniła swojego nawyku i wciąż trzyma guzik wciśnięty nieprzerwanie przez dziesięć sekund.

Idę otworzyć, przygotowując się psychicznie na to wielkie wydarzenie. Na

myśl, że kiedy ostatnio się widziałyśmy, ona miała na sobie suknię ślubną, a ja sukienkę drużny i o mały włos nie zaprzepąściłam przyjaźni mojego życia, robi mi się słabo. A jednak wygląda na to, że po naszej pojednawczej rozmowie telefonicznej tamten dzień – a raczej moje niewybaczalne zachowanie tamtego dnia – odszedł w niepamięć i wszystko wróciło do normy. Jesteśmy, jak dawniej, najlepszymi przyjaciółkami. I nimi pozostaniemy.

Staję w otwartych drzwiach i czekam na nadejście cyklonu. Przytulam Gaię ze wszystkich sił – w tym uścisku zawarte jest wszystko, czego nie powiedziałyśmy sobie w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Przyglądamy się sobie, rozentuzjasmowane jak dwie dziewczynki, i niemal zaczynamy płakać z radości. Potem ona daje mi prztyczek w ramię:

– Żadnych melodramatycznych scen, OK? Mój makijaż nie jest wodoodporny!

Od razu wybuchamy śmiechem i wszelkie ślady wzruszenia rozplývają się w wywołanej spotkaniem euforii.

Witam się z Samuelem dwoma buziakami w policzki. Patrząc na nich dwoje z podziwem – są przepiękni. On w bermudach do kolan i białej koszulce polo bardziej przypomina golfistę niż czempiona kolarstwa. Ona ma na sobie tenisówki, obcisłe džinsy nad kostkę, pasiasty podkoszulek oversize i wsunięte we włosy różowe, odblaskowe ray-bany. Wygląda jak jedna z tych modelek z sesji w stylu underground, które są jej zresztą świetnie znane – w końcu prenumeruje wszystkie czasopisma modowe, jakie istnieją.

– Dalej, wchodźcie. Nie stójcie tak na progu! – zapraszam do środka.

– O matko, Ele, jakie piękne mieszkanie! – zachwyca się Gaia.

– To zasługa Leonarda, ma świetny gust.

– O, a oto i nasz szef kuchni! – mówi, zauważywszy go pochylonego nad garnkami. – Nie widzieliśmy się ponad rok!

Leonardo przykręca ogień i dołącza do nas. Wita Gaię ukłonem i pocałunkiem w rękę.

– Signora... – mówi uroczystym tonem, po czym wymienia uścisk dłoni z Samuelem. – Bardzo mi miło! To zaszczyt podejmować kolacją kogoś, kto zakładał *maglia rosa*. Jesteś pierwszym zwycięzcą Giro, którego goszczę przy swoim stole.

– Dziękuję – Belotti prezentuje uśmiech jak z okładki. – Ciebie również wyprzedza twoja sława, maestro. I chyba

zasłużenie – dodaje, zerkając w stronę rzędu przekąsek rozstawionych na stole.

– Te akurat są mojego autorstwa – precyzuję nie bez dumy.

Gaia otwiera szeroko oczy.

– Nie wierzę, zaczęłaś gotować?!

– Powiedzmy, że udało mi się wykraść kilka sekretów – posyłam Leonardowi porozumiewawcze spojrzenie, które on natychmiast odwzajemnia. – A ty, ślicznotko, jeszcze nie stałaś się kurką domową? – żartuję, podszcypując ją w bok.

Samuel kręci głową zrezygnowany.

– Ostatnim razem, kiedy próbowała zrobić pieczeń, sąsiedzi o mało nie zadzwonili po straż pożarną!

– Przesadzasz! – podchwytuje Gaia. – Była po prostu dobrze wypieczona.

– Oczywiście, kochanie – odpowiada pojednawczo, obejmując ją ramieniem

i całując w czoło. Potem puszcza do mnie oko, dając do zrozumienia, żebym jej nie wierzyła.

– Widziałam to, wiesz? – odgraża się Gaia, ale jej uwagę zaprzęta już co innego. – Ele, mogę się rozejrzeć? – stoi już w drzwiach sypialni.

– Pewnie, oprowadzę cię – odpowiadam. – Ale tak szybko, zaraz siadamy do stołu. Będziemy jeść na tarasie.

Po obchodzie mieszkania Gaia i jej mąż wychodzą na taras i zaczynają pogawędkę z dziewczynami. Tymczasem przybywa też Antonio, współnik Leonarda, razem ze swoją nową dziewczyną, Mariną, która natychmiast przypada mi do gustu.

Niedługo potem domofon dzwoni po raz kolejny – to Martino, mój

romantyczny bohater. Strasznie się cieszę, że znowu go widzę. Wygląda trochę inaczej niż zwykle, ma bardziej wystudiowany look – przyciął swoją grzywę, ale zapuścił krótką brodę i zrobił sobie nowy piercing w brwi, z którym, muszę przyznać, bardzo mu do twarzy. Niewiele spotyka się w życiu osób takich jak Martino – które po kilku spotkaniach pozostają w sercu na zawsze. Fakt, że mieszkam teraz w tym domu, razem z Leonardem, to także jego zasługa. Być może wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby Martino nie zadzwonił do niego w dniu mojego wypadku. A może los i tak znalazłby sposób, by nasze drogi znowu się spotkały. Kto wie... W każdym razie Martino pozostanie już zawsze moim dobrym duszkiem, a Leonardo wie o tym i to szanuje.

Wchodzi do mieszkania tym swoim niedbałym krokiem, który mnie rozbraja, wita się z Leonardem uściskiem dłoni, a mnie całuje nieśmiało w oba policzki. Jest zakłopotany jak zwykle. Rzucam mu się na szyję i wtedy trochę się rozluźnia, ściska mnie i podnosi lekko do góry. Kiedy stawia mnie z powrotem, wydaje się już niemal całkiem odprężony.

– Chodź, potowarzyszysz mi w kuchni!
– ciągnę go za rękaw i każę usiąść na jednym ze stołków.

– Niesamowite, stałaś się kucharką doskonałą – stwierdza, spróbowałszy podanego przeze mnie *arancino*.

– Myślę, że najlepiej wychodzą mi desery. Spróbujesz kokosowego tiramisù, to prawdziwa bomba!

– Nie mogę się doczekać...

Żądam sprawozdania z ostatnich miesięcy jego życia i dowiaduję się, że

w sferze uczuciowej niestety nic się u niego nie zmieniło. Potem idę po książkę kucharską i prezentuję mu ją z dumą.

– Ale powiedz szczerze... co o tym sądzisz? – pytam.

Jestem strasznie ciekawa jego opinii o ilustracjach. W końcu to człowiek z branży.

Martino przegląda książkę ze szczerym podziwem.

– Naprawdę ty je narysowałaś?

– Tak. Zaczęłam, kiedy byłam na Stromboli, bardziej dla zabawy, a potem mi się spodobało... Więc jak to widzisz?

– Brak mi słów. Jesteś naprawdę dobra, Eleno.

– Mogę też zobaczyć? – pyta Gaia, która przyszła do nas z tarasu. Ta dziewczyna jest niesamowita, nawet chodząc

w tenisówkach, potrafi kręcić biodrami...
wiele muszę się jeszcze od niej nauczyć!

– To jest Gaia, moja najlepsza przyjaciółka – z trudem powstrzymuję uśmiech.

– Ta, która brała ślub w Wenecji? – pyta Martino.

– We własnej osobie – uprzedza mnie ona. – A ty musisz być Martino, zgadza się? – zwraca się do niego, ale jednocześnie spogląda na mnie porozumiewawczo.

„Niezły”, odczytuję napis wypisany wielką czcionką na jej czole. A potem jeszcze: „Jeśli to jest powód, dla którego spóźniłaś się na mój ślub, *respect, baby!*”. To właśnie myśli, jestem tego pewna.

– Tak, miło cię poznać – odpowiada Martino, całując ją w oba policzki.

Gaia szczypie mnie w tyłek.

– Słuchaj, tam na zewnątrz domagają się jeszcze jednej porcji przystawek – informuje mnie, po czym zwraca się do Martina: – Lepiej siadaj do stołu, bo zaraz zmiotą wszystko.

– W takim razie już leczę!

I spieszy na taras, gdzie jako pierwsza wita go Valérie. Nieśmiali zawsze rozumieją się w lot. To samo pomyślałam w dniu, w którym poznałam Martina.

– Możesz mi pomóc z przystawkami?

– pytam Gai.

– Skoro nalegasz...

– Nalegam! – mówię tonem groźby.

Ona unosi ręce w geście kapitulacji i podchodzi do wyspy kuchennej z marmurowym blatem.

– No, dalej, nie bądź już taka skryta, bo to do ciebie nie pasuje, tylko opowiedz mi coś – ponaglę ją, dzieląc

jednocześnie na małe porcje bakłażany pod parmezanem.

– Co mam ci opowiedzieć?

– Nie wiem... na przykład jak to jest być żoną mistrza!

– Dzień dekoracji zwycięzców Giro był niesamowity... Musiałabyś zobaczyć Samuela w różowej koszulce, jak płacze ze szczęścia! Nawet ja się wzruszyłam, a przecież mam serce z kamienia – uśmiecha się rozrzewniona. – Ale od tamtej chwili nie mieliśmy spokoju... zaczął się koszmar wywiadów, imprez, spotkań ze sponsorami. Wiesz dobrze, że nie jestem nieśmiała... Ale co za dużo, to niezdrowo i ja już nie dam rady, przysięgam! – opowiada ze zboląłą miną, lecz po chwili uśmiech znów rozświetla jej twarz. – To już jednak nie potrwa długo, za tydzień jedziemy na taką grecką wysepkę, tylko we dwoje,

i będziemy mogli nacieszyć się spokojem. Nie mogę się doczekać – jej oczy przybierają kształt serc. – Teraz, kiedy zawody się skończyły i mogę pobyć z nim trochę dłużej, przysięgam ci, Ele, jestem najszcześniejszą kobietą pod słońcem.

Puszczam jej oko i schylam się, żeby zajrzeć do pieca. Wyciągam blachę i podaję jej.

– Pokrój mi te *sfogghiu*.

– Pokrój mi te co? – Gaia otwiera szeroko oczy. – Stałaś się teraz Sycylijką? – przedrzeźnia mnie z fatalnym sycylijskim akcentem.

– Głupia, tak to się nazywa, to rodzaj sernika!

– Mmm, co za zapach...

– To także moje dzieło – informuję, z dumą prężąc pierś.

– Ele, czy my nie miałyśmy bronić sprawy feministek uczulonych na sprzęty

kuchenne? Jesteś zdrajczynią i aż do tej chwili to ukrywałaś!

– Poświęciłam swe ideały dla miłości – usprawiedliwiam się, deklamując niczym wytrawna aktorka.

Wnosimy na taras kolejne tace pełne przystawek. Panuje tu magiczna atmosfera letniej imprezy – na rzymskim niebie rozbłyskują pierwsze gwiazdy, a Leonardo zapala lampiony. Rozmawia przy tym ściszym głosem z Samuelem – kto wie, co sobie opowiadają ci dwaj konspiratorzy. Martino natomiast nalewa wina Valérie. Nie przestają rozmawiać po francusku i sprawiają wrażenie, jakby nadawali na tych samych falach. Paola i Monique, razem z Antoniem i Mariną, gratulują mi książki i obiecując, że kupią ją w księgarni, już teraz proszą o autograf z dedykacją.

Tak mi tu dobrze, wśród nich, razem z Leonardem – mam ochotę śpiewać, ale lepiej oszczędzę wszystkim mojego wycia, od którego mogą popękać szyby.

– To chyba pora na toast! – proponuje Gaia. Jak zawsze czyta w moich myślach.

Oklaski zebranych świadczą o tym, że pomysł trafił na podatny grunt. Leonardo odkorkowuje więc butelkę na wielką okazję – Feuillatte Palmes d’Or – i obchodzi dookoła stół, nalewając wszystkim.

– Za lato, by dla każdego z nas było fantastyczne i pełne niespodzianek! – mówi, wznosząc kieliszek.

– I za was, moich fantastycznych przyjaciół! – dodaje, puszczając do nich oko.

Kiedy kieliszki się stykają, pobrzękując, spoglądam po kolei na każde z moich przyjaciół – Gaię, która się śmieje i kradnie całusa swemu

mężowi, Paolę wpatrującą się w gwiazdy na niebie i obejmującą mocno Monique. A potem na Martina, który w końcu znalazł odwagę, by spojrzeć w oczy Valérie i teraz dotyka nieśmiało jej dłoni. Szczęście każdego z nich pachnie miłością i łączy się z moim.

Mówi się, że kiedy ktoś jest szczęśliwy, wszystko wydaje mu się piękniejsze, a w jego spojrzeniu na świat widać kolory jego duszy.

To prawda, teraz mam tego dowód.

Spoglądam na Leonarda. Nasze usta się muskają, a nasze oczy uśmiechają.

To jest całe moje szczęście.

Nie mogłabym chcieć od życia niczego więcej.

Jest późna noc, impreza dobiegła końca. Gaia i Samuel wyszli jako ostatni, kilka minut temu, a ja jestem wyczerpana. Zanim jednak pójdę spać, chciałabym doprowadzić do porządku choć taras, bo rano jestem zawsze półprzytomna, a do tego obudzenie się w domu wywróconym do góry nogami nie jest z pewnością dobrym początkiem nowego dnia.

Nim udaje mi się sformułować tę myśl, z salonu wyłania się Leonardo, trzymając w rękach kurtki i kaski.

– Masz jeszcze trochę sił dla mnie? – wydaje się wypoczęty, jakby dopiero wstał z łóżka.

Spoglądam na niego pytająco:

– A co chcesz robić?

Dochodzi czwarta i padam ze zmęczenia, ale muszę przyznać, że intryguje mnie idea przejażdżki na motorze o tej godzinie.

– Chcę zawieźć cię w pewne miejsce.

– Daleko?

– Nie, nie martw się. Mniej więcej godzinę drogi.

– Domyślam się, że nie ma sensu wypytywać cię o szczegóły...

– A jak ci się wydaje? – patrzy na mnie groźnie i uśmiecha się.

– Obawiam się, że nie.

Słońce wstaje, kiedy dojeżdżamy do Terraciny. Nigdy wcześniej nie byłam w tym

bajkowym zakątku i ogarnia mnie jednocześnie zdumienie i wdzięczność za ten wspaniały spektakl, który rozciąga się przed moimi oczyma – dawna rzymska świątynia Jowisza wznosi się na szczycie skały, a roztaczająca się stąd panorama jest jedną z najpiękniejszych nad Morzem Tyrreńskim. Jednym spojrzeniem można objąć całą Riwierę Ulissesą, od Circeo do Gaety.

Blok skalny, na którym usiedliśmy, ociosano dwa tysiące lat temu. To wydaje się tak niesamowite, że niemal kręci mi się w głowie. Zapach kamienia łączy się z wonią morza, dzikich ziół, żarnowca, naszej skóry. Światła nocy gasną, ustępując blaskowi dnia.

– Ta chwila jest doskonała – szepcze Leonardo, rozglądając się wokół z przymkniętymi oczyma i wyrazem spełnienia na twarzy.

Kiwam głową. Odkąd wróciliśmy do Rzymu, przeżywamy ciąg doskonałych chwil – nasz dom, budzenie się obok siebie, oczekiwanie na jego powrót wieczorem, książka kucharska, którą wspólnie stworzyliśmy... a ostatnio także nowe zlecenie restauratorskie, o którym opowiedziała mi tego wieczoru Paola i do którego koniecznie chce mnie zaangażować.

Leonardo przytula mnie, podsuwając mi ramię, bym oparła głowę. Obserwuje niebo i mówi, jakby rozmyślał na głos:

– Wiesz, Eleno... ostatnio często zastanawiam się nad tym, jak bardzo zmieniło się moje życie, od kiedy cię poznałem. Nigdy nie było w nim zbyt wielu pewników, zawsze żyłem z dnia na dzień. Ale teraz wyobrażenie sobie przyszłości przy twoim boku przychodzi mi naturalnie.

Szeroki, promienny uśmiech pojawia się na jego ustach.

Potem zaczyna grzebać w kieszeni kurтки i wyjmuje z niej satynowy woreczek w granatowym kolorze, z którego wysypuje dwie obrączki z białego złota. Podnoszę wzrok i patrzę na niego oniemiała – nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Leonardo kładzie na mojej dłoni obrączkę, na której wygrawerowano kursywą „Elena”, a drugą, z napisem „Leonardo”, zaciska w swojej.

– Eleno, nigdy ci tego nie mówiłem i chciałbym, żebyś usłyszała to teraz – bierze głęboki oddech, jakby przygotowywał się do powiedzenia czegoś niezwykle ważnego. – Odnalazłem w tobie samego siebie. Zobaczyłem wszystko to, czego nigdy nie chciałem w sobie widzieć: moje wrażliwe punkty, moje poczucie winy, niepoahamowane

pożądanie, które rani innych i trawi mnie od środka. Ale poprzez twoje oczy mogłem też spojrzeć poza wszelkie swoje granice – jeszcze jeden oddech. – Chcę spędzić z tobą każdy dzień mojego życia. I jeśli ty również tego chcesz, pozwól, by moje imię pozostało na zawsze na twojej skórze.

Oczywiście, że tego chcę. Pragnę tego całą sobą. To niespodziewane wyznanie odbiera mi mowę. Chce mi się naraz śmiać i płakać. Dłonie zaczynają mi drżeć. Nigdy nie wsuwałam obrączki na palec mężczyzny ani, jeśli dobrze się zastanowić, żaden nie wsuwał obrączki na mój. Czy bierzemy ślub? W pewnym sensie tak, i robimy to w obliczu Jowisza, władcy Olimpu. Nasz pakt nie zostaje spisany, lecz zawarty w sercu i przez to jest tym bardziej nierozzerwalny.

Wkładam mu obrączkę na palec.

– Chcę. Jestem twoja, Leo. Na zawsze.
Potem podaję mu dłoń.

On ujmuje ją delikatnie i po chwili jego imię otacza moją skórę. Jego ruchy są dużo pewniejsze od moich.

– Na zawsze twój – całuje mnie w usta. – Na zawsze my, razem.

Przytulam się do niego, stykamy się twarzami. Nasze palce się splatają, a obrączki dotykają jedna drugiej.

My. Teraz już naprawdę.

I dokądkolwiek pójdziemy, będziemy razem.

TRZY LATA PÓŹNIEJ

O dziesiątej rano na plaży weneckiego Lido jest jeszcze cicho. Leżę na białym leżaku hotelu Excelsior i w stanie całkowitego odprężenia słucham szumu morza i odległych krzyków mew awanturujących się na brzegu. Z hotelowego tarasu dobiega przytłumiony dźwięk muzyki, a lekka bryza pieści moją skórę.

Zatrzymaliśmy się tu z Leonardem na tydzień. Moi rodzice przepadają za nim, zwłaszcza moja mama, chociaż z początku trudno jej było pogodzić się z faktem, że mężczyzna radzi sobie w kuchni lepiej od niej. Wiezorami często wychodzimy – w lipcu Wenecja

jest tak piękna i pełna życia, że ma się ochotę spędzać cały czas na zewnątrz. Zobaczyliśmy się z wieloma niewidzianymi od lat przyjaciółmi. Również z Filipem. Nasze spotkanie było spokojne, szczerze – jest on jedną z tych osób, które zawsze pozostaną mi bliskie i wiem, że moje uczucie jest odwzajemnione. Potrzeba było tylko czasu, by zabił się rana – tamte przejścia były bolesne dla nas obojga, ale tylko w ten sposób mogliśmy się uwolnić i żyć dalej. Filippo naprawdę cieszy się moim szczęściem, tak jak ja cieszę się jego. Wiem, że mieszka teraz z Arianną, dziewczyną, z którą widziałam go pod koniec wieczoru panieńskiego Gai, i wydaje mi się, że to prawdziwa miłość.

Gaia natomiast dojedzie do nas za trzy dni razem ze swoim mężem – obecnie są w Argentynie, gdzie Samuel startuje

w zawodach. Nie mogę się doczekać tego spotkania.

– Michele, zostaw mamę w spokoju...

To głos Leonarda, tylko nieco głośniejszy od szeptu. A potem czuję małą, silną rączkę naszego synka, która szczypie mnie w bok. Michele skończył dwa lata dziewiętnastego marca. Według naszych obliczeń został poczęty w dniu kolacji na tarasie, po której Leonardo dał mi pierścionek, od tego czasu niezmiennie obecny na moim palcu. Nie wzięliśmy ślubu, przynajmniej nie na papierze. Może zrobimy to któregoś dnia, ale na razie nie to jest najważniejsze – te obrączki są dla mnie warte więcej niż jakakolwiek obietnica.

A poza tym on, nasz syn, jest żywym świadectwem naszej miłości. Otwieram oczy i przyglądam mu się jak ktoś, kto ma przed sobą wyjątkowe, niezwykle

stworzenie. Podnoszę się z leżaka i biorę go na rękę. Michele wyrywa się przez chwilę, robi złą minę, a potem się uśmiecha. Jest jak mały Leonardo: ciemne włosy, czarne, głębokie oczy, oliwkowa karnacja, ale na piersi ma też mały pieprzyk w kształcie serca – coś tylko po mnie.

Myślę o kobiecie, którą się stałam, o życiu, którym żyję i o tym, jak mocno go pragnęłam.

– Nie spali sobie pleców? – pyta Leonardo.

Wobec naszego syna jest niesamowicie troskliwy. Ojcostwo go zmieniło – nie stracił nic ze swego uroku i energii, lecz zakiełkowała w nim także czułość, której zawsze unikał.

– Nic mu nie będzie, Leo... – uspokojam. – Prawda, Michele? – patrzę na naszego syna i całuję go w nosek. –

Powiedz tacie, że nie boisz się słońca. Bo ty masz słońce w środku.

PODZIĘKOWANIA

Celestinie, mojej matce.

Carlowi, mojemu ojcu.

Manuelowi, mojemu bratu.

Caterinie, Michele, Stefanowi, latarniom we dnie i w nocy.

Silvii, nieocenionej przewodniczce.

Wydawnictwu Rizzoli, od parteru aż do ostatniego piętra.

Alowi, niezastąpionemu przyjacielowi.

Laurze i Elenie, za ich wspaniałą obecność.

Wszystkim przyjaciom,
bezw warunkowo.

Filippowi P. i potrzebnej obojętności.

Stromboli i Sycylii.

Godzinie dziewiętnastej dwadzieścia cztery dwudziestego szóstego maja dwa tysiące trzynastego roku.

Przeznaczeniu.

¹ Kahlil Gibran, *Prorok*, tłum. Wanda Dynowska

